

Margit Sandemo

Lilja i Goram

Saga o Królestwie Światła 14
Z norweskiego przełożyła
ANNA MARCINIAKÓWNA
POL-NORDICA
Otwock

Strażnik Goram ma do wykonania ważne zadanie w Małym Madrycie, zwanym inaczej miastem nieprzystosowanych. Młoda dziewczyna, Lilia, prosi mianowicie o pomoc dla swego siedmioletniego kuzyna, Silasa, który jest bardzo źle traktowany i w rodzinnym domu, i w szkole. Tymczasem wysłannikom Królestwa Światła udaje się wylądować poza terytorium Gór Czarnych, ale dalsza droga do domu wydaje się znacznie trudniejsza niż kiedykolwiek przedtem...

RODZINA CZARNOKSIĘŻNIKA

LUZIE LODU

INNI

Ram, najwyższy dowódca Strażników
Inni Strażnicy: Rok, Tell, Kiro, Goram
Faron, potężny Obcy
Oriana
Thomas
Helge, Wareg
Geri i Freki, dwa wilki

Ponadto w Królestwie Światła mieszkają ludzie wywodzący się z rozmaitych epok, tajemniczy Obcy, Lemuryjczycy, Madragowie, duchy Móriego, duchy przodków Ludzi Lodu, elfy wraz z innymi duszkami przyrody, istoty zamieszkujące Starą Twierdzę oraz wiele różnych zwierząt.

Poza tym w południowej części Królestwa Światła żyją Atlantydzi. Istnieją też nieznanne plemiona w Królestwie Ciemności oraz to, co kryje się w Górach Czarnych, źródło pełnego skargi zawodzenia.

Wnętrze Ziemi

(jedna połowa)

STRESZCZENIE

Królestwo Światła leży w samym centrum Ziemi. Oświeca je Święte Słońce, poza jego granicami rozciąga się Ciemność, nieznana i przerażająca.

Wielkim celem Obcych jest zaprowadzenie trwałego pokoju na Ziemi i uratowanie przed zniszczeniem planety Tellus. Żeby się to mogło udać, ludzie muszą się gruntownie odmienić. Można to osiągnąć jedynie poprzez stworzenie specjalnego eliksiru, który wykorzeni zło z ludzkich umysłów.

Obcy, Lemuryjczycy i Madragowie oraz część zamieszkujących w Królestwie Światła ludzi mają już wszystko, czego trzeba do stworzenia eliksiru. Brak tylko jasnej wody, której źródło znajduje się w Górach Czarnych, siedzibie zła.

Z Królestwa Światła wyrusza ekspedycja, żeby zdobyć wodę. Po wielu trudnych do opowiedzenia przygodach i licznych walkach ze złymi istotami, udaje się wysłannikom dotrzeć do źródeł. Czeka ich jednak jeszcze droga powrotna do domu, trzeba opuścić Góry Czarne, a to nie będzie łatwe.

1

NIGDY NIE WRÓCIMY DO DOMU

Zadanie zostało wypełnione. Nawet gruntowniej niż zakładano.

Oko Nocy zdołał odnaleźć źródło dobra i zaczerpnąć jasnej wody.

Marco unicestwił zło w Górach Czarnych.

Do tej pory wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Ale nieoczekiwanie Marca ogarnęła wściekłość. Przez całe swoje bardzo długie życie ów szlachetny książę nienawidził zła i zwalczał je. Teraz popełnił fatalny krok:

Część dobrej wody wlał do źródła zła i zmieszał ją ze złą wodą.

Skutki okazały się potworne. Ponieważ źródło miało połączenia ze światem

zewnątrznym, doszło do potężnego wybuchu na Północnym Atlantyku, a wewnątrz kuli ziemskiej Góry Czarne zostały kompletnie zniszczone, słup mętnej, brudnej wody buchał wysoko ku przeciwległej części tego świata, do Królestwa Światła. Nikt jednak nie wiedział, jak wysoko bije ta błotnista ciecz, ani jakie szkody wyrządziła w murze otaczającym królestwo.

Nawet J2, Juggernaut, który znajdował się daleko od źródeł, uległ potężnemu wstrząsowi i doznał poważnych uszkodzeń, które załoga odkryła nie od razu.

A sam Marco, ów fantastycznie piękny, samotny książę Czarnych Sal, został uwięziony pomiędzy kamiennymi blokami, które wybuch cisnął na ziemię. Ponieważ książę był nieśmiertelny, jego przyszłość przedstawiała się ponuro: mógł leżeć bezradnie przez całą wieczność, w bólach, daleko od jakiegokolwiek ludzkiego życia... Czy może kogoś spotkać gorszy los?

Ale młody Tsi, który, po groźnym wypadku, niemal przez całą wyprawę pozostawał nieprzytomny, ale odzyskał życie dzięki jasnej wodzie, teraz bez pozwolenia podjął hazardową decyzję: małą gondolą wyruszył samotnie, by ratować Marca. Ziemia, śmieci i kamienie spadały na gondolę, on tymczasem niezmordowanie przedzierał się w ciemnościach, dopóki nie odnalazł przyjaciela. Wezwał J2 na pomoc, tutaj potrzebny był

bowiem dźwig, więc Juggernaut mozolnie posuwał się po okolicy wokół źródeł, poprzez ruiny królestwa zła w Górach Czarnych.

Nie zdając sobie sprawy ze skutków swojego czynu, działając w dobrej wierze, Tsi dał Marcowi jasnej wody do picia, co księżę odkrył zbyt późno. Dla niego bowiem przełknięcie tej wody mogło mieć fatalne skutki, Tsi jednak o tym nie wiedział. Chciał dobrze! I na tym kończy się poprzedni tom naszej opowieści, zatytułowany „Tajemnica Gór Czarnych”.

Kamienne bloki ściągnięto z Marca wielkim dźwigiem. Wszyscy wyszli na zewnątrz, na czarny, lodowato zimny deszcz, i pomagali. Akcją ratunkową kierował Ram, było to niezwykle trudne, ponieważ Marco znajdował się w miejscu bardzo ciasnym i prawie niedostępnym. Madrag Tich siedział jak zwykle przy swojej tablicy rozdzielczej na pokładzie ukochanego pojazdu. Niezdarnymi z pozoru rękami manewrował sprawnie i zdecydowanie pod komendę Lemuryjczyka, Ram, najwyższy dowódca Strażników w Królestwie Światła, czuł się w takich sytuacjach jak ryba w wodzie. Nikt nie myślał o tym, że są przemoczeni do suchej nitki, a włosy i ubrania oblepia czarna maź.

Faron, ów Obcy, który kierował całą ekspedycją do Gór Czarnych, klęczał teraz obok Marca razem z synem czarnoksiężnika, Dolgiem. Dla nikogo więcej nie było tam już miejsca, chociaż leśny elf Tsi robił co mógł, by wszystkim wchodzić w drogę, i nie przestawał opowiadać z zapalem, jak to znalazł Marca i w jaki sposób powinni próbować go uwolnić.

Dolg, strażnik dwóch szlachetnych kamieni, przykładał teraz szafir do piersi Marca. To wyraźnie łagodziło cierpienia księcia.

Ostatni wielki blok kamienny został usunięty z nóg Marca. Faron i Dolg z trudem wstrzymywali okrzyki zgrozy. Nogi były dosłownie zmiażdżone.

- Jak zdołamy go przenieść na pokład? - jęknął Faron. - Dolg, co szafir mógłby jeszcze zrobić?

Obaj wiedzieli, że takie rany jak te mógłby wyleczyć tylko jeden człowiek, a mianowicie sam Marco. Wiedzieli jednak również, że niezwykle rzadko zdarza się, by uzdrowicielskie siły ktoś nimi obdarzony mógł spożytkować dla siebie samego. Dolg przypominał sobie zresztą, że Marco kilkakrotnie o czymś takim wspominał. Cudowna moc, którą został obdarzony, nie działa na jego organizm.

Dolg spojrział na szafir, który zdążył ukryć pod kurtką, żeby brudny deszcz nie padał na piękny klejnot.

- Nie wiem, Faron - powiedział swoim łagodnym głosem. - Szafir jest zmęczony, bo w ostatnich czasach używaliśmy go zbyt często. Widzisz, niebieskie promienie są bardzo słabe. A farangil...

Umilkł. Popatrzyli po sobie nawzajem. Farangil, groźny czerwony kamień, został niebezpiecznie uszkodzony, stał się mętny i niemal granatowy po wszystkich spotkaniach ze złem, przez jakie musiał przejść w górach. Poza tym farangil to siła atakująca, w najlepszym razie obronna, siejąca zniszczenie. Chyba w tej sytuacji się nie nada.

Przypominali sobie jednak, jakim intensywnym blaskiem kamień płonął, jakby ze szczęścia, pewnego razu, zresztą całkiem niedawno, kiedy mógł działać pozytywnie, a nie tylko przeciwstawiać się atakom czy mordować przenikniętych złem wrogów.

- Przyniosę go - zdecydował Dolg i wstał.

Musiał przedzierać się przez otaczających ich kręgiem przyjaciół, stojących w skalnym rumowisku, pragnących pomóc.

Na pokładzie J2 znajdował się jedynie Tich oraz duchy żywiołów, zbyt wrażliwe, by spotkać się ze złem na zewnątrz. Dolg opowiedział pośpiesznie Tichowi o strasznym stanie Marca i o tym, jak próbują uratować jego nogi.

- Świetnie - poparł jego zamiary Tich. - My zawsze w pełni na tobie polegamy, Dolgu. Na tobie i na twoich magicznych kamieniach.

- Dziękuję, ale... Tich, sprawiasz wrażenie zatroskanego?

Madrag westchnął.

- Tak, jestem poważnie zmartwiony, to prawda. Bo widzisz, kiedy zmierzaliśmy tutaj... to wcale nie była łatwa sprawa.

- Wiem o tym - skinął Dolg, wyjmując skórzany futerał z farangilem. - Po prostu nie mogę zrozumieć, w jaki sposób ci się to udało, przecież tu nie ma żadnych dróg, wszystko jest kompletnym chaosem, tylko kamienie, głazy i rumowisko. Wydaje się nieprawdopodobne, że J2 wspiął się aż tutaj!

Sympatyczny Madrag skrył uśmiech dumy.

- No, muszę powiedzieć, że otrzymałem znaczną pomoc...

Dolg popatrzył na niego pytająco.

- Pomoc od żywiołów - szepnął Tich tajemniczo. Duchy znajdowały się na dole w dużym pomieszczeniu, nigdy jednak nie wiadomo, ile są w stanie usłyszeć. - One oczyszczały drogę, rozumiesz. Zarówno Ziemia, jak i Kamień, i Ogień pomagały mi z całych sił. Stały tutaj na mostku i dyrygowały, wyglądając przez okienko na przedzie. Mimo to podróż była dość kłopotliwa.

- Kłopotliwa, to bardzo łagodne określenie... wszyscy przecież widzieliśmy. Nigdy jeszcze żaden pojazd mnie tak nie wytrząsł.

- Ale być może zwróciłeś uwagę, że właśnie teraz też otrzymaliśmy pomoc?

- A to w jaki sposób?

- Tego ostatniego bloku kamiennego nigdy byśmy sami nie usunęli z Marca, nie było jak zamocować wokół niego liny. To duch kamieni go podniósł. Tutaj z okna.

- Shama? No, no, nieźle - rzekł Dolg z podziwem. - Ale zacząłeś mówić, że coś cię martwi...

- Już w chwili, kiedy startowaliśmy z doliny, słyszałem w silnikach jakieś gwizdy. Przecież eksplozja potrząsnęła też porządnie całym J2. Te jakieś trzaski tutaj wciąż się nasilały. Teraz już nie muszę kierować dźwigami, więc wyjdę z tobą na zewnątrz. Bardzo się boję, że stało się coś złego z lewą gąsienicą.

- Uff, nie strasz! Czy mam sprowadzić Rama?

- Tak! Byłbym ci wdzięczny.

Wychodząc z pojazdu Dolg pozdrowił z wielkim szacunkiem duchy żywiołów i złożył im podziękowanie za to, co zrobiły. W odpowiedzi łaskawie pochyliły głowy. Shama miał na wargach swój zwykły ironiczny uśmiech.

Dolg przekazał wiadomość Ramowi i wrócił do Marca.

Indra naturalnie poszła razem z Ramem do Ticha i J2. Nie miała właściwie nic do roboty i żywiła nadzieję, że może tutaj na coś się przyda. W każdym razie, powiedziała sobie, mam powód, by nie opuszczać Rama ani na krok.

- Marzniesz? - zapytał, z czułością obejmując jej barki.

- Nie miałam czasu się nad tym zastanowić.

- Ja też nie - odpowiedział z uśmiechem. - No, Tich, czym się znowu martwisz?

Madrag zdążył już znaleźć usterkę.

- Tym - powiedział przez zaciśnięte zęby i pokazał palcem.

- Och, nie - wyszeptał Ram.

Gąsienica była w pewnym miejscu niemal doszczętnie przetarta. Owa obejmująca cały świat eksplozja, którą wywołał Marco, najprawdopodobniej uszkodziła jedno z ogniów a szalona wędrowka przez skalne rumowisko w kierunku źródeł, dokonała reszty.

Indra spoglądała niepewnie na zniszczenia.

- Nigdy nie wrócimy do domu - szepnęła cicho. Po czym podniosła głos i zawołała z wściekłością: - Ta przeklęta kraina, czy nigdy nie zdławimy tkwiącego w niej zła? Czy zostaniemy tu już na wieki? Nienawidzę tych gór, nienawidzę tego wszystkiego! I teraz się okazuje, że nie możemy stąd odejść! Nigdy nie wrócimy do domu!

2

Dolg długo i cicho przemawiał do swoich wielkich, pięknych kamieni. Bardziej do farangila, ale do szafiru także. Opowiadał im o niezwykłej osobowości Marca, o jego wielkości i szlachetności, wyjaśniał, że nie mogą go ruszyć z miejsca, bo stan jego nóg na to nie pozwala. Są tak zmasakrowane, że żaden lekarz na świecie nie byłby w stanie ich poskładać. Prosił swoje kamienie o wybaczenie, że tak je męczył, że dopuścił, by zostały tak głęboko uszkodzone, że nakładał na nie zbyt wielkie obciążenia.

Kiedy skończył przemówienie, znowu popatrzył na klejnoty. Oba płonęły spokojnym, pulsującym światłem. To znak, że zrozumiały i że pragną z nim współpracować.

- Dziękuję wam obu - rzekł Dolg ledwo dosłyszalnie.

Uniósł głowę.

- Kamienie potrzebują pomocy. Czy mogę poprosić tutaj wszystkich, którzy posiadają uzdrawiające siły? Faron, ty już tu jesteś, ale czy Shira i Mar również mogą przybyć? No i Cień? Potrzebujecie tak niewiele miejsca, że chyba wszystko pójdzie dobrze - uśmiechnął się, mając na myśli ulotność duchów.

Wszyscy pośpiesznie zajęli miejsca. Wtedy Dolg położył oba kamienie na zmiażdżonych nogach Marca, Shira wsparła swoje delikatnie i lekkie dłonie na jego głowie, a Cień i Mar ujęli go za ręce. Wypowiadali ciche, tajemnicze zaklęcia, życząc wszystkiego najlepszego unieruchomionemu przyjacielowi.

Marco najpierw siedział oparty o górską ścianę, wdzięczny za to, co dla niego robią i za pomocną dłoń Shiry. Teraz już ostatecznie wydobył się ze stanu przechodzącego z omdlenia w przytomność i znowu w omdlenie, niezwykle bolesnego i odbierającego

zdolność myślenia. Zdawał sobie sprawę z tego, co się stało z jego nogami. Kamienie pod nim były lepkie od krwi, kawałki połamanych kości sterczały nad podartymi nogawkami spodni. Obie nogi leżały jak martwe na podłożu, płaskie, choć przecież podłoże nie było specjalnie równe.

Szafir musiał dokonywać cudów. Faron chciał przynieść przeciwbólową maść, ale Marco powstrzymał go. Szafir łagodził ból co najmniej w tym samym stopniu.

Po chwili do akcji włączył się farangil, pomocnicy nie przestawali wymawiać zaklęć.

Blask obu klejnotów stał się głębszy i bardziej intensywny. Aura wokół nich była niemal nieznośnie silna, nie można było na nią patrzeć. Czerwone i niebieskie kamienie mieszały się we wszelkich możliwych tonacjach fioletu, jakby kamienie chciały, by ich blask tańczył. Twarz Dolga powoli się rozjaśniała, on widział to, czego inni nie dostrzegali: że oto zmętniały farangil powoli, odzyskuje wspaniałość swojej barwy.

- Ukochani przyjaciele - szeptał Dolg ze łzami w oczach. - Moi ukochani przyjaciele.

Cofnął się myślami jakieś trzysta lat w przeszłość. Do tamtych czasów, kiedy jako mały chłopiec odnalazł gdzieś na bagnach w zewnętrznym świecie szafir. Później, kiedy już dorósł, odnalazł na Islandii farangil. W dolinie elfów, zwanej Gjáin. A na koniec miał też szczęście odnaleźć Święte Słońce. Jedno ze świętych słońc w każdym razie, może nie największe, ale jednak. To ono teraz świeci nad miastem Saga. Nad miastem, które zostało wybudowane na cześć jego i Marca.

Nagle Dolga ogarnęła przejmująca tęsknota za domem. Za światłem i ciepłem.

W tej strasznej rozpadlinie, w której jego najlepszy przyjaciel leżał ciężko ranny, magiczne kamienie rzucały przedziwny blask na otaczające ich skalne ściany. Wszystko, co znajdowało się wokół, było rozjaśnione zmieniającymi się strumieniami światła. Gra barw dawała wrażenie ciepła, ale to tylko złudzenie. Dolg widział, że wszyscy stojący obok dygoczą z zimna.

- Patrzcie! Kamienie działają - szepnął Faron.

W tych warunkach nie było czasu na żadne fachowe udzielanie pierwszej pomocy. Nie było czym rozciąć nogawek spodni, nie założono żadnych antyseptycznych opatrunków. Trzeba było umyć stąd najszybciej jak to możliwe, by zająć się Markiem na pokładzie J2.

Nikt jednak nie mógł nie widzieć, jak zbroczone krwią nogi Marca nabierają znowu dawnych kształtów, dostrzegali, że nawet najmniejsze odłamki kości wracają na swoje miejsca, jak mięśnie i skóra wyrównują się i nabierają wcześniejszego wyglądu.

- Boże drogi - mruknął Dolg. - Nawet mnie to zaimponowało. Nigdy jeszcze kamienie, moi przyjaciele, nie wykonały takiej wspaniałej pracy, to po prostu niewiarygodne!

- Być może dlatego, że to dotyczy Marca - zastanawiał się Faron.

- Nie - wtrącił Marco. - Mnie się wydaje, że to dlatego, iż ten nieszczęsny Tsi-Tsungga napoił mnie jasną wodą.

- Naturalnie - potwierdził Faron. - To z pewnością dlatego! I dlatego, że mamy tu aż tylu zdolnych pomocników.

Ale Dolg posłał Marcowi zamyślane spojrzenie.

- Czy to było mądre? Pić jasną wodę?

- Nie - odparł Marco zmęczony. - Moim zdaniem to po prostu katastrofa. Ale akurat w tej chwili jestem mu, rzecz jasna, wdzięczny.

Zwrócili uwagę, że większość towarzyszy opuściła rozpadlinę.

- Dlaczego? - zdziwił się Faron.

- Prawdopodobnie pomagają Tichowi - odparł Dolg. - J2 jest poważnie uszkodzony.

Będziemy mieć problemy z powrotem do domu.

- Jeszcze tylko tego brakowało - jęknął udręczony Faron. - Czy nigdy nie będzie końca nieszczęściom?

Tich powoli kierował dumnego, ale, och, jakże poharatanego Juggernauta w górę, po zboczach Gór Czarnych w kierunku Ciemności.

Gąsienica została jako tako naprawiona, ale lepiej byłoby jej przesadnie nie obciążać.

Dlatego pełzli w ślimaczym tempie, co wszystkim szarpało nerwy.

Nastrój był dość ponury. Wędrowcy tęsknili do domu i na samą myśl o tym, że nie

wiedzą, czy J2 zdoła ich wyprowadzić chociażby z Gór Czarnych, wpadali w panikę.

Każdy z pasażerów Juggernauta miał szczerze dość tego terytorium, na którym wciąż pozostawali. Do domu, do domu, do światła i ciepła, do cywilizacji, wszyscy myśleli tylko o tym.

Marco został otoczony jak najlepszą opieką. Mimo to widać było, że czas spędzony na rumowisku mocno dał mu się we znaki. Oczy zapadły głęboko, twarz była zmęczona i bez wyrazu, Marco bezradnie siedział z Dolgiem i Faronem na jednym z niewielu łóżek.

Większość znalazła sobie miejsca wokół stołu lub odpoczywała na niewyszukanych pościeliach rozłożonych na podłodze. Dwunastu uwolnionych więźniów rozlokowano w różnych miejscach na pokładzie. Żaden z nich nie miał dość siły, by móc uczestniczyć w jakiegokolwiek rozmowie. Tich znajdował się naturalnie wysoko w wieżycy manewrowej, Ram i Faron często do niego zaglądali, by dowiedzieć się czegoś o stanie Juggernauta.

Przeważnie na pokładzie panowało milczenie, na twarzach ludzi malowała się niepewność. Tsi siedział w kącie z Siską w objęciach. Zamknął ją w swoich ramionach, by czuła się bezpieczniej, co ona przyjęła z wdzięcznością. Oko Nocy nadal spał, nikt nie był w stanie pojąć, jak może dokonywać takiej sztuki, spać w pojeździe szarpającym i podskakującym na, łagodnie mówiąc, nierównym podłożu. Freki leżał obok Marca. Wilk śledził czujnie wszystko, co się działo i co mówiono w pojeździe. Potężny niedźwiedź spoczywał obok Oka Nocy i zajmował potwornie dużo miejsca.

Indra uniosła głowę znad stołu, gdzie próbowała trochę odpocząć.

- Wiecie co? Przyszło mi właśnie na myśl, że jednej rzeczy w Górach Czarnych nie wyjaśniliśmy.

- Co to takiego? - zapytał Cień.

- Pamiętacie z pewnością te błyski światła, które zawsze widywaliśmy w domu, w Królestwie Światła?

- Och, nie mów o Królestwie Światła - jęknęła Siska. - Jestem chora z tęsknoty za domem. Czy masz na myśli te błyskawice, które zdawały się przenosić od jednego szczytu do drugiego? I którym zawsze towarzyszyły te straszne, śmiertelne wycia?

- Otóż to właśnie! Widywaliśmy błyskawice na początku naszej wędrówki poprzez Ciemność. Kiedy jednak zbliżyliśmy się do tych piekielnych gór, błyskawice ustały. I chyba nie widzieliśmy ich już przez cały czas naszego pobytu tutaj?

- Masz rację, tak było - przyznał Ram. - Nigdy więc nie zdołaliśmy się dowiedzieć, czym one w istocie są. Jak powstają i dlaczego w ogóle się pojawiają. No i dlaczego ustały? Dolg zwrócił się do wilka:

- Wiesz coś na ten temat, Freki?

- Oczywiście, znam tę sprawę bardzo dobrze - warknął zwierz. - Nie ma nic dziwnego w tym, że ustały. Trzeba wam wiedzieć, że to jeden ze sposobów, w jaki złe moce dręczyły swoich więźniów ze świata baśni. Ci nędznicy przesyłali przez kajdany więźniów prądy o dużym napięciu. Nic dziwnego, że nieszczęsne stworzenia wrzeszczały tak okropnie.

- No tak, to by się zgadzało - powiedział Faron. - Śmiertelne wycia były zawsze wyjątkowo donośne po tych tak zwanych błyskawicach.

- Och! - jęknęła Indra.

- Tak, tak - mruknął Ram.

Znowu zaległa cisza. Z lękiem wsłuchiwali się w nierówne dudnienie gąsienic. Już raz w drodze przez dolinę jedna się przetała. Teraz wielu pasażerów zaciskało kciuki w intensywnym pragnieniu, by wytrzymała. Przynajmniej dopóki nie znajdą się w obrębie Ciemności.

Powinni się tam znaleźć już bardzo szybko. Ale kiedy dokładnie, nikt nie umiałby określić. Na szczęście przynajmniej opuścili potworne centrum gór. Posuwali się teraz tą samą drogą, którą przebyli Sol i Kiro. I którą wcześniej przejechał J1.

Tich, którego na chwilę zastąpił zainteresowany techniką Mar, zszedł po schodach.

- Czy myśmy niczego nie zapomnieli? - zapytał swoim przyjaznym, gulgoczącym głosem.

- Co masz na myśli? - zapytał Faron z taką samą życzliwością.

- I Kiro, i Chor opowiadali przecież o strażnikach przy granicy. Jak my obok nich przejedziemy?

Strażnicy?

Wydawało się, że powietrze uszło ze wszystkich zebranych.

- Znowu jakieś potwory? - westchnęła Indra ciężko.

- Zastanawiam się, ile takich może istnieć w zapomnianych przez wszystkich dolinach - rzekł Faron jeszcze bardziej przygnębiony. - Zdaje się, że pozwoliliśmy sobie na niewybaczalną krótkowzroczność.

- Ale przecież nie możemy znowu wdawać się w bitwy - jęknęła Shira. - Nie mamy już na to sił.

- Tak jest - potwierdził Faron. - Nie tylko jesteśmy wszyscy śmiertelnie zmęczeni, ale skończył się też prowiant, między innymi z powodu tych wszystkich przybyszów, których zbieraliśmy po drodze, począwszy od Doliny Róż aż do dnia dzisiejszego. Poza tym byliśmy w drodze znacznie dłużej, niż zakładano, zapasy nie zostały przygotowane na tyle dni. Musimy jak najprędzej dotrzeć do domu.

W ciszy, która zaległa po jego słowach, wsłuchiwali się w parskania, skrzypienia i gwizdy dochodzące z maszynierii. Wszyscy myśleli: Jeśli to w ogóle jest możliwe...

Myśl o tym, że mogliby spotkać więcej czerwonoookich istot, paraliżowała ich kompletnie.

Najbardziej przejmował się Faron. On przecież będzie musiał podejmować decyzje. Czy powinni próbować przemknąć się nie zauważeni przez pasaż i dzięki temu pozwolić, by większość owych złych istot żyła dalej w Górach Czarnych z wszystkimi konsekwencjami takiej decyzji? Czy też powinni podjąć z nimi walkę? Nie ustąpić, dopóki ostatni nędznik nie zostanie zabity i unicestwiony?

Popatrzył na swój mały, umęczony oddział. Oni nie mają siły do walki ani nie chcą zadawać już więcej śmierci.

Dolę chyba nigdy nie wyczyściłby farangila, gdyby w jego pobliżu znalazło się jeszcze więcej zła. Marco zaś jest zbyt osłabiony, by wykonać którąś ze swoich wspaniałych czarodziejskich sztuk. Wygląda na to, że i duchy wyczerpały swoje możliwości do końca...

- Inna sprawa - myślał głośno, zwracając się do wszystkich, którzy przecież nie słyszeli jego poprzednich rozważań. - Inna sprawa to to, że Siska nie może być narażona na coś takiego jak walka z czerwonoookimi. Teraz przecież wiemy, że ona oczekuje dziecka.

Popatrzyli na niego pytająco.

- Nie pamiętacie tego? - zdziwił się Faron. - Sami przecież mówiliście o tym po waszym powrocie z Ciemności, gdzie zostały uratowane jelenie olbrzymie, czytałem o tym w raporcie. Czerwonoocy szczególnie polowali na Mirandę. Bo w stosunku do ciężarnych kobiet zachowują się niczym wilkołaki.

Tsi wydał z siebie jęk przerażenia.

- Nie! Musimy wracać do domu, jak najszybciej! One nie mogą dostać mojej Siski, nie wolno do tego dopuścić, Siska jest moja, dziecko też jest moje! Nikt nie może ich tknąć, to są najdroższe mi stworzenia na świecie!

- Nikt nie tknie Siski - uspokajał go Faron. - Będziemy jej strzec.

Pozostali potwierdzali, kiwając głowami. Siska musiała cichutko poprosić Tsi, żeby nie przyciskał jej tak strasznie mocno do siebie.

- Tak, tak, uspokój się, mój chłopcze - powiedziała Indra. - Ściskasz ją tak, że dziecko zacznie się dusić.

Ale Indra sama przeżyła szok słysząc słowa Farona. A co by było, gdyby ona też „znalazła się w nieszczęściu”, jak wołała nazywać taką sytuację? Wprawdzie nie wierzyła, że tak mogło się stać, ale gdyby? Powinna się w takim razie trzymać jak najdalej od tych potwornych niewolników Gór Czarnych.

Faron poklepał uspokajająco Tsi i Siskę po barkach i poszedł na wieżyczkę.

Wciąż rozmyślał o tym, jakie możliwości postępowania mieliby w sytuacji, gdyby napotkali jeszcze więcej tutejszych wojowników.

Duchy żywiołów nie mogą wyjść z pojazdu, nie wolno ich narażać na spotkanie ze złem w tych górach, nawet nie mógłby ich prosić o pomoc.

Faron naprawdę nie wiedział, co robić.

To Indra zawołała niedawno rozgoryczona: „Nigdy nie wrócimy do domu!”.

Otworzył drzwi w suficie, przez które wchodziło się na wieżyczkę. Miał teraz widok na okolicę.

Jedna rzecz martwiła go bardzo poważnie, ale nie miał po prostu odwagi podzielić się swoim zmartwieniem z innymi: Otóż ów strzęp księżycy, który był ich domem, Królestwem Światła, zniknął po wybuchu; od czasu eksplozji go nie widzieli. Próbował tłumaczyć sobie, że wszystkiemu winne jest zanieczyszczenie powietrza. Nic przecież nie można zobaczyć w tej burej mgle...

Powtarzał w myślach ową teorię, ale czy naprawdę się nie mylił?

Serce przepełniał mu żal, kiedy myślał o swoim małym, takim zdolnym i takim dzielnym zespole. On, Obcy, który skrzywił się niezadowolony, kiedy wybrano go na następcę usuniętego Talornina. Nie chciał jechać w te niebezpieczne, czarne, zięjące śmiercią góry, nie chciał mieć do czynienia z tymi wszystkimi indywiduami, stojącymi o tyle niżej od Obcych i, jak sądził, nie będącymi w stanie poprowadzić inteligentnej rozmowy. Traktował to jako degradację, ponieważ dotychczas znajdował się wśród najwyżej postawionych w hierarchii Obcych. Ktoś jednak musiał się podjąć nieludzko trudnego zadania, przynieść jasną wodę do domu i spróbować przyprowadzić z powrotem żywych członków ekspedycji. Nigdy przedtem nikomu się to nie udało.

Z wielkim sceptycyzmem przyglądał się liście uczestników. Lemuryjczyków mógłby w końcu zaakceptować. Marco, czarny książę, posiadał, jak mówiono, możliwości równe Dolgowi, synowi czarnoksiężnika i strażnikowi świętych kamieni. Ale reszta?

Madragowie? Podobno mają być niezwykle inteligentni. Jak mogą być inteligentne istoty, przypominające bardziej bizona niż ludzi? Poza nimi jakiś szalenięć z rodu elfów. Ludzie? Wśród nich między innymi Indianin i samuraj. A na dodatek tłum duchów. Tak wyglądało towarzystwo, które miał ze sobą zabrać w pełną niebezpieczeństw podróż.

Teraz Faron wstydził się myśli, które wtedy go zaprzętały. Poznał tę grupę, dowiedział się, jakie to wspaniałe, ba, fantastyczne istoty. Wybrane najlepiej jak można.

Spora część ekspedycji znajdowała się już bezpieczna w Królestwie Światła. Miał przy sobie tylko małą, ale za to najważniejszą grupę, i za nią odpowiadał. Na pokładzie pojazdu byli jeszcze wszyscy odnalezieni. Uczestnicy dawnych ekspedycji, byłoby bardzo miło móc sprowadzić ich triumfalnie do domu.

Ale jak tego dokonać?

Nieoczekiwanie Faron poczuł wielką czułość dla wszystkich zebranych na pokładzie.

Uśmiechał się smutno do siebie na myśl o naiwnym Tsi, szalonej Idrze, wilku Frekim i...

Nic więcej nie zdążył pomyśleć. Był na schodach i musiał się mocno złapać poręczy, żeby nie spaść. Cały pojazd trząsał się niebezpiecznie.

Słyszał, że zebrani na dole krzyczą i przewracają się.

Wydostali się na wzniesienie i kierowali ku granicznemu pasażowi, kiedy to się stało.

Rozległ się bardzo głośny, ostry i nieprzyjemny trzask w podwoziu J2. Pojazd szarpnął i zatrzymał się tak gwałtownie, że wszyscy stracili równowagę.

- Znowu gąsienica - syknął Faron przez zęby. - I to akurat tutaj, przy granicznym posterunku, gdzie każdy może zobaczyć, że jesteśmy bezradni!

Tym razem to Tsi-Tsungga jęknął z głębi serca:

- Nigdy nie wrócimy do domu! Chcę, żeby Siska mogła się znowu znaleźć w ciepłe i światło. Nie chcę pozostawać dłużej w tym okropnym, zimnym kraju, tak strasznie się o nią boję! Ale nigdy przecież się stąd nie wydostaniemy!

SILAS

Był jeszcze ktoś, kto naprawdę znajdował się w okropnej sytuacji. To mały Silas Anderson. Nie uczestniczył w wyprawie do Ciemności ani do Gór Czarnych. Mieszkał po prostu w mieście nieprzystosowanych, w obrębie Królestwa Światła. W tym mieście jednak panował bardzo chłodny klimat dla kogoś, kto w żaden sposób nie był podobny do innych mieszkańców.

A tak właśnie było w przypadku Silasa.

Miał siedem lat. Chodził do pierwszej klasy miejscowej szkoły, a to wcale nie było zabawne.

Ostatnia lekcja. Pani stoi nad nim.

- Nie, ty, Silas, naprawdę niczego nie rozumiesz - mówi ze złością. - Prawie całą godzinę tłumaczyłam i pokazywałam na tablicy, a co ty z tego wszystkiego zapisałeś? Trzy pozbawione sensu słowa?

Pani rzuciła zeszyt na pulpit. Dzieci w klasie z trudem powstrzymywały śmiech.

- Patrz na innych! Patrz na Torstena, jak on ślicznie pisze! I tak dużo. Popatrz na prace Mary, tak to powinno wyglądać! Co się z tobą dzieje, Silas? No, na szczęście dzwonek. Wiecie już, co macie zrobić na jutro, w takim razie możecie iść do domu, dziękuję wam za dzisiejszy dzień! Może i ty, Silas, postarasz się odrobić na jutro lekcje, co? Może chociaż raz by ci się udało. Nie, nie odchodź ode mnie, kiedy do ciebie mówię!

Pani szarpie chłopca za ramię i odwraca ku sobie. Nie chce jednak nic mówić na temat wielkiego sińca, który ukazał się na ręce, gdy rękaw podciągnął się w górę. Chociaż na dworze jest ciepło, Silas zawsze ma na sobie koszulę z długimi rękawami albo sweterek. Pani pozwala mu odejść, nie chce już więcej zaprzętać sobie głowy tym niemożliwym chłopakiem.

Silas próbował wymknąć się nie zauważony ze szkoły, ale inni chłopcy go jednak zobaczyli. Pobiegli za nim. Wyrwali mu tornister, rozsypali książki na ziemi. Dzisiaj jednak nie mieli dla niego zbyt wiele czasu. Czekali ich dużo ciekawsze sprawy, więc szybko dali mu spokój.

Z ulgą pozbierał książki, tym razem tak bardzo się nie zniszczyły, i pośpieszył do domu. Miał nadzieję, że zastanie mamę. W przeciwnym razie będzie musiał ugotować obiad, a na ogół mu się to nie bardzo udawało, żeby nie wiem jak się starał.

Mamy w domu nie było. Poszła gdzieś z jego młodszym rodzeństwem. Trudno, trzeba gotować obiad.

To niełatwa sprawa, kiedy człowiek ledwo sięga brodą do kuchni. Silas oparzył się o rozgrzaną patelnię. Sam opatrzył sobie rękę, z doświadczenia wiedział, gdzie szukać bandaża.

Przy obiedzie ojciec był ponury jak chmura gradowa. Silas zapomniał przygotować sos. To znaczy, pamiętał o tym, ale nie potrafił. Nauczył się gotować ziemniaki i smażył do nich to, co znalazł w lodówce. Ale matka też przeważnie nie była zadowolona z jego osiągnięć. Teraz przy stole syknęła:

- Słuchaj, kiedy do ciebie mówię, chłopcze! Nie schowałeś pościeli, jak cię prosiłam, nie wyjąłeś też prania z pralki, a przypomiinałam ci o tym rano bardzo wyraźnie. Myślisz

wciąż tylko o sobie, jesteś najbardziej leniwym dzieckiem, o jakim słyszałam. Czy jest ktoś bardziej niezdarny i zagapiony niż ty?

Twarz matki poczerwieniała z gniewu, kiedy patrzył jej w oczy. Silas mrugał przerażony, policzki mu płonęły, czuł bolesny ucisk w gardle.

Miał dwoje młodszego rodzeństwa, ale trudno mu było nawiązać z nimi kontakt. Byli jeszcze mali, więc i mama, i tata bardzo ich kochali. Gdy mama i Silas zostawali sami, też czasem panował miły nastrój, chociaż matka często bywała niezadowolona, bo jej nie słuchał. Takie chwile, kiedy oboje siedzieli przy kuchennym stole i rozmawiali o różnych sprawach, należały do najlepszych w życiu Silasa; wtedy mama naprawdę skupiała się na tym, co on ma do powiedzenia, choć uważała, że mówi bardzo źle jak na siedmioletniego chłopca. Kiedy jednak do domu przychodził ojciec, w oczach mamy pojawiał się jakiś błysk, jak u ściganego zwierzęcia, jakby wciąż się bała, że ojciec zacznie krzyczeć na Silasa, i często prosiła chłopca, by uważnie słuchał, co ojciec do niego mówi i czego od niego chce.

Gdy dochodziło do kłótni, mama stawała się bardzo nerwowa, ale zawsze trzymała stronę ojca.

Silas sądził, że wypełnia polecenia. Ale był tak beznadziejnie zdekoncentrowany, że kiedy później dostawał razy i szturchańce, kiedy wymówki i złe słowa spadały na jego głowę, miał wrażenie, że wszystkie myśli mu jakby wypływały.

Po tym pozbawionym sosu obiedzie w domu nie czekało go nic miłego. Zresztą ostatnio w ogóle nigdy nie było tu miło.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, poszedł więc i włożył buty do biegania. Chciał wyjść.

Przypadkiem zobaczył swoje odbicie w lustrze. „Nietoperz”, tak go między innymi nazywali koledzy w szkole. Tylko dlatego, że miał takie duże, odstające uszy. Ale w ogóle nie było w nim niczego szczególnego. Chudziutki, jasne, potargane włosy, na czubku głowy zawsze sterczał kogut, niezależnie od tego, jak starannie się czesał. Potarganiec, mówiła mama, wciąż opowiadała historię o tym, jak go uczesała na mokro w dniu, w którym miał być chrzczony. I akurat w momencie, gdy pastor wypowiadał nad nim błogosławieństwa, wysuszone już włosy rozsypały się tak gwałtownie, że pastor musiał się roześmiać, a mama okropnie się wstydziła. Bardzo była wtedy zła na Silasa. Już wówczas, kiedy nie miał nawet pół roku.

Piękny w każdym razie nie jest. Piegowaty, rudoblond. Nigdy nie będzie miał ładnych ciemnych włosów ani opalonej buzi jak inne dzieci. „Jeszcze dwa piegi i będziesz jak Murzyn” drażniły się z nim dziewczynki i chichotały przy tym rozbawione.

Rodzice byli zajęci młodszym rodzeństwem. Silas spokojnie powlókł się do lasu. Chociaż nazywać ten zagajnik lasem, to chyba przesada. Właśnie „zagajnik” to najwłaściwsze słowo. W każdym razie Silas chętnie się tutaj ukrywał. Zabierał ze sobą kawałki chleba i orzechy, karmił wiewiórki i ptaki. Jeśli siedział całkiem spokojnie, to zdarzało się, że wiewiórki podchodziły bardzo blisko i chwytaly smakołyki. Już się go nie bały.

Tego popołudnia jednak nie spotkał w lesie żadnych zwierząt. Wiedział dlaczego, przstraszyły się innych dzieci, które poprzedniego dnia z krzykiem biegały po okolicy. Sam musiał się przed nimi ukrywać.

Żadnych małych zwierzątek. Wszędzie pusto. Silas miał wrażenie, jakby utracił jedynych przyjaciół.

Nie jest łatwo być Silasem. Trudno jest tak się starać, żeby wszystkim dogodzić, a mimo to zbierać wymówki i szturchańce.

Trudno myśleć, że pamięta się wszystkie polecenia, a mimo to mnóstwo z nich zapominać.

Czuł się coraz bardziej niechciany. Nikt go nie potrzebuje. Zawsze wszystkim przeszkadza. Silas nie lubił płakać. Czuł jednak bolesny ucisk w piersiach i pieczenie w oczach. Nic nie mógł na to poradzić. Łzy popłynęły po policzkach. Czuł się taki samotny na świecie. Nikt go nie kocha...

4

Goram, Strażnik, jeden z bliskich współpracowników Rama, włożył na nogi miękkie buty. Wstał i wyciągnął swoje długie, muskularne ciało. Włosy miał jeszcze mokre, bo przed chwilą brał prysznic. Miał za sobą męczący trening w pełnej przyrządów sali gimnastycznej. Ale bardzo dobrze się po nim czuł.

Goram był trochę rozgoryczony. Nie pozwolono mu wziąć udziału w ekspedycji do Gór Czarnych.

Dlaczego nie? Przecież uczestniczył w wyprawie, która ratowała jelenie olbrzymie.

Chociaż wtedy nie popisał się żadnymi wielkimi czynami. Musiał się zajmować Mirandą, chronić ją, a także pełnił rolę w Juggernautcie, podczas kiedy inni przeżywali szalone przygody w lasach Ciemności. Goram robił to, co mu polecono, gdzie popełnił błąd, że następnym razem nie włączono go do ekspedycji? Do tej najtrudniejszej, najważniejszej wyprawy?

Było ich pięciu, stanowili elitę Strażników. Funkcję szefa piastował Ram. Rok i Kiro byli jego najbliższymi współpracownikami. Teraz, pod nieobecność Rama, Rok sprawował nadzór nad wszystkim, co dzieje się w Królestwie Światła. Kiro uczestniczył w wyprawie. Tell jakiś czas temu towarzyszył księżnej Theresie do zewnętrznego świata. A on, Goram, jakby został wykluczony z zespołu.

Oczywiście znał oficjalną odpowiedź, dlaczego tak się dzieje. Po pierwsze, nie można było wysłać do Gór Czarnych więcej najwyższych postawionych Strażników, ktoś musiał przecież zostać w Królestwie Światła, gdyby ekspedycji się nie powiodło, tak, jak to miało miejsce w przypadku wszystkich wcześniejszych wypraw. Po drugie, Goram otrzymał zadanie, tutaj, w Królestwie Światła. Ale zadanie, które absolutnie mu się nie podobało. Działo się to w dwa dni po tym, jak ciężkie Juggernauty opuściły Królestwo, by udać się do Gór Czarnych.

„Pojedziesz do miasta nieprzystosowanych”, powiedział do niego Rok. „Dlatego właśnie zatrzymaliśmy cię tu w Królestwie, są tam jakieś problemy, nie do końca wiem, o co chodzi. To sprawa jakiegoś chłopca, jego kuzynka bardzo by chciała porozmawiać z jednym z nas”.

Znowu ci drobni kryminalni przestępcy, myślał Goram. Jakiś chłopak, któremu podoba się niebezpieczne życie.

Miasto nieprzystosowanych. Miejsce, którego żaden ze Strażników nie lubił, no i właśnie w nim wypadło mu zadanie. Przyjazd tutaj często oznaczał konfrontację z podstępnyymi

lub agresywnymi ludźmi, co źle wpływało na spokojnych i przyjaźnie usposobionych Strażników. Często też musieli bronić Królestwa Światła przed atakami z zewnątrz i dbać, żeby wszystkim było dobrze. Już samo to oznaczało mnóstwo najrozmaitszych zadań, dużo bardziej skomplikowanych niż te, którymi władze i policja zajmują się w świecie zewnętrznym.

W mieście nieprzystosowanych mieszkało wielu ludzi, którzy nie chcieli, żeby im było dobrze. Uwielbiali móc się skarżyć na swój straszny los, na to, że znaleźli się tutaj, w centralnym punkcie Ziemi, bez możliwości powrotu do świata zewnętrznego. Uwielbiali stwarzać problemy, awanturować się, chcieli mieć dużo pieniędzy, gromadzić bogactwa, chcieli tutaj mieć wszystko co najgorsze w życiu zewnętrznego świata, takie same jak tam rozrywki: gra w karty, szalona jazda po pijanemu i tak dalej, i tak dalej.

Naturalnie nie dotyczyło to wszystkich mieszkańców miasta. Większość to porządni, pracowici ludzie. Ale wszystko, co w Królestwie Światła można by nazwać szumowiną, znajdowało się wyłącznie w mieście nieprzystosowanych. Goram jechał tam w ponurym nastroju. Wspominał moment, kiedy dwa dni temu wielka ekspedycja wyruszyła w drogę. Obserwował ze swojej gondoli, jak J1 i J2 zbliżają się do granicznego muru, ich widok sprawił, że serce przepęliła mu gwałtowna tęsknota. Oczywiście zazdrościł wszystkim wybrańcom wielkich przeżyć, był przekonany, że powinien znajdować się wśród nich! Miasto nieprzystosowanych... cóż to za zamiana!

Zgodnie z umową spotkał się z dziewczyną na jednym z placów, domyślał się, że wybrała miejsce położone daleko od swojego domu.

Rozglądał się wokół z narastającym nieprzyjemnym uczuciem. Całkiem niedawno Obcy przeprowadzili w mieście nieprzystosowanych wielkie porządki, właściwie miasto nazywało się Mały Madryt, tę nazwę nadali mu pierwsi mieszkańcy, którzy nigdy nie przestali tęsknić za domem. Ale porządkowanie nie miało trwalszych rezultatów, teraz wszystko znowu było brudne. Zaśmiecone ulice, złe głosy przechodniów, młodzież mijająca go ze zbyt wielką prędkością w hałaśliwych samochodach lub na motocyklach. Mieszkańcy tego miasta dostali wszystko, czego chcieli, od czasu do czasu jednak sprawy posuwały się za daleko i potrzebna była interwencja Strażników. Albo Obcych... Tutaj rzeczywiście potrzeba eliksiru Madragów. Goram miał nadzieję, że tym razem ekspedycja osiągnie sukces. Gdyby bowiem mieszkańcy tego miasta napili się eliksiru, to dobroć i wyrozumiałość na zawsze zagościłyby w ich sercach. Poza tym mogliby wrócić na powierzchnię ziemi, gdzie również eliksir będzie zachowywał swoją moc. Ufał, że pewnego dnia to wszystko się stanie.

Na razie jednak nie wiedzieli nic o losach ekspedycji. Kiedy znalazła się za murami Królestwa Światła, wszystkie więzi zostały zerwane.

To musi być ta dziewczyna. Nazywa się Lilja Anderson. Siedziała na ławce, odwrócona do niego plecami. Kręcone blond włosy, czerwony sweterek z krótkimi rękawami, tak jak mówiła. Takie długie włosy to w tym mieście rzadkość. Przeważnie młodzi ludzie noszą standardowe, krótko ostrzyżone fryzury z taką ilością różnych środków do układania włosów, że zawsze wyglądają, jakby ich tygodniami nie myto.

Włosy tej dziewczyny mieniły się w słońcu.

- Lilja?

Odwróciła się pośpiesznie i podskoczyła. Zerwała się z ławki i cofnęła o kilka kroków.

- Lemuryjczyk?

Goram uśmiechnął się przyjaźnie.

- Większość Strażników to Lemuryjczycy, nie bój się, nie gryziemy.

Wiedział, że Lemuryjczycy są w tym mieście traktowani jak istoty nadprzyrodzone. A wszystko co „nienaturalne”, wydaje się obce, być może nawet niebezpieczne. Zresztą Strażnicy nie byli tu specjalnie popularni, nikt nie lubi mieć nad sobą nadzorców wydających rozkazy. Mieszkańcy miasta chcieli dbać o siebie sami, nie potrzebowali, żeby się ktoś mieszał w ich sprawy.

Dlatego też bardzo rzadko ktoś wzywał Strażnika. Ale ta dziewczyna wezwała. Musi więc chodzić o coś naprawdę ważnego.

Dziewczyna była all right, trochę zawstydzona, ale spojrzenie świadczyło o wrażliwości, poza tym miała bardzo zmysłowe wargi. Wyglądała na dość zagubioną i onieśmiałoną, nie tylko z tego powodu, że spotkała Lemuryjczyka, ale najwyraźniej ze względu na sytuację, w której się znalazła.

- Bardzo przepraszam - wyjąkała. - Ale prosiłam o dyskrecję.

- Jestem bardzo dyskretny - zapewnił.

- Ale mnie chodzi o potem.

Goram spojrział w dół na swój jasny, obcisły kostium Strażnika okryty krótką peleryną. Reakcja dziewczyny zdumiewała go, nie przywykł bowiem do tego, by ktoś zwracał specjalną uwagę na wygląd Strażników. Ale tak dzieje się w pozostałych częściach Królestwa. Miasto nieprzystosowanych jest czymś innym.

Niedawno wydano zakaz nazywania tego miejsca miastem nieprzystosowanych.

Uznano, że to określenie obraźliwe. Wszyscy mają nazywać miasto Małym Madrytem.

Ale stare przyzwyczajenia trudno zmienić, zwłaszcza że określenie „miasto nieprzystosowanych” jest bardzo wymowne.

- Czy możemy pójść do tamtej cukierni? - zaproponował, wskazując na stoliki ustawione pod dużym liściastym drzewem. Lilja śledziła jego wzrok i zrozumiała, o co mu chodzi.

Mogli tam rozmawiać nie niepokojeni przez nikogo, ukryci od strony ulicy. Z wdzięcznością skinęła głową i poszli, Lilja bardzo skrupowana jego towarzystwem.

- Och, nigdy nie powinnam była tego robić - mruknęła sama do siebie, ale on dobrze słyszał jej słowa.

Jak większość Lemuryjczyków, Goram był bardzo przystojnym mężczyzną, na ten niezwykły, lemuryjski sposób, rzecz jasna. Miał piękny profil, owalne, lekko skośnie ustawione i kompletnie czarne oczy pod równie czarną, jedwabistą czupryną. Dla Lilji jednak był istotą zupełnie obcego gatunku. Nie zwierzęciem, trudno by tak twierdzić, ale też i nie człowiekiem. Nie podzielała ona poglądów Ludzi Lodu czy rodziny czarnoksiężnika w odniesieniu do wszelkiej odmienności.

Podeszła kelnerka z wózką wypełnionym pysznymi kanapkami i ciastkami, i Lilja uświadomiła sobie, że jest głodna. Przez całe przedpołudnie była tak spięta, że nie mogła nic przełknąć.

- Ale nie zabrałam pieniędzy - bąknęła przerażona. - A wy, z zewnątrz, nie używacie przecież pieniędzy?

Z zewnątrz? A więc to tak nazywano w tym mieście pozostałe części Królestwa Światła? Najwyraźniej wiedziała, że tylko tutaj używa się pieniędzy jako środka płatniczego. I tylko tutaj ludzie zabiegają o bogactwa.

- Jakoś to załatwimy - uspokoił ją ów przerażający Lemuryjczyk. Wypisał coś na kawałku papieru i podał kelnerce. Ta przeczytała, robiąc wielkie oczy.

- Dziękuję - wykrztusiła. - Bardzo, bardzo dziękuję!

- Czy mogę poprosić o jedno z tamtych? - zapytała Lilja nieśmiało i pokazała palcem.

- Możesz dostać wszystko, co jest na tym wózku, jeśli chcesz - odparła kelnerka, wciąż bliska szoku ze zdumienia i szczęścia.

Lilja wybrała dwie kanapki i jedno ciastko, najpyszniejsze, jakie widziała. Bardzo chętnie zapytałaby Lemuryjczyka, co napisał, ale nie miała odwagi.

Kiedy zaczęli jeść i pić, on powiedział:

- Liljo, nazywam się Goram i przyszedłem tutaj, by ci pomóc. Przede wszystkim zaś wysłuchać, co masz do powiedzenia. Ale momencik, chciałem... ile ty masz lat? Bo wyglądasz tak, że mogłabyś mieć i szesnaście, i dwadzieścia parę. Akurat w tym wieku trudno to dokładnie określić.

- Skończyłam osiemnaście - uśmiechnęła się niepewnie.

Skinał głową.

- No to mów! O ile dobrze zrozumiałem, sprawa dotyczy jakiegoś chłopca?

- Tak. To mój kuzyn. Nazywa się Silas Anderson i on... wiecie mu się nie najlepiej.

Goram wypił łyk z filiżanki.

- Mów dalej!

Lilja, która podziwiała jego piękne dłonie, drgnęła.

- Oczywiście! No więc Silas ma siedem lat i jest chyba wielkim marzycielem. Żyje we własnym świecie i zachowuje się tak, że każdego by wyprowadził z równowagi.

Nieustannie wszyscy się na niego złością. W szkole jest okropnie prześladowany przez kolegów, wciąż przynosi do domu uwagi od nauczycielki, a jego ojciec go nie znosi.

- To bardzo ciężkie oskarżenie.

- No, prawdę mówiąc, to nie jest jego rodzony ojciec. Mama Silasa była w ciąży, kiedy przydarzyło się nieszczęście i znaleźli się tutaj w podziemiach. Ojciec chłopca został jednak w zewnętrznym świecie. Silas urodził się już tutaj, a matka wyszła za mąż za człowieka, który teraz jest ojcem chłopca. To mój wuj, dlatego oboje, i Silas, i ja, nosimy nazwisko Anderson.

- Ach, tak! Ma ojczyzna. To zawsze bardzo trudna sytuacja, we wszystkich rodzinach.

- Tak. Ma trzyletniego brata i dwuletnią siostrę. To znaczy przyrodnie rodzeństwo.

- No a jak matka? Czy ona zajmuje się Silasem?

- To dość słaba kobieta - powiedziała Lilja, krzywiąc się. - Śmiertelnie się boi stracić męża, wobec tego zawsze bierze jego stronę, przeciwko Silasowi. Poza tym to sympatyczna osoba, nie mogłabym nic na nią powiedzieć.

- A twój wuj?

Lilja westchnęła.

- On i mój ojciec są do siebie bardzo podobni. Przede wszystkim brak im cierpliwości.

Rzecz jasna, ja nie jestem przez cały czas aniołem, ale nie zliczyłabym policzków, jakie

dostałam, jeśli nie posłuchałam ojca albo zrobiłam coś, czego nie pochwalał. Trudno czuć się przywiązany do takich rodziców, ale ojciec Silasa jest gorszy. Goram czuł gwałtowną niechęć do takiego sposobu wychowywania dzieci. Zaległa cisza, Goram zastanawiał się nad sytuacją.

Lilja spróbowała kanapki, bardzo wykwintnej i kolorowej. Aż westchnęła z rozkoszy. To prawda, że pełna była rozmaitych wątpliwości i bardzo się bała, zanim przyszła na miejsce spotkania. Bardzo możliwe, że po wszystkim będzie żałować swojej decyzji. Ale akurat teraz, w tej małej kawiarence pod drzewami, z najpyszniejszym jedzeniem na talerzu i owym niezwykłym, kompletnie obcym mężczyzną po drugiej stronie stołu... Tak, teraz odczuwała głęboki spokój i ulgę, jakiej nigdy przedtem nie doznała. Jakie cudowne przeżycie.

Nie wiedziała nic o tym, że Lemuryjczycy mają szczególną zdolność wytwarzania takiego właśnie nastroju. Po prostu czuła się znakomicie i wierzyła, że problemy nieszczęsnego małego Silasa wkrótce zostaną rozwiązane.

Była przekonana, że w towarzystwie Gorama absolutnie nic jej nie grozi.

Spokojnie sięgnęła po ciastko. Dzień był piękny, ciężkie kiście kwitnącego złotokapu zwisały nad ich stolikiem, a hałasy z ulicy i placu tutaj nie docierały.

Cieszyła się, że włożyła dzisiaj ten nowy, czerwony sweterek, wiedziała, że jest jej w nim do twarzy. Niepewność gdzieś się ulotniła, dziewczyna z radością stwierdzała, że można rozmawiać z tą istotą z innego świata i że w dodatku jej towarzysz jest naprawdę bardzo miły!

Podskoczyła gdy Goram się nagle odezwał.

- Zaczynam sobie chyba budować obraz sytuacji. Powiedz mi, czego ode mnie oczekujesz? Czy chciałabyś, żebym porozmawiał z rodzicami chłopca, skłonił ich, by poważniej traktowali swoje obowiązki?

- Och, chodzi o coś więcej, nie opowiedziałam jeszcze wszystkiego! Bardzo jestem niespokojna o Silasa. Przedwczoraj wracałam do domu przez zagajnik. I tam spotkałam Silasa, udało mi się dopaść do niego właśnie w momencie, kiedy chciał się powiesić na drzewie.

Goram patrzył na nią wstrząśnięty.

- Ale jak sprawy mogły zajść tak daleko? To przecież siedmiolatek!

- Zmusiłam go, żeby mi obiecał, że już nigdy więcej tego nie zrobi. Ale chyba nie powinnam za bardzo polegać na tej obietnicy. Czy nie mógłby pan...

Goram uniósł dłoń w górę, jakby chciał zaprotestować.

- Przepraszam - powiedziała Lilja - czy nie mógłbyś porozmawiać z nim samym?

- Oczywiście! Zaraz to zrobię. Ale chciałbym też zbadać sprawę w domu i w szkole.

Dziękuję ci, Liljo, że miałaś odwagę wystąpić w tej sprawie!

Goram wstał. Ona też zerwała się na równe nogi i patrzyła na niego błagalnie.

- Ale nie wolno ci o mnie wspominać! Ani o tej rozmowie, nie możesz się wygadać, że to ode mnie dowiedziałeś się o wszystkim. W przeciwnym razie ojciec mnie zatłucze.

- Pominąwszy to, że wyrażasz się może zbyt drastycznie, to i tak miałbym ochotę porozmawiać również z twoim ojcem.

Te słowa przeraziły Lilję śmiertelnie, musiał ją więc zapewnić, że niczego takiego nie robi.

- Bardzo bym jednak chciał, żebyś ze mną była, kiedy będę spotykał różnych zainteresowanych tą sprawą. Żebyś mi ich przedstawiła.

Miała tak zrozpaczoną minę, że pośpiesznie dodał:

- No trudno, jakoś dam sobie radę. Mimo wszystko chciałbym utrzymywać z tobą kontakt. Proszę bardzo, daję ci małe nadajnik i odbiornik, taki minitelefon.

Przyjęła dziwny przedmiot z największym wahaniem. Goram zademonstrował jej, jak urządzenie działa, że nie będzie musiała trzymać go przy uchu, zamontował je tak, że nie było widać, i przeprowadził z nią krótką próbną rozmowę. Lilja rozjaśniała się w miarę, jak nabierała pewności, że urządzenie niczym jej nie grozi. Goram ostrzegł ją zresztą, żeby nikomu tego nie pokazywała, po czym zapisał wszystkie adresy, wypytał o niezbędne szczegóły i pożegnali się.

Lilja patrzyła w ślad za nim, dopóki nie zniknął jej z oczu. Wcale nie był taki zarozumiały, jak mówiono o Lemuryjczykach. Jest naprawdę bardzo sympatyczny. Zaufała mu i była przekonana, że może na nim polegać. Byleby tylko się nie wygadał, że to ona poinformowała go o wszystkim, bo naprawdę narobiłby jej kłopotu. Ale nie wierzyła, że mógłby się tak zachować, wszystko wskazywało na to, że rozumie, jaka trudna jest jej sytuacja.

Kelnerka? Jedyne osoba, która widziała ich razem. Czy ona wie, kim jest Lilja? Gdyby powstały jakieś problemy, to czy mogłaby świadczyć?

Czy może Lilja powinna pójść i ją ostrzec? Nie, kelnerki nigdzie nie widać, najlepiej więc zniknąć. Ale owszem, oto jest kelnerka, co ona robi? Lilja była kompletnie oszołomiona, nie potrafiła jasno myśleć.

Kelnerka podeszła do niej i uśmiechnęła się serdecznie.

- Coś może jeszcze ci podać?

- Nie, ja... chciałabym tylko... czy mogłabyś... być tak miła i zapomnieć, że mnie tutaj widziałas? Miałabym awanturę w domu, gdyby...

Kelnerka patrzyła na nią wciąż życzliwie, zaciekawiona.

- Czy on jest twoim... no wiesz?

Lilja zaczerwieniła się po korzonki włosów.

- Nie, nie - zaprotestowała gwałtownie. - To przecież Lemuryjczyk! Co ty sobie myślisz?

Kelnerka, która była wyraźnie starsza od Lilji, powiedziała tylko:

- Przecież to bardzo sympatyczny mężczyzna. I naprawdę przystojny, miło na niego popatrzeć!

Ale nie jest człowiekiem, myślała Lilja. Tamta jednak powiedziała, jakby czytając w myślach dziewczyny:

- Tam, w innych częściach Królestwa, wiele dziewcząt wybiera Lemuryjczyków.

Ciekawość Lilji zwyciężyła.

- Co takiego on ci dał?

Twarz kobiety rozjaśniła się w uśmiechu. Wyjęła z kieszeni karteczkę.

- To carte blanche do najelegantszego domu mody w stolicy!

- Oj! I będziesz mogła tam kupić, co tylko zechcesz? I tyle, ile będziesz chciała?

- Nawet cały sklep. Ale oczywiście tak się nie zachowam, nie należy nadużywać życzliwości. Zapewniam cię jednak, że wyjdę stamtąd bardzo elegancka - powiedziała rozpromieniona. - No a teraz, skoro zaspokoiliam twoją ciekawość, może ty zaspokoisz moją? Czego on chciał?

- Nie, to nie on, to ja wezwałam Strażnika. Mój mały kuzyn próbował odebrać sobie życie i prosiłam Gorama, tak ma na imię ten Lemuryjczyk, żeby spróbował wyjaśnić, dlaczego. I żeby pomógł chłopcu, bo jemu jest bardzo źle.

- Ach, tak, no to teraz rozumiem! Musisz być bardzo dobrą dziewczyną. Powiedz, gdybym mogła coś w tej sprawie zrobić!

- Dziękuję, jeśli będę potrzebowała pomocy, zwrócę się do ciebie. Ale przede wszystkim chciałabym cię prosić, żebyś nikomu o niczym nie wspominała! I mój kuzyn, i ja sama mielibyśmy straszne kłopoty, gdyby ktoś się dowiedział, co zrobiłam.

- Obiecuję ci. Nie było was tutaj.

Lilja uspokojona wyszła z kawiarni. Jacy ludzie bywają sympatyczni, jeśli tylko spróbować do nich dotrzeć, myślała. Nigdy nie chciałam mieszkać w tym mieście, nie rozumiem, dlaczego mama i ojciec się stąd nie wyprowadzą, ale oni mówią, że chcą żyć jak w starym kraju i że tęsknią tylko za dawnym domem.

Mam nadzieję, że nie odkryją, czym ja się zajmuję.

5

TĘSKNOTA ZA DOMEM

Przez dłuższą chwilę większość podróżnych na pokładzie J2 nie była w stanie się ruszyć. Ta nowa przeszkoda po prostu ich poraziła.

Znajdowali się tak blisko domu, że widzieli w oddali lasy Ciemności, i właśnie teraz ich pojazd musiał się roztrzaskać w absolutnie najgorszym miejscu. Znajdowali się na płaskowyżu tuż przed granicą, tak że wszystkie straże mogły ich widzieć.

Tich krzyknął z wieży:

- Nie dostrzegam żadnych śladów życia przy stacji granicznej. Ale nigdy nie wiadomo. Pospiesznie zszedł po schodach na dół. Ram i wielu innych wybiegło już na zewnątrz, by zbadać uszkodzenia. Cała gąsienica leżała popękana na ziemi.

- Czy możemy jechać bez gąsienicy? - zapytała Indra, czując, że tego rodzaju pytań kobiety nigdy nie powinny zadawać w obecności mężczyzn.

Ale Tich spokojnie wyjaśnił jej, dlaczego nie da się tego zrobić, ona zapewniała, że rozumie, chociaż naprawdę nie miała pojęcia, o co chodzi.

- Ciebie - powiedział Faron. - Pójdiesz na dół do granicy i rozejrzysz się, jak tam jest?

- Naturalnie - odparł Ciebie, wdzięczny, że ma coś do roboty. Bardzo zazdrościł Shirze i Marowi, którzy towarzyszyli Oku Nocy aż do źródeł. - Pójdę i zobaczę ilu ich jest i jak są uzbrojeni.

- Znakomicie! Zobacz też, czy moglibyśmy się jakoś koło nich przemknąć!

Ciebie natychmiast zniknął.

Indra wróciła do pojazdu. Czekają tam pięć duchów żywiołów, patrzyły teraz na nią pytająco. Widziała w ich oczach lęk i niepokój. One też źle się czuły w sytuacji, gdy na każdym kroku napotykały przeszkody i niebezpieczeństwa, wciąż atakowani przez złe moce. Duchy wiedziały, że jeśli tylko uda im się wydostać z Ciemności, to

niebezpieczeństwo będzie znacznie mniejsze. Wyglądało jednak na to, że opuszczenie Ciemności jest sprawą niezwykle trudną.

Indra rozumiała duchy. Na zewnątrz majaczyły już głębokie lasy Ciemności. Ale droga do nich została zamknięta przez beznadziejnych wartowników, którzy najprawdopodobniej nie mieli pojęcia, że główny bastion już się zawalił.

No zresztą nie, pojęcie musieli chyba mieć. Marco narobił takiego hałasu, że nie mogli tego nie zauważyć. Chociaż może sądzili, że to ich władcy w ten sposób przepędzili intruzów. Tylko skąd te okropne opady?

Na zewnątrz pracowano z zapalem, żeby naprawić gąsienicę, ale Indra nie miała ochoty się do tego przyłączyć. Wyjaśniła duchom, jak się rzeczy mają, powiedziała im, że Cień wybrał się na zwiady. Duchy trochę się uspokoiły.

Nie bądźcie takie nadęte, pomyślała Indra lekceważąco. Gdyby Shira i Mar w was nie wierzyli, w ogóle byście już nie istnieli!

Może właśnie dlatego są takie lękliwe. Wiedzą, że ich egzystencja wisi na bardzo cieniutkim włosku.

Shama różnił się trochę od pozostałych czworga. Sprawiał wrażenie spokojniejszego, wygłaszał ironiczne komentarze. Ale taka postawa bardzo często skrywa niepewność. Nagle Indra spostrzegła, że w grupie na zewnątrz pojawił się Cień, pośpieszyła więc tam i przyszła akurat w momencie, kiedy Faron mówił:

- Oni są martwi, wszyscy co do jednego. - Potem dodał, zwracając się do Cienia, Shiry i Mara: - Czy wy troje moglibyście podjąć szybką zwiadowczą wyprawę do najbliższych dolin i w okolicy granicy, rozejrzeć się, czy wszędzie sytuacja wygląda tak samo?

Spieszcie się jednak, za nic nie chcielibyśmy was utracić!

Wszyscy troje zniknęli momentalnie.

- No jak z gąsienicą, Tich? - zapytał Faron.

Madrag westchnął ciężko.

- Jest zbyt zniszczona, a przez to za krótka, żebyśmy ją znowu mogli jakoś połączyć.

Musimy nadsztukować kawałkiem innego materiału. Nie wiem tylko, skąd go wziąć. Teraz powinniśmy mieć tutaj Móriego. Może on swoimi czarami potrafiłby naprawić gąsienicę.

- Ach, Móri, tak - zgodził się Faron. - Pamiętajcie, że jeśli kiedykolwiek wrócimy do domu, musimy mu szczegółowo opowiedzieć, jak bardzo nam go tutaj brakowało.

Marco skinął głową.

- I nigdy nigdzie nie pojedziemy bez niego.

- Myślę, że on już o tym wie - powiedział Dolg. - Kiro i Sol powiedzieli mi, że pierwsze, co zrobią w Królestwie Światła, to będzie wychwalanie umiejętności mojego ojca. Jestem pewien, że to go bardzo ucieszy.

- Miło nam to słyszeć - powiedział Faron. - Ale co zrobimy teraz? J2 nie jest już w stanie latać, prawda, Tich?

- Niestety, to niemożliwe. Słyszeliśmy wprawdzie, że J1 poderwał się tutaj przy stacji granicznej do lotu, ale w Dolinie Róż maszyna J2 została dużo bardziej uszkodzona niż urządzenie J1. Nam się to nie uda.

Wszyscy zwrócili uwagę, że Tich mówi o pojazdach tak, jakby to byli jego żywi przyjaciele. Zresztą wielu w grupie odczuwało to tak samo. Indra przypominała sobie, że

kiedyś zdawało jej się, iż są niepotrzebnie takie wielkie i brzydkie, ale przecież wypełniły swoją misję znakomicie i przez cały czas stanowiły dla nich dom. Cóż by zrobili bez Juggernautów? Już samo to, że mogli zabrać na pokład wielu dodatkowych pasażerów stanowi wielkie osiągnięcie.

Mimo woli poklepała karoserię J2 z wdzięcznością i jakby chciała dodać mu odwagi.

Spojrzała potem na dłoń i stwierdziła, że jest bardzo brudna.

W ciągu tych tygodni Tich zużył tyle części zamiennych w J2, że po prostu nic mu już nie zostało. Ale Freki wiedział, co powinni zrobić:

- Gdybym miał ze sobą kogoś, kto mógłby mi otwierać drzwi, to mógłbym zbiec na dół do stacji granicznej i zobaczyć, co można tam znaleźć. Ten ktoś mógłby to przytwierdzić do moich pleców, i ja bym to tutaj przyniósł.

- Genialne - powiedział Faron. - Ruszam z tobą.

Faron uczynił Frekiemu wielki honor, że chciał z nim współpracować. Świadczyło to, jak bardzo wysoko postawiony Obcy ceni wilka. Indra nie bardzo wiedziała, co ma zrobić.

Była trzecią uczestniczką ich dawnej wspólnej wyprawy. Teraz jednak nie miała żadnego zadania, więc milczała. Patrzyła tylko w ślad za nimi, gdy oddalali się w tempie Farona.

Mała gondola była tak zniszczona po szaleńczej wyprawie Tsi-Tsunggi do źródeł, a duża miała już wcześniej tyle uszkodzeń, że właściwie żadna nie nadawała się do użytku.

Mimo to mężczyźni rozważali możliwość, by cała ekspedycja mogła odlecieć do domu.

Było to jednak niemożliwe, z drugiej zaś strony wszyscy wiedzieli, że Tich za nic nie porzuciłby swego drogocennego pojazdu, inni też nie byłiby w stanie tego zrobić.

J2 powinien wracać z nimi do domu i niech to kosztuje, ile chce.

Faron i Freki wrócili z czymś w rodzaju metalowych żaluzji.

- Gdyby to wzmocnić... - powiedział Faron trochę niepewnie.

Ekspert Tich przyglądał się uważnie kawałkom metalu.

- No, co ty na to, Ram?

Zanim Ram zdążył ocenić sytuację, wtrącił się Dolg.

- Niech magiczne kamienie się tym zajmą!

Żaluzja sprawiała wrażenie bardzo delikatnej. Chyba nie utrzyma takiego obciążenia.

- To jedyne, co udało nam się znaleźć - westchnął Faron.

- I świetnie pasuje - potwierdził Tich. - Zobaczmy tylko, co będą w stanie zrobić kamienie.

Dolg nakazał, by przytrzymano zniszczoną gaśnicę, po czym uzupełnił ją odpowiednio długim kawałkiem żaluzji. Wszyscy pomagali, dopóki Tich nie był w pełni zadowolony.

Wtedy Dolg przyłożył kamienie do gaśnicy i szeptał coś do nich.

Mój Boże, on rozmawia z tymi kamieniami, jakby to były żywe istoty, pomyślała Indra. Ilu właściwie szaleńców jest wśród nas?

Rozejrzała się wokół. Wszyscy, skonstatowała. Wszyscy co do jednego. Oczywiście już w dzieciństwie nauczyliśmy się przemawiać do zwierząt i traktować to, co rośnie, jak żywe istoty. Najwięcej jednak nauczyliśmy się w Królestwie Światła. Tutaj pojęliśmy, że ziemia, kamień, metal, a nawet skała, zawierają w sobie życie. Rozmawiam z kartami, kiedy układam pasjansa, ojcu żal jest szklanki, którą po myciu jako ostatnią wstawia do szafy, i bardzo uważa, żeby następnym razem, wyjąć ją jako pierwszą... Rzeczywiście wszyscy mamy trochę źle w głowach!

Ale z drugiej strony to bardzo przyjemne. Tym sposobem powiększamy w sobie zasoby dobroci i wyrozumiałości. Więc niech sobie mieszkańcy miasta nieprzystosowanych myślą, że jesteście stuknięci. Oni w przeciwieństwie do nas są wiecznie niezadowoleni. Szafir i farangil dokonały cudów. Już wkrótce kawałki żaluzji były jak wtopione w pas, cienkie metalowe żeberka uzyskały te same wymiary, co pozostała część gąsienicy.

- Wsiadać, na pokład, wszyscy! - komenderował Faron. - Zanim duchy wrócą, załoga powinna być w komplecie.

Cień oraz Shira i Mar badali uważnie okolicę, każde na swoim odcinku, ale ich raporty były identyczne: w Górach Czarnych nie ma już nikogo żywego.

Tak więc Juggernaut mógł rozpocząć wędrówkę w stronę Ciemności. Indra usłyszała wspólne, głębokie westchnienie ulgi.

Teraz pozostawało tylko odnaleźć drogę do domu. W sercach wędrowców jednak wciąż tkwiła bolesna zadra:

Czy jeszcze istnieje jakiś dom?

Było tak, jak stwierdził Faron: od eksplozji nie widzieli Królestwa Światła. Czy można zakładać, że to wina tego potwornego zanieczyszczenia powietrza? Czyż nie powinno się już trochę przejaśnić? Co prawda znajdowali się na granicy Gór Czarnych, wobec czego Królestwo Światła mogło nie być stąd tak dobrze widoczne jak z centrum gór, gdzie widzieli je wprost nad sobą. Jednak różnica nie mogła być aż tak znaczna. Powinni widzieć przynajmniej światło od strony swego wytęsknionego domu.

Ale nie widzieli.

Teraz znajdowali się już zdecydowanie poza obrębem strasznych gór.

- Chciałam wyskoczyć tutaj z pojazdu i ucałować ziemię - powiedziała Indra. - Tak jak to kiedyś na ziemi czynił papież, pochylał się bardzo nisko, można było sądzić, że zgubił soczewki kontaktowe i szuka ich po omacku. Zaczekam jednak, aż znajdziemy się w granicach Królestwa Światła. Zapewniam was, że wtedy serdecznie ucałuję tamtejszą zieloną trawę.

- Ja także! - roześmiał się Tsi. - Pomyślcie, udało nam się wyjść z tego przeklętego królestwa cieni! I to wszystkim, którzy rozpoczynali wyprawę. Co ja mówię, wszystkim! Jest nas teraz dużo więcej!

To niebiańskie uczucie znaleźć się znowu w krainie ciemności. W tej Ciemności, która zazwyczaj tak bardzo przerażała mieszkańców Królestwa Światła. Teraz czuli się tu niemal jak w domu.

To jednak, niestety, jeszcze nie była prawda. Wiedzieli, że grupa Kiro na pokładzie J1 próbowała różnymi drogami dotrzeć do domu, żaden bowiem szlak nie był tym właściwym, trzeba było posuwać się po omacku. Tich próbował wypatrywać śladów J1 jak długo się dało, ale one urwały się bardzo szybko. Znajdowali się na jakiejś własnej drodze, nie wiedząc, gdzie dokładnie są. Czarne opady leżały również tutaj, w Ciemności.

Rozkaz Farona wciąż pozostawał w mocy. Należy wypoczywać i spać. Znajdowali się teraz na spokojnym terytorium, więc mogą sobie na to pozwolić.

Tylko czy mamy na to czas? myślała Indra i prawdopodobnie wielu podzielało jej wątpliwości. Każdy chciał dostać się jak najprędzej do domu.

Zdawali sobie jednak sprawę, jak bardzo potrzebują odpoczynku. Wkrótce też cała załoga J2 pogrążyła się we śnie. Jedynymi czuwającymi byli Cień i Freki. Po chwili jednak wilk również zasnął.

6

Cień siedział na wieżycze i wpatrywał się w milczące lasy porastające terytorium Ciemności.

Długa podróż również i jemu dała się we znaki. Był wprawdzie duchem, ale bardzo, bardzo starym duchem, również on się męczył. Również on pragnął odpocząć, ale teraz tylko on mógł czuwać. Shira i Mar, dwa inne duchy na pokładzie J2, miały zszarpane nerwy po długim oczekiwaniu na Oko Nocy w okolicy źródeł. Oni bardziej potrzebowali wytchnienia. Cień nie dokonał niczego tak ważnego jak oni.

Po schodach wszedł cicho Faron, żeby dotrzymać mu towarzystwa.

- Spałem trochę - uśmiechnął się Obcy. - Ale mój mózg jest chyba zbyt pobudzony, by się odprężyć. Nawet we śnie próbowałem doprowadzić wszystkich bezpiecznie do domu.

- Spoczywa na tobie wielka odpowiedzialność - przytaknął Cień. - To nie jest najlepszy środek nasenny.

- Masz rację! A tutaj spokojnie?

- Chyba nawet za spokojnie. W każdym razie mam czas na myślenie. Faron, chciałbym ci zadać jedno pytanie...

- Oczywiście, mój przyjacielu. Proszę, pytaj;

- Dziękuję. Ale to wymaga dłuższego wstępu.

- Czasu mamy dość.

- Tak. Czy ty znasz moją historię?

- Nie wiem nic ponad to, że byłeś duchem opiekuńczym Dolga, jeszcze zanim przyszedł na świat.

- Moja historia jest jednak znacznie dłuższa. Zaczyna się w czasach, kiedy istniała jeszcze piękna Lemuria. Otóż kiedy nasz świat pogrążył się w morzu, została uratowana niewielka grupa jego mieszkańców. Żeglowaliśmy na okręcie po oceanie światowym, by znaleźć drogę do centrum ziemi.

- Aha - rzekł Faron, jakby coś sobie przypomniał.

Cień popatrzył na niego pytająco, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

- No więc w końcu znaleźliśmy Wrota. My, to znaczy nasz król i kilka innych wysoko postawionych osób. Ja byłem jedynie wojownikiem.

- Zaczekaj, to musiało się dzieć przed tysiącami lat?

- Tak właśnie było. Minęło tak wiele lat, że już dawno przestałem je liczyć. Powiedz mi, zastanawiałem się nad tym często podczas tej podróży, który z nas dwóch jest starszy? Pozostali, jak na przykład Dolg ze swymi trzystu latami, są jeszcze właściwie dziećmi.

- Teraz widzę, że tobie przypada pierwszeństwo - uśmiechnął się Faron. - Ale Freki też nie jest młodzieńcem. Ani Tich.

- Masz rację! I Tich, i ja przeżyliśmy wiele tysięcy lat. Prawdopodobnie jesteśmy rówieśnikami, jeśli można porównywać.

Obaj roześmiali się krótko.

Cień kontynuował swoją opowieść.

- I właśnie tamtego dnia popełniłem największe głupstwo w życiu. Nagle ogarnęła mnie panika i nie byłem w stanie przekroczyć Wrót do nieznanego. Pozostałem na ziemi. Miałem tego później gorzko żałować. Byłem przecież ostatnim Lemuryjczykiem. W końcu zresztą umarłem, po wiecznych poszukiwaniach Wrót, których nigdy nie odnalazłem. Zostałem pośród ludzi jako duch, który nie może zaznać spokoju.

Faron w zamyśleniu kiwał głową.

- To wy ukryliście święte kamienie oraz Święte Słońce? Po czym wzięłeś pod opiekę syna czarnoksiężnika, Dolga, i pomogłeś mu, by ten chłopiec o czystym sercu odnalazł wszystkie trzy skarby?

- Zgadza się. Od chwili kiedy on się urodził, moje życie znowu nabrało sensu. No, jeśli to można nazwać życiem, należę przecież do duchów.

- Oczywiście, że to jest życie - zapewnił Faron stanowczo. - Ale miałeś do mnie jakieś pytanie?

- No właśnie, musiałem jednak zrobić ten wstęp. Otóż przez cały czas w Królestwie Światła zastanawiałem się, co się mogło stać z moim królem i pozostałymi Lemuryjczykami. Czy oni kiedykolwiek dotarli do Królestwa Światła? Czy może później pomarli? Chociaż szukałem nieustannie, nigdy nie natrafiłem na ślad żadnego z nich.

- Mogłeś być zapytać.

- Pytałem. Pytałem Rama, który wie chyba najwięcej o wszystkich mieszkańcach, a już zwłaszcza o Lemuryjczykach. Ale on nie umiał mi nic powiedzieć.

- No tak, to nie takie znowu dziwne. Ja znam ich losy. Talornin również je znał, ale nie przyszło ci chyba nigdy do głowy, żeby pytać właśnie jego?

- Talornin był zawsze pełen rezerwy. Właściwie nawet arogancki.

- Tak, to prawda. No cóż, twoi panowie, którym wówczas służyłeś jako wojownik, pochodzili z bardzo wysokiego rodu. Byli to niezwykle szlachetni ludzie i w Królestwie Światła zostali umieszczeni w części należącej do Obcych. Przebywają tam po dziś dzień.

Olbrzym wpatrywał się w niego oniemiały. Tysiące pytań cisnęło mu się do głowy.

Olbrzym? W porównaniu z Faronem nawet Cień wydawał się niewielki.

Obcy uśmiechał się.

- Chcę ci też powiedzieć, że Ram jest krewnym twojego króla. Tylko nic o tym nie wie. Gdyby Cień już nie siedział, to z pewnością teraz opadłby bezwładnie na jakieś krzesło. W jego oczach pojawiło się błaganie. Faron natychmiast się wszystkiego domyślił.

- Zapytam, czy nie zechcieliby wyjść z ukrycia i przywitać się z tobą. To chyba mogliby zrobić.

Właściwie Cień myślał o zupełnie innym zakończeniu, ale najwyraźniej teraz przestało to być aktualne. Podziękował Faronowi gorąco i podniecony oczekiwał spotkania z dawnymi przyjaciółmi z czasów tak odległych, że nawet on sam już prawie o nich zapomniał.

Wszyscy się pobudzili z wyjątkiem dwunastu byłych więźniów i Oka Nocy, który sprawiał wrażenie, że będzie spał jeszcze bardzo, bardzo długo.

J2 przedzierał się naprzód przez leśne bezdroża. W pewnym momencie znaleźli się na szczycie dość stromego wzniesienia i Tich bardzo ostrożnie sprowadzał pojazd w dół. Mimo intensywnych badań nie udało im się stwierdzić, w którym miejscu Ciemności właśnie się znajdują.

Aż...

Powietrze przesycone popiołem i ziemią oraz wszelkim świństwem z Gór Czarnych docierało do miejsc, przez które podróżowali. Nagle jednak, kiedy już znaleźli się u podnóża wzniesienia i przez chwilę jechali po stosunkowo płaskim podłożu, wymijając zręcznie drzewa i strome skały, Siska krzyknęła głośno:

- Och, przecież to mój las!

Natychmiast znalazła się w centrum zainteresowania.

- Patrzcie tam! To jest ten mały strumyk, w którym się schroniłam tak, że mogłam przejść wewnątrz góry i przedostać się na waszą stronę. Muszę was jednak zmartwić, znaleźliśmy się w ślepym zaułku. Stąd nie ma żadnej drogi wiodącej do Królestwa Światła. Tylko ta jedna, którą ja przebyłam, ale przecież J2 nie przecisnie się przez górską szczelinę!

Indra poczuła się tak, jakby ją coś bardzo ciężkiego przygniatało do ziemi.

- Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć, że jedyna droga stąd prowadzi z powrotem do Gór Czarnych.

- Niestety, to jedyna droga - odparła Siska ponuro.

- Nigdy nie wrócimy do domu - szepnęła Shira.

- No nie, dziewczyny, przestańcie! - zawołał Ram stanowczo. - Takie czarnowidztwo nam nie pomoże! Przypomnijcie sobie wiadomości od Kiro i Sol. Czyż oni nie dotarli do osady sąsiadującej ze wsią Siski? Gdyby sąsiedzi wiedzieli o rodzinnej wsi Siski, to by musiało oznaczać, że między obiema osadami jest jakieś przejście.

- O niczym takim nie słyszałam - odparła Siska. - Nie zapominajcie, że ja prowadziłam szczególne życie. Wiedziałam wszystko o stosunkach między ludźmi, nigdy jednak nie wychodziłam poza święty szalas. Moja ucieczka była pierwszą wyprawą w życiu.

- Więc nie utrzymywaliście kontaktów z innymi osadami?

- Nie. Wystarczaliśmy sobie sami.

Podczas tej rozmowy Tich wolno prowadził pojazd przez wysokopienny las. Ponury, niebywale mroczny las.

- Och - jęknęła Siska. - Widzę moją wieś! Stop, Tich, nagle tak strasznie zatęskniłam za domem! Pozwólcie mi odwiedzić osadę!

Tich zahamował. W oddali między drzewami widać było światło ogniska i w mroku majaczyły zarysy domostw.

- Nie jestem pewien, czy powinnaś - bąknął Madrag. - Ostatnio chcieli cię przecież zabić. Rozejrzył się za Ramem czy kimś innym, z kim mógłby się naradzić, ale i Marco, i Faron, i Dolg razem z Ramem zajmowali się wychudzonymi więźniami. Wstrząsy pojazdu dawały się tym biedakom mocno we znaki.

Siska była pełna zapału.

- Chciałabym tylko przywitać się z moim ojcem, wodzem. Powiedzieć mu, że niedługo zostanie dziadkiem. Może udałoby się zdobyć trochę żywności. Owoców albo czegoś takiego...

Tich kiwał w zamyśleniu głową. To prawda, dobrze byłoby dostać coś do jedzenia, wszyscy są strasznie głodni.

Siska powiedziała:

- Nie, Tsi, ty nie możesz mi towarzyszyć, oni by nie wiedzieli, kim jesteś. Są tak prymitywni, że na pewno chcieliby cię zamordować.

- Ale przecież ktoś musi z tobą iść - upierał się Tsi. - Nie możesz spotkać się z nimi sama.

Siska miała wypieki na policzkach, podejrzewała, że kierownictwo ekspedycji nie pozwoli jej na taką ryzykowną wyprawę. Rozejrzała się wokół. Wszyscy tutaj są tacy niezwykli, zbyt egzotyczni jak na jej przesądnych krewniaków. Jedyne osoby, które mogłaby tam pokazać, to Indra i Oko Nocy, ale on wciąż śpi, a Indra jest tylko młodą dziewczyną.

- Czy Mar i Cień nie mogliby mi towarzyszyć, pozostając niewidzialnymi?

- Owszem, bardzo chętnie - zgodził się Cień. - Zastanów się tylko, Sisko, czy naprawdę musisz to zrobić?

- Pozwólcie mi! Ja już się ich nie boję. Nie boję się nawet tego przebrzydłego Lesa ani innych mężczyzn. Bardzo chętnie zaniósłabym swoim współplemieńcom jedno słońce, ale chyba nie mamy takiego, które można by im ofiarować?

- Jeszcze nie możemy tego zrobić - odparł Tich. - Wszystkie tutejsze osady muszą otrzymać światło równocześnie, a ich mieszkańcy najpierw muszą wypić eliksir.

Siska rozumiała, dlaczego tak musi być.

Z wielkimi oporami pozwolili jej pójść. Biegła lekkim krokiem po miękkim mchu w lesie swego dzieciństwa. Ona, której w czasach, kiedy tu mieszkała, nie pozwalano się bawić. Marco stanął w drzwiach pojazdu i patrzył w ślad za nią. Nadeszli też Ram i Faron, Tich wyjaśnił pośpiesznie, co się stało.

- Czyście wy powariowali? - zapytał Marco wstrząśnięty. - Nie wolno jej tego robić! Siska!

- wołał za odchodzącą. - Wracaj!

Ona jednak odwróciła tylko głowę i pomachała mu wesoło. Była już tak daleko, że nie musiała się liczyć z poglądami innych.

- Cień i Mar idą z nią - powiedziała Indra uspokajająco.

- Nie o to mi chodzi - odparł Marco ponuro.

7

Serce tłukło się w piersi Siski. Im bardziej zbliżała się do wsi, tym bardziej była podniecona.

Znowu w domu. Nie może tu zostać, w żadnym razie, nie, musi tylko zobaczyć wszystko jeszcze raz. Musi im opowiedzieć!

Mech pod stopami tłumiał wszelkie odgłosy.

Bardzo wiele się zmieniło we wsi, stwierdzała Siska. Tak, tak, również tutaj dokonał się postęp, nawet w tym mrocznym świecie. Wiele nowych budynków, osada się rozrosła. Stare domy chyba zostały rozebrane.

O, tam znajduje się jej luksusowa chata księżniczki! Stoi, rzecz jasna nadal, ale dekoracje na werandzie są całkiem nowe. A tam wzniesienie, na którym składano w ofierze dziewczęta, jeśli nie zdołały sprowadzić światła do wioski. Siskę przeniknął lodowaty dreszcz.

Zastanawiała się, czy mieszkańcy wsi kontynuują ten barbarzyński zwyczaj składania dziewczycy w ofierze. Jaka to mała dziewczynka musiała ją zastąpić?

Ale przecież Siska przychodzi z wielkimi nowinami. Teraz nareszcie zdoła ofiarować swojej rodzinnej wsi światło. I to już wkrótce!

Siska zdążyła zapomnieć, jak potwornie mroczna jest ta dolina między górami.

Oddzielona niebotyczną ścianą od Królestwa Światła.

Widziała poruszających się w oddali ludzi. Na ten widok łzy napłynęły jej do oczu.

Ojciec... kobiety, które ją wychowywały. Musi je odnaleźć, musi się z nimi przywitać. Na pewno wszyscy będą zaskoczeni! Ale... wielu jednak nie chciałaby spotkać.

- Jesteście przy mnie, chłopcy? - zapytała cichutko.

Mar i Cień potwierdzili.

- No to zobaczycie moją rodzinną wieś. Właśnie do niej wkraczamy.

Dla obserwatorów z zewnątrz wchodziła do wsi sama.

Jakaś kobieta niedaleko zaczęła głośno krzyczeć i z domów wysypało się mnóstwo zbrojnych mężczyzn. Wrzeszczeli coś na temat popiołu i ziemi syjącej się z nieba...

Siska z uśmiechem uniosła ręce, by pokazać im, że ma pokojowe zamiary.

- Bądźcie pozdrowieni - powiedziała w swoim ojczystym języku. - Jestem Siska, która zaginęła. Chciałabym spotkać się z wodzem.

Zaległa śmiertelna cisza. Wszyscy wpatrywali się w nią. Nie poznają nikogo, myślała dziewczyna zdumiona.

- Gdzie jest mój ojciec? - zapytała odrobinę bardziej stanowczym głosem.

Jakiś mężczyzna, ubrany tak samo jak niegdyś jej ojciec, wyszedł z domu wodza.

- Pragnęłaś mnie widzieć? W samym środku tych obrzydliwych opadów?

Domyśliła się, że to on jest teraz wodzem. Ale o cokolwiek pytała lub cokolwiek próbowała tłumaczyć, to zebrani i tak niczego nie pojmowali. Owszem, mówili jej plemiennym językiem, poza tym jednak nie udało jej się znaleźć nic, co pozwoliłoby jakoś się z nimi porozumieć.

W końcu podeszła do niej jakaś bardzo stara kobieta.

- Siska? - wyszeptała z niedowierzaniem.

Nareszcie ktoś, kto ją poznaje!

- Tak, jestem Siska, księżniczka. Wybrana dziewczica. Kim ty jesteś?

Kobieta przyglądała jej się natrętnie. Cofnęła się o parę kroków, jakby z lękiem. Siska nie mogła zrozumieć dlaczego.

- Kiedy byłam dzieckiem - wyjaśniła w końcu stara - moja babcia opowiadała mi legendę, którą słyszała w dzieciństwie. O pewnej dziewczynie, która zniknęła dawno, dawno temu. Sisce zakręciło się w głowie.

- To nie mogłam być ja. To przecież niemożliwe!

Stara jednak ciągnęła swoje opowiadanie bez miłosierdzia:

- A wszyscy mężczyźni, którzy mieli dostać tę dziewczynę, ścigali ją po lasach. Jeden, imieniem Les, natrafił na jej ślady, ona jednak nieoczekiwanie mu zniknęła. Pozostali mężczyźni zamordowali Lesa, ponieważ podejrzewali, że ich oszukał, znalazł dziewczynę, ale nie chciał się nią dzielić.

- Les nigdy mnie nie dostał - wyjaśniła Siska pobladłymi wargami.

Kiedy babcia tej starej była dzieckiem? To słyszała pewną legendę...?

Bardziej do siebie samej niż do kogokolwiek innego powiedziała z żalem w głosie:

- W Królestwie Światła czas płynie tak wolno.

Tamci zeszytnieli. Mężczyźni zacisnęli ręce na broni.

- Byłaś w Królestwie Światła? - zapytał wódz groźnie.

- To się dobrze nie skończy - mruknął Cień.

Siska próbowała się jakoś w tym wszystkim odnaleźć.

- Owszem, byłam. I mam wam do przekazania fantastyczną wiadomość. Kiedy przybędę tutaj następnym razem, przyniosę ze sobą światło!

- Chcemy mieć światło teraz! - zawołał wódz.

- To jeszcze niemożliwe, musicie trochę poczekać. Mam też do was pytanie. Czy z tej doliny prowadzi jakaś droga i czy mogłabym za tę małą latarkę dostać od was trochę owoców?

Wyjęła swoją kieszonkową latarkę i zapaliła.

Mieszkańcy wsi zaczęli wyc i rzucili się ku niej.

- Ciśnij latarkę w tłum! - wrzasnął Cień, ukrył Siskę w swoich ramionach i owinął ją peleryną. Mar odparł pierwszy atak, po czym wszyscy troje uciekli.

Siska poczuła mdłości, nagle stanęła jej przed oczami cała jej poprzednia ucieczka, znowu ściga ją horda mężczyzn. Teraz na dodatek towarzyszą im kobiety i dzieci... wszyscy jednak nieoczekiwanie przystanęli.

Ktoś krzyknął:

- Co się z nią stało?

Większość rozglądała się z otwartymi ustami, niektórzy biegali wokół, próbując znaleźć dziewczynę, ale wtedy Cień i Mar byli już bardzo daleko, unosili z sobą Siskę do J2.

Rozczarowani mieszkańcy wsi rzucili się na pozostawioną latarkę.

- To nie było specjalnie mądre, Sisko - westchnął Cień.

- Masz rację, teraz to widzę. Zapomniałam, jacy to fanatyczni ludzie. I jacy żądni krwi.

Jacy beznadziejnie prymitywni. Chcę do domu! Do domu w Królestwie Światła razem z wami i razem z Tsi.

Zaczęła szlochać, bardziej z rozczarowania niż ze strachu. Nikogo z tych, których знаła, nie ma już we wsi, wszyscy pomarli. Dawno, dawno temu. Znowu została sama.

- Chyba zaczynam cię rozumieć, Cieniu - szlochała.

- Tak - odpowiedział krótko. Domyślał się, o co jej chodzi.

- No to siedzimy tu znowu w komplecie - powiedziała Indra, przytulając się do Rama.

Siska spoczywała w ramionach Tsi i wyplakiwała swoje utracone złudzenia. Chciała być możliwie najbliżej ukochanego.

Wszyscy zebrani w pomieszczeniu dygotali po długim pobycie na dworze, gdzie oczekiwali powrotu Siski i duchów.

- Bardzo zimno jest w twoim kraju, Sisko - stwierdziła Indra. - Chcielibyśmy jak najprędzej wrócić do domowego ciepła!

- I do światła - uzupełnił Ram. - Nie jesteśmy w stanie dłużej żyć w mroku i chłodzie. Tich znowu zapuścił silniki. J2 powoli ruszył z miejsca, żeby kontynuować wędrówkę przez upiorny las. Zdołali jakoś przemknąć się obok rodzinnej wsi Siski, objechali ją wielkim łukiem, z tego, co wiedzieli, osada, o której mówili Kiro i Sol, musiała znajdować się po lewej stronie. Na tym opierała się ich jedyna nadzieja, że kiedykolwiek odnajdą drogę do domu.

Do Gór Czarnych bowiem nikt wracać nie chciał.

Co jednak zrobić, jeśli z doliny Siski nie ma żadnego wyjścia? Co wtedy się z nimi stanie?

Oczywiście większość mogłaby iść piechotą, czy raczej wspinać się, jeśli w ogóle istnieje jakiś szlak, wiedzący do murów Królestwa Światła. Było jednak wielu takich, którzy nie mają na to sił. Na przykład dwunastu uwolnionych więźniów.

Poza tym nie mieli sumienia zostawić tutaj J2, żeby rdzewiał na pustkowiach niczym stary czołg porzucony po wojnie lub jakiś zapomniany na nieużytkach pług.

Nikt nie miał odwagi nawet wspomnieć o czymś takim w obecności Ticha.

- Pomyślcie, jak nasi bliscy rozkoszują się słońcem w Królestwie Światła - narzekała Indra. - Dałabym wszystko za to, by móc teraz tam być. Chodzić po zielonej, miękkiej trawie. Mrużyć oczy wobec oszałamiającego piękna kwiatów. Pójść na zakupy.

Posiedzieć w cukierni, zjadać jedno ciastko po drugim. Albo siedzieć wieczorem z Ramem w przytulnej restauracji, popijać wino i słuchać śpiewu ptaków, patrzeć, jak nocne światło mieni się w Srebrzystym Lesie, chodzić w cienkich sukienkach i brać prysznic, kiedy tylko ma się na to ochotę. Albo żeglować po Żółtej Rzece i... cieszyłabym się nawet, gdybym mogła pochodzić po mieście nieprzystosowanych. Pomyślcie, do czego to doszło.

- Och, nie, to by cię chyba nie cieszyło - uśmiechnął się Ram, czochrając jej włosy. -

Poza tym jednak chyba wszyscy o tym marzymy: wrócić do domu. Ciekaw jestem, co się stało w Królestwie Światła podczas naszej nieobecności?

- Myślę, że niewiele, jeśli tylko mury wytrzymały i nie zawały się.

8

GORAM NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE

Goram wyszedł z cukierni bardzo zagniewany. Cóż to za rodzice, którzy doprowadzają siedmioletniego synka do takiego stanu, że chce popełnić samobójstwo?

A może winnych należy szukać w szkole? Wśród kolegów?

Strażnik postanowił gruntowniej zbadać sprawę, zanim podejmie jakieś kroki. Ale ów czy też owi, którzy zawinili, naprawdę usłyszą, co on o tym myśli, kiedy już wszystko wyjaśni. Teraz chłopiec jest pewnie w szkole. Goram dostał od Lilji adres.

Cóż za niezwykle imię, Lilja. Sama wytłumaczyła mu, skąd się to wzięło. Jej rodzina pochodzi ze Skandynawii, ale w ostatnim okresie spędzonym na powierzchni Ziemi mieszkali w stanie Minnesota. Lilja urodziła się już tutaj, w Królestwie Światła, i miała

otrzymać imię na pamiątkę swojej babki, to znaczy Lily. Mama jednak wolała, żeby imię córki brzmiało po szwedzku. No i stąd wzięła się Lilja.

Zresztą o matce mówiła niewiele, jaka jest ta kobieta? Może słaba i załękciona jak matka Silasa?

Ale Lilja to naprawdę dzielna dziewczyna! Żeby mieć odwagę wzywać pomocy w imieniu bezbronnego kuzyna! Narazić się na gniew brutalnych ojców, gdyby się wydało.

Lilja miała coś łagodnego i dziecinnego w oczach i w ruchach, coś, co Goramowi bardzo się podobało. Poza tym myślała rozsądnie, z dojrzałością doświadczonego człowieka. Miał ochotę znowu usłyszeć jej głos. Był w nim jakiś taki ton, który Goram uważał za niezwykle sympatyczny.

Właśnie, sympatyczna, to najlepsze określenie tej dziewczyny.

- Lilja? Słyszysz mnie? Chciałem po prostu sprawdzić, jak działa nasza komunikacja.

Możesz teraz rozmawiać?

Odpowiedział mu jej głos, niemal szeptem:

- Mogę, owszem, jestem sama. Idę do domu.

- W porządku. Ja zaraz będę koło szkoły. Już słyszę, że zaczęła się przerwa. Lilja, powiedz mi, jak zachowuje się twoja mama? Co ona mówi na brutalne zachowanie obu mężczyzn?

W głosie Lilji pojawiło się teraz wahanie.

- Moja mama? Nnnie, ona tego nie lubi. Zawsze ma bardzo surową minę, kiedy ojciec wymierzy mi policzek, albo stanie się co innego. Ale nie odzywa się. Przynosi mi tylko potem coś dobrego do łóżka. Czekoladę albo lody czy coś.

- Uważasz, że mama jest miła?

- Nno... tak, chyba jest. Ale do wszystkiego odnosi się z rezerwą. Teraz nie mogę już dłużej rozmawiać, spotkałam kogoś.

Goram szybko zakończył rozmowę. Znajdował się tuż obok szkolnego boiska. Ukrył się pod dużym drzewem z gałęziami zwisającymi tak, że nie było go widać. Stąd miał świetny widok na boisko.

Lilja opisała mu dokładnie, jak Silas wygląda. Powiedziała nawet, jakie ubranie włożył dzisiaj do szkoły. Zresztą zawsze ubierał się tak samo.

Goram błędził wzrokiem po bawiących się dzieciach. Nie widział nikogo, kto mógłby przypominać tego chłopca...

No właśnie, tam! Na szczycie szkolnych schodów, na wpół ukryty w kącie. Całkiem sam.

Z budynku wyszedł jakiś nauczyciel. Mówił coś do Silasa i popchnął go życzliwie, ale stanowczo w stronę boiska.

Jakie to głupie! Czy chłopiec nie ma prawa stać tam, gdzie najwyraźniej czuje się bezpieczny?

No tak, tak, od razu zaczynają się prześladowania. Chłopcy biegnący obok Silasa popychali go albo wyszydali.

No rusz się nareszcie, chłopcze! Nie stój tak, baw się z innymi, to może przestaną cię traktować jak kozła ofiarnego! Czy raczej jak miejscowe popychadło.

Ale Silas nie wykazywał żadnej inicjatywy. Skrępowany uśmiechał się blado do dwóch dziewcząt, które szły w jego stronę, trzymając się pod rękę. One jednak zawołały coś nieprzyjemnego i popchnęły go tak, że o mało się nie przewrócił.

W tym samym momencie z tyłu nadbiegł jakiś chłopak. Patrz w górę, Silas, pomyślał Goram. To jednak nie wywołało żadnej reakcji. Chłopak uderzył Silasa, który tym razem padł twarzą na ziemię. Jak widać, kiepsko też u niego z refleksem, nie zdążył odskoczyć. Wszyscy koledzy zaśmiewali się do łez, byli wśród nich jego rówieśnicy, ale też i starsi uczniowie.

Rozległ się dzwonek. Kiedy już wszyscy opuścili boisko, Goram, zaciskając szczęki, ruszył w stronę szkoły. Skierował się wprost do gabinetu dyrektora.

Kiedy Strażnik wszedł, dyrektor zerwał się na równe nogi.

- Inspekcja! - oznajmił Goram krótko i pokazał swój dowód Strażnika.

Dyrektor stwierdziwszy, jak wysoką rangę posiada gość, przełknął dzielnie ślinę i zawołał, że oczywiście, oczywiście, sporo czasu minęło od ostatniego razu, i czym może służyć.

- Chciałbym najpierw odwiedzić pierwszą klasę.

- Och, tak, no tak, ale myślę, że i nauczycielka, i uczniowie będą bardzo stremowani, przyjmując wizytę tak wysokiego urzędnika, więc...

Goram nigdy nie myślał o sobie jako o urzędniku. Szczerze mówiąc, nie cierpiał tego określenia. Być wybranym do grona Strażników to dużo więcej, niż piastować nawet najwyższy urząd.

Dyrektor wskazał rząd ekranów na ścianie.

- Znacznie prościej będzie śledzić zajęcia tutaj. I bardziej dyskretnie; można wyrobić sobie obiektywne zdanie, kiedy ani nauczyciel, ani uczniowie nie starają się wypaść najlepiej jak to możliwe.

Goram poczuł się trochę nieswojo. To przecież forma podglądania czy nawet szpiegowania. Ale, oczywiście, dyrektor miał rację, mówiąc, że w ten sposób łatwiej ogarnąć sytuację.

- Czy nauczyciele i uczniowie wiedzą o tym? - zapytał i usłyszał, że jego głos brzmi nieprzyjemnie i podejrzliwie.

- Nauczyciele, rzecz jasna, o wszystkim wiedzą. Ale uczniowie nie. Tutaj mamy pierwszą klasę. Bardzo dobrze widać, prawda?

Oczywiście widać. Goram czuł się jednak nie najlepiej, kiedy tak siedział i jakby z ukrycia przyglądał się lekcji.

Co gorsza, dyrektor przez cały czas nie przestawał mówić, gorączkowo, ze zdenerwowaniem opowiadał, jaka to jego szkoła jest niezwykła. W końcu Goram musiał dać mu znak ręką, by zamilkł, dopiero potem mógł bez przeszkód słuchać, co mówi nauczycielka.

Widział Silasa. Chłopiec siedział skurczony na krześle i mocował się z jakimiś zadaniami, które nauczycielka wypisała na tablicy i które uczniowie mieli rozwiązać w zeszytach.

Nauczycielka tłumaczyła, widać było, że Silas bardzo się stara za nią nadać, ale niestety to mu się nie udawało. Siedział zdenerwowany i przestraszony. Mazał w zeszycie, pisał coś, wycierał gumką i znowu pisał.

Nauczycielka zawołała go do tablicy. Silas powlókł się z zeszytem w ręce. Pani podeszła do niego zdecydowanym krokiem.

- Czy ty naprawdę nigdy nie możesz uważać, Silas. - powiedziała i szarpnęła go za ramię.

Mały chłopczyk z odstającymi uszami i przestraszonym wzrokiem stał przed tablicą i wpatrywał się uważnie w tłumaczącą mu zadanie nauczycielkę. W końcu zrozumiał, co powinien zrobić.

Ale oczywiście w obliczeniach i tak się pomylił. Dyrektor westchnął cicho.

- Czasami zdarzają się uczniowie, z którymi trzeba się bardzo napracować. Niełatwo jest nauczyć czegoś takiego lunatyka!

- Dziękuję, wiem już wystarczająco dużo o tej klasie - powiedział Goram krótko. - Czy mógłbym przyjrzeć się teraz któremuś z wyższych oddziałów?

Poczucie obowiązku nakazywało mu śledzić, co dzieje się w klasie, w końcu podziękował, powiedział, że jest zadowolony z tego, co zobaczył. Czy dyrektor nie mógłby wezwać woźnego, żeby oprowadził Gorama po całej szkole?

- Nie, ja chętnie zrobię to sam - odparł dyrektor, zrywając się z krzesła. Najwyraźniej był bardzo dumny ze swojej szkoły i chciał pokazać wszystko, co w niej najlepsze.

I rzeczywiście, pod względem materialnym szkoła wyposażona była naprawdę znakomicie.

Jednak Goram nie był z całości zadowolony, opuszczał budynek w posępnym nastroju. Teraz nie chciał odwiedzać jeszcze rodziców chłopca. Trzeba poczekać, chciał najpierw porozmawiać z najważniejszą osobą w tej sprawie.

Ostatnia lekcja dobiegła już końca i Goram chciał zobaczyć, jak mały chłopiec wróci do domu.

Nie zauważony szedł za Silasem przez szkolne boisko i potem jeszcze tak długo, jak długo tamten nie mógł go dostrzec.

Dzięki temu stał się świadkiem oburzającej historii. Zobaczył, jakie okrutne mogą być dzieci, kiedy z poczuciem siły i bezpieczeństwa, jakie daje wspólnota, rzucają się na wybrany obiekt agresji. Silas był urodzoną ofiarą, przyjmował zaczepki i ataki bez słowa, a gdyby się zbuntował i na przykład chciał oddać, z pewnością jeszcze by to pogorszyło sprawę.

Goram do niczego się nie mieszał. Jeszcze nie tym razem. Natomiast zadzwonił ponownie do Lilji.

Dziewczyna najpierw była przerażona i nie wiedziała, co odpowiedzieć na jego propozycję. W końcu jednak zgodziła się, mówiąc, że robi to ze względu na Silasa.

Wymknęła się potem z domu i poszła do wujostwa. Drżącym głosem zapytała, czy mogłaby zabrać Silasa na przechadzkę. Znalazła ślady jakiegoś dziwnego zwierzęcia, a Silas tak dużo wie o zwierzętach.

Matka chłopca uśmiechnęła się blado, ale ojciec warknął ze złością:

- Na co ci Silas, latasz przecież za starszymi chłopakami!

Lilja poczuła, że się rumieni. Wujek zawsze mówił takie głupie rzeczy, to, zdaje się, miały być żarty. Co on wie na temat, czy Lilja lata za chłopakami czy nie?

- Silas jeszcze nie wrócił ze szkoły - powiedziała jego matka.
- No to wyjdę mu na spotkanie. Może się trochę spóźnimy na obiad, ale obiecuję, że przyprowadzę go bezpiecznie do domu.
- Możesz się nie spieszyć - odparł ojczym ponuro. - Miło będzie zjeść obiad bez niego, nie patrzeć, jak ten idiota siedzi i dłubie w jedzeniu. A jeżeli wróci za późno, to chętnie spuszczę mu łanie.

Goram, zrób z tym koniec, pomyślała Lilja zgnębiona, idąc na spotkanie Silasowi. Goram opowiadał jej, że starsi chłopcy prześladowali Silasa w drodze do domu, ale Strażnik nie chciał się do niczego wtrącać, żeby nie przestraszyć malca. Zresztą włączenie się kogoś z dużym autorytetem często ma zupełnie odwrotne działanie od zamierzonego, jeśli się tego nie uczyni w dyplomatyczny sposób. Dzieci mogłyby się mścić na Silasie, kiedy Gorama już nie będzie. Najpierw chciał poznać chłopca, a ten ma przecież także prawo znać opiekuna, zwłaszcza jeśli jest nim Lemuryjczyk i w dodatku Strażnik.

Lilja rozumiała to bardzo dobrze. Gorzej natomiast było ze zgodą na to, że ma być pośredniczką między nimi.

Mimo tej niechęci nie mogła nie pozwolić sobie również na odrobinę dumy. Jest w oczach Gorama kimś ważnym, on pyta ją o radę i ufa jej.

Cała sprawa jest też bardzo podniecająca, żeby się tylko nikt o niczym nie dowiedział. Nawet nie chciała myśleć, co by się wtedy działo. I ona, i Silas zostaliby zbici do krwi. Na leśnej ścieżce ukazał się Silas. Szedł sam, ale, mój Boże, jak to dziecko wygląda! Zapłakane i brudne, bez kurtki, ciągnie za sobą otwarty tornister. Z rany na policzku cieknie krew. Lilja widziała, że chłopiec kieruje się w stronę małej sadzawki, prawdopodobnie chce się doprowadzić trochę do porządku, zanim dotrze do domu. Chyba nie pierwszy raz korzystał z wody w sadzawce.

Czy to dziwne, że chłopiec stracił chęć do życia?

Nagle zobaczył kuzynkę i zatrzymał się przestraszony. Wyglądało, jakby miał zamiar zawrócić i uciec, ale ona była szybsza.

Pomogła Silasowi uporządkować tornister i umyć się. Potem opowiedziała mu, że pewien jej przyjaciel bardzo by chciał się z nim spotkać. Chodzi o jakieś zwierzę, któremu ten przyjaciel musi pomóc. Rozmawiała już z rodzicami Silasa, więc wszystko jest w porządku.

- On oczekuje ode mnie pomocy? - zapytał Silas uradowany.

- Oczywiście, wiesz przecież tak dużo o zwierzętach, i tak się do nich dobrze odnosisz. Silas wytrzeszczył oczy.

- Skąd on o tym wie?

- Ja mu powiedziałam. Możemy iść i spotkać się z nim teraz. Ale... żebyś się tylko nie przeraził, to Strażnik i... Lemuryjczyk.

- Uff - szepnął Silas. - Oni są straszni...

- No, czy naprawdę aż tak? - powiedziała Lilja ku własnemu zdumieniu. - Mój przyjaciel jest bardzo sympatyczny... nie wyglądają zresztą tak źle, tylko trzeba się do nich przyzwyczaić...

Silas uważał, że jest za duży, żeby trzymać kuzynkę za rękę, w przeciwnym razie najchętniej by tak zrobił. Ale też odczuwał dumę. Ktoś o niego pytał. Prosił o jego pomoc. Dobrze odnosi się do zwierząt. To brzmiało znakomicie w uszach Silasa, wiedział jednak, że chłopaki w szkole uznaliby to za dziecinne i dziewczynskie.

- Tutaj, przejdziemy przez zagajnik, a potem na drugą stronę - tłumaczyła Lilja.

- Ale tam jest tylko łąka...

- Tak, tak, chodźmy!

- A co to za zwierzę, któremu trzeba pomóc?

- Tego nie mówił. Wspomniał tylko, że to odbywa kwarantannę...

Tutaj Lilja musiała wyjaśnić, co to jest kwarantanna.

- I biedak jest taki przygnębiony, ponieważ nie może być ze swoim panem, że przestał jeść. Pomyśleliśmy więc, że może ty zdołasz przemówić mu do rozumu.

Silas milczał. Jakim sposobem zdoła to osiągnąć? Chodzi pewnie o jakiegoś psa, ale jak wyjaśnić psu, że powinien jeść?

Sprawa wydawała się skomplikowana.

Kiedy jednak wyszli na łąkę, Silas na chwilę zapomniał o swoich lękach, bo przed nimi stała najwspanialsza gondola, jaką kiedykolwiek widział. To powinni zobaczyć koledzy z klasy! Silas, rzecz jasna, jeździł już przedtem gondolami, ale tylko takimi, których używa się do publicznego transportu. Ta tutaj, to zupełnie coś innego.

Wpatrywał się z takim przejęciem w maszynę, że nie zauważył stojącego obok niej mężczyzny. Dopóki Lilja nie szturchnęła go i nie powiedziała:

- No coś ty, Silas, trzeba się przywitać!

Chłopiec spojrzał w górę.

O rany! Najprawdziwszy Lemuryjczyk w tym strasznie eleganckim mundurze Strażników stał przed nim wysoki jak wieża. Chłopiec z trudem przełknął ślinę i stłumił gwałtowną chęć ucieczki.

Goram unikał dotykania Lilji. Zdawał sobie sprawę ze zdolności Lemuryjczyków do wpływania na ludzi właśnie poprzez dotyk, a nie chciał, żeby ta prosta, pełna życzliwości do świata dziewczyna miała się w nim zakochać.

Ujął natomiast rękę Silasa i świadomie przekazywał mu spokój, poczucie bezpieczeństwa i uczucie przyjaźni.

Silas zaczerwienił się, jego odstające uszy również, a na małej, przestraszonej buzi wykwitł uśmiech radości.

Lilja ukradkiem przyglądała się Goramowi. Jest jeszcze przystojniejszy, niż mi się zdawało, myślała. Ale, oczywiście, przywykłam już do jego wyglądu.

Przepelniało ją jakieś niezwykle, dobre uczucie. Stoi oto na pięknej łące w słońcu i czuje, że ci dwaj są z nią.

- Proszę bardzo, wskakuj na pokład - powiedział Goram, uśmiechając się do Silasa.

Chłopiec nie dawał się prosić dwa razy. Na wszelki wypadek zerknął jeszcze w stronę Gorama, po czym wdrapał się do niezwyklej gondoli. Goram zaprosił też Lilję, wytłumaczył jej, że byłoby dobrze, gdyby im towarzyszyła. Jeśli ma ochotę, rzecz jasna. Ona też znalazła się na pokładzie pojazdu, zanim się zorientowała, jak do tego doszło.

- Dokąd pojedziemy? - zapytała, kiedy Goram usiadł za kierownicą.

- Niedaleko. Miejsce kwarantanny zwierząt znajduje się w pobliżu tego miasta.

- Ach, tak. W jaki sposób to zwierzę straciło swego właściciela?

Gondola unosiła się ku niebu. Silas trzymał się tak mocno oparcia, że palce mu pobieleły. Pod nimi rozciągało się miasto.

- O, tam jest nasz dom - pisnął chłopiec.

Och, że też chłopaki go teraz nie widzą! Jaka szkoda!

Goram odpowiedział na pytanie Lilji:

- Jeden z moich przyjaciół wrócił z Ciemności, skąd przyprowadził sobie nowe zwierzę domowe. Ten przyjaciel, Strażnik Kiro, i jeszcze jedna uczestniczka wielkiej ekspedycji, która ma na imię Sol, muszą odbyć kwarantannę na oddziale przeznaczonym dla ludzi. Dlatego ich rozdzielono.

- Ach, tak. Czy chodzi o tę ekspedycję, która miała wyruszyć do Gór Czarnych?

- Ach, więc słyszałaś o niej? Tak, to ta ekspedycja. Kiro i Sol wrócili dzisiaj do domu z grupą postaci z bajek, więzionych nie wiadomo od kiedy w Górach Czarnych.

- To nadzwyczajne - uśmiechnęła się nerwowo. Czy on mówi poważnie?

- Tak, to rzeczywiście nadzwyczajne. Ale reszta uczestników ekspedycji i oba Juggernauty są nadal poza granicami Królestwa Światła. Kiro mówi, że kiedy się rozstawali, wszyscy żyli i znajdowali się w dobrym zdrowiu. Silas, miałbyś ochotę poprowadzić?

Czy większe szczęście może spotkać źle potraktowanego przez los siedmiolatka? Silas przestał oddychać, kiedy położył ręce na kierownicy, a Goram pokazywał mu, jak należy manewrować. Lilja siedziała i przyglądała im się z lekkim uśmiechem. Nareszcie ktoś poważnie traktuje Silasa! Jaki to niezwykły człowiek, ten Goram. Nie, nie człowiek, on jest przecież Lemuryjczykiem.

Zaraz jednak przyszło jej do głowy, że różnica wcale nie jest taka duża.

Goram opowiadał im, co mówił Kiro o bajecznych istotach. Że to one występują w baśniach jako ucieleśnienie zła, chociaż wcale nie chcą takie być. Nie prosiły, by je stworzono jako przeniknięte złem, i bardzo cierpiały w Górach Czarnych.

- Ale teraz będzie lepiej, jeżeli ja wrócę do kierownicy, bo zaraz zaczniemy schodzić w dół - oznajmił.

- Już? - westchnął Silas głęboko rozczarowany. - To tak krótko?

- Tak, niestety. Ale przecież musimy jeszcze wrócić. No, wysiadajcie!

Teren kwarantanny zwierząt był bardzo rozległy, musiał bowiem pomieścić mnóstwo różnych stworzeń. Goram poprowadził ich do niewysokiej, bardzo ładnej budowli, ogrodzonej płotem.

- Masz aparaciki mowy, Silas?

- Nie, w naszej rodzinie ma je tylko tata. Potrzebne mu są w pracy.

- No to pożyczę ci swoje - powiedział Goram. - Dzięki nim będziesz rozumiał także język zwierząt. Czy właściwie mówiąc, ich myśli. Będziecie się rozumieć nawzajem.

Silas stał całkiem nieruchomo, a Goram przymocował mu małe aparaciki do ramion.

- A ty, Liljo, masz aparaciki?

- Nie, ojciec mówi, że w naszym mieście takie głupstwa są niepotrzebne. Przecież i tak wszyscy się nawzajem rozumieją.

- Co do tego miałbym wątpliwości.

- Masz rację, ludzie się wcale nie rozumieją. A ja bardzo bym chciała dostać takie urządzenie.

- Przyniosę ci jutro. Ostatnie, jakie miałem przy sobie, dałem Silasowi. Jemu też jutro przyniosę takie, które będzie mógł zatrzymać.

Jutro? Ile radości może sprawić jedno proste słowo!

Za ogrodzeniem ukazało się niezwykle stworzenie, kołysało się z boku na bok i kierowało w ich stronę. Silas głośno krzyknął ze strachu:

- Smok? To przecież jest ogromny smok!

9

Goram też doznał szoku. Dotychczas nie widział smoka, rozmawiał tylko z Kiro przez telefon. I wtedy Kiro poprosił go, czy by nie zechciał „zajrzeć do mojego małego przyjaciela, jest samotny i bardzo nieszczęśliwy”? Goram odniósł wrażenie, że chodzi o jakiegoś niewielkiego gada.

Smok tymczasem okazał się kolosalny. Jedna jego zakończona pazurami stopa była taka duża jak cały Silas. A głowa, przypominająca łeb przedpotopowego potwora, spiczasto zakończona od tyłu, mogła przestraszyć każdego.

Lilja wycofała się z powrotem do gondoli, a Silas ukrył się na pokładzie pojazdu. Goram natomiast podszedł do ogrodzenia. Tam natychmiast nawiązał kontakt z dwójkiem przygnębionych oczu i pełną rozpaczliwą duszą.

- Drogi przyjacielu - powiedział łagodnie. - Kiro niedługo wróci, musi jednak odbyć kwarantannę tak samo jak ty. Spójrz tutaj, słyszałem, że lubisz jabłka, chciałbyś jedno? Z lekkim wahaniem Goram wsunął rękę między żelazne pręty ogrodzenia, a smok ostrożnie, bardzo ostrożnie wziął jabłko z jego ręki.

- Silas, Lilja, chodźcie tu! - zawołał Strażnik nie odwracając się. - On wcale nie jest groźny, po prostu samotny i nieszczęśliwy.

Lilja odważyła się zrobić parę kroków do przodu, Silas wyglądał z gondoli, ale wciąż mocno trzymał się drzwi. Dzięki aparacikom mowy orientował się, o czym tamci rozmawiają.

- Ja widzę, że on nie jest niebezpieczny - zawołał. - Ale zostanę tutaj.

Goram i Lilja popatrzyli na siebie. Próba się nie powiodła, ale tylko częściowo.

- Dajcie mu jedno jabłko ode mnie - pisnął Silas. - Nie, zaczekajcie! Lilja, czy możesz tu przyjść? - wzywał ochrypłym głosem.

Dziewczyna wróciła do gondoli i próbowała przekonać kuzyna, żeby przywitał się ze smokiem. Ale Silas stanowczo potrząsał głową. Odwaga nigdy nie była jego najmocniejszą stroną.

Po chwili wyjął coś z kieszeni.

- Zostało mi jeszcze trochę kanapek ze szkoły, myślisz, że on by zjadł?

Lilja patrzyła na bezkształtne, pogniecione i prawie nie ruszone kanapki, teraz zrozumiała, że Silas prawdopodobnie nie ma odwagi jeść takich śniadań w szkole ze strachu, że narazi się na szyderstwa. Wzięła nieduże pudełko, na którym matka chłopca napisała „Silas”, ozdabiając litery beznadziejnymi zawijasami.

- Pozdrów go ode mnie - szepnął Silas. - Powiedz mu, że ja też jestem... nie, zresztą nic nie mów.

- Że ty też jesteś samotny - dokończyła Lilja stanowczo. - Powiem mu.

- A potem zaraz będziemy wracać, prawda? - wykrztusił Silas błagalnie, oczy błyszczały mu ze strachu.

Ty mały tchórze, pomyślała Lilja zirytowana. To właśnie ten twój strach przed wszystkim na ziemi czyni cię taką beznadziejną ofiarą!

Kiedy odjechali, smok długo patrzył w ślad za nimi.

W drodze powrotnej prawie się nie odzywali do siebie. Goram zapytał Silasa, czy miałby znowu ochotę kierować gondolą, ale chłopiec energicznie potrząsnął głową. Łzy wstydu spływały mu po policzkach, na próżno starał się je powstrzymać.

Goram pożegnał się z nimi na łące i zabrał swoje aparaciki mowy.

- Nie bardzo nam się udało, Liljo - powiedział cicho, kiedy Silas powlókł się już w stronę lasu, a oni jeszcze stali.

- A co chciałeś uzyskać?

- Właściwie nie tak dużo - odparł Goram. - I owszem, osiągnąłem to, co chciałem. Tylko ty tego nie widziałaś.

Lilja czekała. Goram mówił przecież coś o jutrze.

Niech to licho porwie, on chyba czyta w jej myślach!

- Jutro mam parę rzeczy do załatwienia, nie powinienem cię w to mieszać, więc w ciągu dnia się nie spotkamy.

Świetnie, pomyślała Lilja, czując rozczarowanie jak kamień w piersiach.

On jednak mówił dalej:

- Ale chętnie bym cię poinformował o rezultatach tego, co będę robił. Czy możemy się spotkać wieczorem? Na przykład w cukierni?

Och, jaka ulga!

- Oczywiście, że możemy - powiedziała obojętnie. - O siódmej?

- Bardzo dobrze. No to do zobaczenia!

Lilja szybko dogoniła Silasa, ale on nie chciał rozmawiać. W milczeniu szli przez las.

Tuż koło jego domu Lilja powiedziała:

- Myślę, że nie powinieneś o tym nikomu mówić, Silas. Oni by i tak nie uwierzyli. Nie wspominaj o Goramie! W razie czego powiedz, że oglądaliśmy ślady jakiegoś tajemniczego zwierzęcia. Gdyby się ktoś dopytywał, to były to ślady jelenia.

Zrozumiałaś?

- Tak - odparł Silas zgnębiony. - Czy on zjadł moje kanapki?

- Co? Ach, tak, zjadł. Wyraźnie mu smakowały.

Zatroskana pożegnała się z chłopcem przed drzwiami jego mieszkania.

Gdy tylko Lilja weszła do domu, zadzwoniła koleżanka.

- Przyjdiesz dzisiaj wieczorem? Annette ma WCh. Przyjdą chłopcy ze szkoły sportowej! WCh. Wolna chata. Czy ja nie jestem już za dorosła na takie zabawy? No ale chłopcy ze szkoły sportowej...? Lilja zdziwiła się własną reakcją. Kiedy indziej byłaby zachwycona

taką szansą, bo w szkole sportowej jest mnóstwo świetnych chłopaków, a tu nagle, jakby w świetle błyskawicy, zobaczyła wszelkie przeszkody:

Będzie musiała uciekać przez okno, jeśli rodzice nie pozwolą jej pójść. Potem znowu po paru godzinach zakradać się przez okno. Jeżeli jej pozwolą, ale zapowiedzą, że musi wrócić przed północą... a ona przecież nie wróci... Wtedy znowu będą policzki wymierzone przez ojca i gadanie całymi dniami o beznadziejnych córkach, chociaż on akurat ma tylko jedną, i okropny nastrój w domu. Jeżeli jeszcze spotka tam sympatycznego chłopca, to zacznie się uciekanie z domu wieczorami. Złapią ją. Będą kolejne kary, potem nowa impreza, kolejna awantura.

Chyba rzeczywiście wyrosła już z tego. Lilja uświadomiła sobie, że ten okres minął. Przedtem uważała, że to strasznie podniecające. Teraz nie miała ochoty na zabawę. - Wiesz, bardzo mi przykro, ale muszę się uczyć - powiedziała koleżance. - Chcę się dostać do tej szkoły komunikacyjnej, muszę kuć po całych dniach. Ale może następnym razem.

To bardzo przyjemne uczucie zamknąć epokę swojego życia. A chłopaków można przecież spotykać i gdzie indziej. Takie zabawy bez rodziców już się powoli znudziły w Małym Madrycie. Na początku były to zawsze bardzo wesołe, ale lekkomyślne i w pewnym sensie niebezpieczne imprezy. Na szczęście zainteresowanie nowością minęło. Rodzice Lilji ze zdumieniem patrzyli, że córka przez cały wieczór pilnie się uczy. Nawet na telewizję nie miała czasu.

Następnego dnia Goram przyszedł do szkoły na ostatnią lekcję.

Wezwał też rodziców Silasa, dyrektora i wychowawczynię klasy. Pierwsza klasa miała tylko jedną nauczycielkę, właśnie wychowawczynię, więc pozostałymi dziećmi zajęła się pani od gimnastyki.

Sprowadzono również Silasa. Był śmiertelnie przerażony, nie wiedział, o co chodzi. Z pewnością po wszystkim ojciec nieźle go zleje.

Co takiego znowu zrobiłem, zastanawiał się Silas, siedząc w szkolnej ławce trochę poza kręgiem dorosłych. A może odkryli, że nie zjadam w szkole śniadań? Ale przecież Goram był wczoraj taki miły. I on, i Lilja. Takiego pięknego popołudnia już dawno nie miałem. Chociaż, oczywiście, zachowałem się głupio, że ich nie posłuchałem i nie chciałem pogłaskać smoka. Ale nie mogłem, nie zdobyłem się na tyle odwagi.

Wbijał wzrok w podłogę i walczył z narastającym płaczem.

Pierwszy zabrał głos Goram, mówił niezbyt głośno, ale jego słowa brzmiały surowo.

Zauważył, że ojczym Silasa nie lubi Lemuryjczyków, ale tym się nie przejmował.

Najpierw zwrócił się do reprezentantów szkoły.

- Jak długo trwa znęcanie się nad tym chłopcem?

Dyrektor i nauczycielka popatrzyli po sobie.

- Jakie znęcanie? - zapytał dyrektor chłodno. - O niczym takim nie słyszałem.

- Ani ja - wtrąciła pośpiesznie nauczycielka. - Jeśli pan ma na myśli to, że jego ubranie i przybory szkolne są często bardzo nieporządne, to to wynika z charakteru samego chłopca. Jest leniwy i pozbawiony ambicji, w ogóle nie potrafi odpowiadać na lekcjach.

- No, nie, słyszane to rzeczy! - zawołała matka Silasa wzburzona. - Mój syn codziennie rano wychodzi z domu czysty i porządny, zawsze też ma odrobione lekcje. Za to ze szkoły wraca w poszarpanym ubraniu, często krwawi, książki podarte, a to chyba nie jest moja wina, odpowiedzialność za to spada na szkołę!

- A co wy jako rodzice zrobiliście w tej sprawie? Czy informowaliście szkołę? - zapytał Goram.

- Nie, przecież wszyscy wiemy, jaki ten chłopak jest - roześmiała się matka, zerkając nerwowo na swego męża. - Wciąż by się tylko bawił i włóczył po okolicy. Ojczym Silasa zrobił ważną minę.

- Powiem panu, panie Strażniku, który myśli, że wie tak dużo, otóż powiem panu, że Silas to kompletnie beznadziejny dzieciak. Mamy jeszcze dwoje, ale one nigdy nie zachowują się w ten sposób! Ja nie jestem jego rodzonym ojcem, to z daleka widać, jednak wychowuję tego łobuza najlepiej jak potrafię. Ale czy sądzicie, że jego można czegoś nauczyć? Następnego dnia znowu jest tak samo bezczelny.

- Bezczelny? Silas? - rzekł Goram z niedowierzaniem.

- Nie odpowiada, kiedy się do niego mówi. Idzie po prostu bezwstydnie swoją drogą, jakby nie słyszał. Wciąż próbuję nauczyć go przyzwoitego zachowania, ale to na nic. Matka wyglądała na zgnębioną, mimo to przytakiwała wszystkiemu, co mąż mówił. Goram popatrzył na nich groźnie.

- Silas, chodź tu do mnie - powiedział ujmując chłopca za rękę. - Stań tutaj, tak, dobrze, kawałek ode mnie! Jak masz na imię?

Chłopiec spojrzał mu spłoszony w oczy.

- Silas.

- W porządku. A jak ma na imię twoja siostra?

- Ann.

- Dobrze. A teraz odwróć się do okna. O, tak. A jak ma na imię twój brat?

Silas nie odpowiedział, chociaż Goram mówił tak samo głośno jak przedtem.

- Jeśli się odwrócisz, to dostaniesz ode mnie to - powiedział Goram, wyjmując z kieszeni parę aparacików mowy.

Chłopiec ani drgnął, stał po prostu odwrócony plecami do Gorama.

- To są aparaciki mowy, Silas. Przecież wczoraj powiedziałeś, że chciałbyś takie mieć.

Gdy chłopiec w dalszym ciągu się nie ruszał, ojczym zawołał:

- No więc wszyscy widzicie! Tylko upór i nic więcej, taki uparty drań!

- Nie - wtrącił pośpiesznie Goram. - Chłopiec jest przecież głuchy. Dlaczego nikt tego nie odkrył?

- Głuchy? - ryknął ojczym. - Dlaczego miałby być głuchy z tymi uszami jak u słonia?

Reszta zebranych siedziała w milczeniu, nikt nie miał nic do powiedzenia.

Goram przyjaźnie położył ręce na ramionach Silasa i odwrócił go ku sobie.

Chłopiec rozpromienił się na widok aparacików mowy. Strażnik pomógł mu je zamocować.

- Z tym będzie mu łatwiej komunikować się z otoczeniem - wyjaśnił Goram. - Już dawno powinien mieć te aparaciki.

Ojczym był głęboko oburzony.

- Phi, wiadomo, jak dzieciaki wszystko psują, zniszczyłby urządzenie, gdybyśmy mu je dali. I niech mi nikt nie wmawia, że dzieciak jest głuchy! Jak chce, to słyszy bardzo dobrze!

- On się nauczył odczytywać z warg - powiedział Goram. - I w szkole, i w domu rozpaczliwie się stara zrozumieć, co się do niego mówi. Czy myślicie, że on lubi, żeby na niego krzyczeć i bić go po twarzy? Ale kiedy nie widzi mówiącego, wszystko na nic.

- Głupie gadanie! Przecież umie mówić! Jakie głuche dziecko potrafi mówić?

- Mówi też źle, ale masz rację, mówi - odparł Goram cierpliwie. - To świadczy, że nie urodził się głuchy. Tracił słuch stopniowo i na tyle wolno, że nikt się nie zorientował. Nawet on sam nie rozumiał, że nie wszyscy słyszą tak źle. Ale co mówi na to lekarz szkolny? Dlaczego on nie odkrył upośledzenia?

Nikt nie odpowiadał. Dyrektor wpatrywał się w podłogę, nauczycielka była zakłopotana, ojczym nadal parskał ze złością, a matka chłopca przez cały czas płakała. Goram widział, że chciałaby podbiec do Silasa i przytulić go, ale mąż trzymał ją przy sobie, zacisnąwszy dłoń na jej ramieniu.

Goram powiedział więc:

- Jak rozumiem, w tej szkole nie ma lekarza? No tak, mogłem się domyślać.

Dyrektor zaczął protestować:

- To zbyt duże koszty dla szkoły...

- Koszty? - syknął Goram. Zaczynał się denerwować. - W Królestwie Światła nie ma żadnych kosztów, ani szkoła, ani uczniowie, ani lekarz nie muszą za nic płacić. Ale wy w tym mieście macie własne prawa, dla was pieniądze znaczą wiele, zbyt wiele, trzeba powiedzieć. No cóż, podejrzewałem coś takiego, więc przywiozłem ze sobą przyjaciela, który jest lekarzem w stołecznym szpitalu.

Wyjął telefon i przekazał wiadomość. Wkrótce potem do sali wszedł młody blondyn o tak atletycznej budowie, że nawet ojczym Silasa zbladł.

- To jest Jaskari - przedstawił Goram. - Przywiózł ze sobą prostą aparaturę do badania słuchu. Silas, mógłbyś pójść z Jaskarim do sąsiedniego pokoju, a my tymczasem jeszcze porozmawiamy? Mama pójdzie z tobą.

Ojczym próbował protestować, ale Goram był zdecydowany. Przestraszona matka poszła za synem.

W drzwiach Jaskari szepnął Goramowi, który miał zostać w klasie:

- I wrócił do Królestwa.

- Co ty mówisz? Ilu wróciło?

- Mnóstwo! Chor, Sassa, Jori, Armas, Yorimoto, Heike oraz dwa wilki. Plus wielka gromada byłych więźniów Gór Czarnych. Zamieszkali na razie poza murami. Stacja kwarantanny nie jest w stanie przyjąć wszystkich.

- A J2? I pozostali uczestnicy ekspedycji?

- O nich wiemy bardzo mało. Tsi-Tsungga jest śmiertelnie ranny, Oko Nocy, Marco, Shira i Mar znajdują się w drodze do źródeł, podczas gdy pozostali, to znaczy Faron, Ram, Indra, Dolg, Cień, Tich, Siska i jeszcze jeden wilk, czekają wciąż atakowani przez wojowników z gór. Tyle tylko zdążył mi opowiedzieć Jori.

Goram głęboko wciągnął powietrze, dłonie drżały mu lekko.

- Myślę, że nie odzyskamy spokoju, dopóki wszyscy nie znajdą się z powrotem w Królestwie Światła.

- Dokładnie to samo miał powiedzieć Faron. Widocznie ta wyprawa była udręką dla wszystkich jej uczestników.

- No i wciąż jeszcze jest dla tych, którzy tam zostali. Musimy nieustannie o nich myśleć. Zwłaszcza o Tsi

- Tak.

Jaskari uśmiechnął się przyjaźnie do Silasa i zamknął drzwi. Kiedy czekali na wyniki badań, nauczycielka próbowała się usprawiedliwić, że ma w klasie zbyt wielu uczniów, więc nie jest w stanie każdemu poświęcać specjalnej uwagi, dyrektor narzekał, że o niczym go nie powiadomiono, a ojczym siedział czerwony i mamrotał coś na temat bezprawnego mieszania się w życie prywatne innych. Goram nie mówił nic. Po dłuższym czasie chłopiec z matką i lekarzem wrócili. Silasowi pozwolono pójść do domu, a później Jaskari oznajmił, jaka jest diagnoza:

- Lewe ucho zostało nieodwracalnie uszkodzone przez liczne i bardzo silne uderzenia. Błony bębenkowej dawno w nim nie ma, a wrażliwych części ucha środkowego nie da się już zregenerować. Pozostała jednak pewna zdolność słyszenia w prawym uchu, ale jeśli nic się nie zmieni, ją też chłopiec straci. Wszystko z powodu maltretowania.

- Maltretowania? - ryknął ojczym. - Człowiek ma chyba prawo karać przekłete bachory, które się nigdy nie słuchają! Skąd mogłem wiedzieć, że on nic nie słyszy?

Goram na moment przymknął oczy, by odzyskać panowanie nad sobą.

- Ty najwyraźniej nie zrozumiałeś, o co w tym wszystkim chodzi - wysyczał, patrząc ojczymowi w oczy. - Silas był maltretowany, zanim ogłuchł.

- No to chyba nic dziwnego, do diabła - warknął tamten, nie kontrolując własnych słów. - Ten przekłety nietoperz...

Przerwała mu żona. Teraz ona też miała dość.

- Silas zawsze robił wszystko, żebyśmy byli z niego zadowoleni. Jest tylko trochę nieśmiały i...

Mąż z przyzwyczajenia złapał swoją żonę za kark i pochylił brutalnie jej głowę, natychmiast jednak zorientował się, że chyba przesadził, więc puścił ją tak gwałtownie, że o mało nie spadła z krzesła.

- Dziękuję, to już wystarczy - rzekł Goram lodowatym głosem. I zanim tamten zdążył mrugnąć, już skuł mu ręce kajdankami.

- Co do chole... - zaczął ojczym Silasa, ale Goram mu przerwał. Oznajmił, że aresztuje go za znęcanie się nad żoną i dzieckiem, które oddano mu pod opiekę. Na nic się nie zda zapewnianie, że pozostałych dwojga dzieci nigdy nawet nie tknął. Goram dodał też, że brat tego człowieka został również zatrzymany, jest bowiem podejrzany o znęcanie się nad członkami swojej rodziny.

Dyrektor szkoły i nauczycielka mogli już wyjść, musieli tylko wysłuchać nagany, a matkę Silasa upomniano, by lepiej zajmowała się chłopcem.

- Ja próbuję - szlochała. - Ale to nie jest takie łatwe...

- Wiem - odparł Goram ze współczuciem. - Czasami jednak człowiek musi dokonywać wyboru.

Przedstawicielom szkoły Goram powiedział na zakończenie:

- Przyjdę jeszcze jutro, żeby porozmawiać z uczniami. Na temat Silasa, na temat prześladowań i w ogóle. A na dziś możemy skończyć.

Goram wezwał kilku Strażników, którzy zabrali ze sobą ojczyma Silasa. Ten zastanawiał się głośno, kto doniósł na niego, ale w odpowiedzi usłyszał, że sam do tego doprowadził. Nie zaspokoilo to jego ciekawości. No i jak dowiedzieli się o zachowaniu jego brata? Goram nie chciał nic mówić, żeby nie powiedzieć za wiele. W żadnym razie nie wolno dopuścić, by Lilja w jakiś sposób została wplątana w tę sprawę. Oznajmił więc, że informacje dochodziły z różnych stron, co przecież nie było kłamstwem. Po prostu przepytował wśród ludzi.

- Czy to może ta jego zarozumiała baba czegoś nagadała?

- Nikt z rodziny - odparł Goram krótko.

- No to w jaki sposób ludzie mogą wiedzieć, co się dzieje za drzwiami sąsiadów?

- Obaj z bratem nie potraficie panować nad sobą. Poza tym istnieje coś, co nazywamy sińcami. A tego Strażnicy bardzo nie lubią.

- Phi, Silas i moja bratanica miewają siniaki bez powodu. Też jest się czego czepiać!

- Twoja bratanica?

- Nie, zapomnij o tym, nic nie chciałem powiedzieć.

Ojczym został zabrany mimo gwałtownych protestów. Goram odprowadził jego żonę do domu, chciał porozmawiać jeszcze z Silasem, widział, jaki chłopiec był przerażony.

Matka też nie wyglądała lepiej, ale Goram ją uspokoił. Wszystko się ułoży dobrze. Bracia poniosą karę tak, żeby nie mieli ochoty mścić się później na swoich najbliższych.

Szli przez zagajnik ścieżką, którą Silas zwykle wracał ze szkoły.

- Dostyc to ponura okolica - powiedział Goram, idąc przez gęstwinę. - Chłopiec absolutnie nie powinien tędy chodzić, ani do szkoły, ani z powrotem.

Milcząca kobieta skrzywiła się.

- Czasem tak się składa, że nasza kuzynka, Lilja, go odprowadza. To bardzo sympatyczna dziewczyna.

Goram o mało nie powiedział, że tak, owszem, ale w porę się powstrzymał. Kobieta mówiła dalej:

- Silas wprawdzie uważa, że to krępujące, żeby dziewczyna go odprowadzała, ale myślę, że on ją na swój sposób lubi. Oboje mają ze sobą wiele wspólnego, oboje byli narażeni na ojcowś...

Wciągnęła głęboko powietrze, stwierdziwszy z przerażeniem, że chyba powiedziała za wiele. Pośpiesznie więc dodała:

- Chciałam powiedzieć, że oni się nawzajem rozumieją.

- To znakomicie - rzekł Goram.

Oboje przystanęli. Przed nimi, trochę poza spaloną słońcem ścieżką, leżał tornister, a książki i zeszyty były rozrzucone wokół. Obok dostrzegli but Silasa pełen błota. Nieco dalej na gałązce wisiała zakrwawiona skarpetka.

Matka krzyknęła przerażona. Oboje z Goramem pobiegli do domu.

Tam były tylko młodsze dzieci pod opieką sąsiadki.

Nie, starszy brat nie wrócił jeszcze do domu.

Starszy brat, pomyślał Goram przygnębiony, wspominając małego, bezradnego, piegowatego chłopca o wielkich uszach i przestraszonych oczach.

Natychmiast zarządził akcję poszukiwawczą, wezwano sąsiadów, Goram nakazał, by mężczyźni starannie przeszukiwali zagajnik. Trzeba też zbadać sadzawkę...

Pytano o Silasa we wszystkich domach. Bardzo szybko jednak trzeba było przyjąć do wiadomości niepokojącą prawdę: Silas zniknął. Ślad po nim zaginął po spotkaniu ze szkolnymi kolegami, tymi którzy go zwykle bezlitośnie prześladowali.

Co mógł zrobić potem?

10

FRUSTRACJA

Lasy. Ciemność. Wysokie górskie ściany. Żadnego przejścia.

- Uff, mam wyrzuty sumienia - westchnęła Indra.

- Ty masz wyrzuty sumienia? - drażnił się z nią Oko Nocy. - To coś całkiem nowego.

- Owszem, ale mimo wszystko mam. Gdybym się nie upierała, że powinniśmy przelecieć ponad Doliną Róż, to J2 mógłby latać teraz i już bylibyśmy w domu.

- Mam wątpliwości, czy nasz wspianały pojazd wzniósłby się tak wysoko - pocieszył ją Faron.

Oko Nocy już się obudził i opowiedział o swojej pełnej niebezpieczeństw odysei do źródła dobra. Wszyscy słuchali w napięciu, padało przy tym tak wiele komentarzy, że w końcu musiał na nich nakrzyczeć. Nieustannie tracił wątek, krążył i powtarzał po dwa razy to samo.

Teraz jednak jeździli i jeździli, tam i z powrotem u podnóża gór, które oddzielały dolinę Siski od Królestwa Światła. Byli coraz bardziej przygnębieni. Pierwsza radość z faktu, że znaleźli się poza Górami Czarnymi, powoli ustępowała niepokojowi, że rzeczywiście nigdy do domu nie wrócą.

W tej rozległej, szerokiej, ale zamkniętej ze wszystkich stron dolinie znajdowała się tylko jedna osada: wioska Siski. Przez cały dzień krążyli po dolinie, wzdłuż jej krańców, powoli, rozglądając się uważnie. Musieli unikać zbliżania się do wsi, ale przecież J2 mógł poruszać się tylko bardzo wolno. Ukochany pojazd Ticha był zniszczony i rozklekotany, odnosiło się to w tej samej mierze do karoserii, co do silników.

W pewnym momencie Faron zarządził postój i nocny sen. Nastrój na pokładzie był dość nerwowy. Pasażerowie milczeli dręczeni przekonaniem, że „to się nie może dobrze skończyć”. Siska i Tsi wyszli na zewnątrz i nzebierali jakichś jagód, które znali, poza tym zjadali delikatne pączki sosen, które udało im się znaleźć. Wody w potokach było pod dostatkiem. Tak więc fizycznie jakoś wytrzymywali, znacznie gorzej było z siłą ducha.

Indra krążyła, martwiąc się o dwa duże dzikie zwierzęta, które mieli ze sobą, próbowała karmić je jagodami, żeby chociaż czymś mogły zaspokoić najgorszy głód. Freki uspokajał ją trochę złośliwie, ale przejrzał jej niepokój:

- Opiekuńcze zwierzę Oka Nocy nie jest mięsożercą, Indro! Zresztą ja też porzuciłem takie zwyczaje, Marco przemienił mnie i Geriego w roślinożerców.

- Oczywiście, pamiętam, że to zrobił - odparła Indra z ulgą. Zachichotała skrzępowana. -

Po prostu nie mogłabym znieść myśli, że zostanę pożarta przez jednego ze swoich najlepszych przyjaciół.

- Zapamiętam to sobie i oszczędzę cię - obiecał Freki. - W każdym razie nie zjem cię na śniadanie.

Próbowali się śmiać, ale był to wisielczy humor. Najbardziej mieliby ochotę krzyczeć głośno w swojej bezradności.

- No i jak się mają sprawy, Tich? - zapytał Faron, kiedy wszyscy przygotowywali się na spoczynek. - Udało ci się dostrzec jakieś przejście? Czy możemy mieć chociaż cień nadziei?

- Niestety - odparł Madrag, który miał bardzo zmęczone oczy od tego nieustannego siedzenia przy instrumentach i wpatrywania się w głęboką ciemność. - Jedyne pasażer kierują się w stronę Gór Czarnych.

Wszyscy w grupie westchnęli rozczarowani.

- Czy rzeczywiście będziemy musieli tam wrócić?

- Myślę, że niekoniecznie - odparł Tich. - Możemy zawrócić i posuwać się tą samą drogą, którą przybyliśmy. Jak wiecie, grupa Kiro na pokładzie I wydostała się z gór w tym samym miejscu co my. Ale oni nie doszli aż tutaj. Musimy próbować odnaleźć ich ślady.

- Oni kierowali się w różne strony - stwierdził Ram.

- Wiem o tym - przytaknął Madrag. - Ale zgubiliśmy ich ślady zaraz za stacją graniczną, pamiętacie?

- Więc musimy tam wracać? - zapytał Dolg.

- Mniej więcej tam.

Cisza. Bardzo przynębiająca cisza. W końcu Cień zapytał krótko:

- Czy to daleko?

- Tak. Zajmie nam to co najmniej dwa, trzy dni, by powrócić do punktu wyjścia.

- Ale jeśli zdecydujemy się na takie rozwiązanie, to nie będziemy musieli wracać do Gór Czarnych?

- Nie, nie. Myślę, że chyba nawet nie będziemy musieli oglądać tej strasznej stacji granicznej,

Faron odetchnął głęboko.

- Chyba powinniśmy się najpierw przespać, a potem rozważymy możliwości.

Wszyscy kiwali głowami na znak zgody. Milczeli zgnębieni. Sisce zbierało się na płacz.

Indra czuła się tak, jakby w jej żyłach zamiast krwi płynął ołów.

Razem z Faronem i Dolgiem obeszlą pojazd, zaglądając do uwolnionych więźniów. Mimo beznadziejności sytuacji próbowali mówić im jakieś pocieszające słowa, tamtych jednak najbardziej interesowała woda, którą im przynosili. Indra podała też miseczkę wielkiemu niedźwiedziowi Oka Nocy i drugą Frekiemu, który natychmiast zapytał swoim wilczym głosem:

- Teraz się nam przypochebiasz, Indro?

- Absolutnie nie - odparła równie żartobliwie. - Teraz znowu jestem Florence Nightingale.

Bardzo mi z tym do twarzy, prawda?

- Wilk w owczej skórze - zachichotał Freki.

- Nie masz racji! Owca w owczej skórze brzmi lepiej.

Chciała powiedzieć „owca w wilczej skórze”, ale nie chciała go drażnić i nasuwać mu głupich myśli, więc w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

Poklepała go po szorstkim futrze.

- Dziękuję ci, że zachowujesz dobry humor! Dziś wieczorem jakoś nie było wiele radości.

- No, no! Czyż nie znajdujemy się poza granicą Gór Czarnych? Czy razem z Markiem i wszystkimi więźniami nie wypełniliśmy naszego zadania? Czy nie jesteśmy wszyscy zdrowi?

- Owszem, owszem, ale nie odbieraj mi przyjemności narzekania!

- Och, nie! Narzekaj sobie na zdrowie!

Indra opuściła wilka. W dużym pomieszczeniu trudniej było żartować. Duchy czterech żywiołów stały milczące i surowe przy schodach, Shama siedział obok Shiry i Mara, większość pasażerów znalazła sobie jakieś miejsca leżące, ale wszyscy byli bardzo niespokojni.

- Faron, co teraz zrobimy? - zapytał Ram głównodowodzącego ekspedycji. - Siska jest bliska załamania. To może się okazać zaraźliwe.

Faron przeciskał się przez przepelniony pokój. Dostrzegł Siskę szlochającą w ramionach zrozpaczonego i bezradnego Tsi, widział też lęk i udrękę w oczach innych.

Natychmiast ukląkł obok Siski, ale mówił do wszystkich obecnych:

- To zrozumiałe, że nie jesteśmy w stanie znieść już więcej. Nasze nerwy są jak napięte ponad wszelką wytrzymałość struny. Nie zapominajmy, że od dawna jesteśmy wciąż nadzwyczaj czujni, nasze zmysły są nieustannie w pogotowiu, wszystkie mięśnie, każdy najmniejszy nerw w ciele jest napięty od wielu tygodni. Teraz powinniśmy odczuwać ulgę i radość. Ale, niestety, znaleźliśmy się w pułapce. W rodzinnej dolinie Siski. Czy ktoś liczył, od ilu właściwie tygodni jesteśmy w drodze? Bo ja straciłem rachubę czasu.

Tich stał na schodach.

- Pięćdziesiąt siedem dni. Prawie dwa miesiące.

- Tak, a w dodatku Siska denerwowała się najbardziej, bez przerwy. Pamiętajcie o jej długim, wiernym czuwaniu u postania Tsi! A teraz... odnalazła miejsce swego dzieciństwa takie odmienione! Miała nadzieję, że przyniesie dla nas wszystkich trochę jedzenia, a zamiast tego musiała uciekać, ścigana przez wściekłych krewniaków. Poza tym Siska oczekuje dziecka i być może najbardziej z nas wszystkich tęskni do światła i ciepła, do bezpieczeństwa i troskliwości.

- Tak, zwłaszcza że oczekuje ona nie byle jakiego dziecka - wtrącił Cień. - Sama Siska jest człowiekiem, ojciec Tsi był Lemuryjczykiem, co nie powinno raczej powodować większych problemów, ale, o ile dobrze zrozumiałem, to jego matka była istotą ziemi... Na moment zaległa zupełna cisza. Wielu z nich widziało istoty ziemi. Małe, złośliwe stwory, których nie można zaliczyć ani do najbardziej urodziwych, ani najbardziej pociągających w Królestwie Światła.

A co będzie, jeśli to właśnie ich geny okażą się najsilniejsze...?

- Jak to jest, Tsi? - zapytał Cień ostrożnie. - Czy wiesz, jak długo kobiety z rodu istot ziemi oczekują potomstwa?

Tsi spoglądał na przyjaciół lekko zdezorientowany. Indra przypomniała sobie z przestraszeniem, w jakich warunkach on dorastał.

- No cóż - rzekł Tsi przeciągle. - Myślę, że trwa to dosyć krótko. Nawet bardzo krótko, szczerze mówiąc. I rodzą maleńkie młode.

- Jak krótko? - spytał Faron ostro.
- Nie wiem. Chyba kilka tygodni. Podobnie jak psy albo coś w tym rodzaju...
Psy? Dziewięć tygodni?
- Och, wracajmy już do domu! Jak najszybciej! - powiedział Faron bezbarwnym głosem.
- Dziś wieczorem? - zapytał Tich.
- Nie, przecież nie bylibyśmy w stanie, i w ogóle musimy trochę odpocząć, by nabrać sił na drogę powrotną. Ale wystartujesz, gdy tylko trochę się prześpisz, Tich. Pojedziemy z powrotem do punktu wyjścia, znajdującego się poza granicą Gór Czarnych.
Madrag skinął głową i poszedł do siebie na mostek kapitański. Dolg, Cień, Shira i Mar udali się za nim.
Atak płaczu Siski ustał. Młoda kobieta szykowała się do snu. Indra zbliżyła się do Rama, próbując znaleźć pociechę w jego spojrzeniu, ale on był tak samo przygnębiony jak inni. Wyglądał na zmęczonego, smutnego i głodnego.
Nawet Marco nie miał ani słowa na pocieszenie. Marco zrobił się jakiś dziwny, całkiem niepodobny do siebie, pomyślała Indra. Jakby dźwigał ciężkie brzemię.
Nikt nic nie mówił. Wszyscy tęsknili do domu.

11

ALARM

Goram wezwał Lilję przez ich tajemniczy telefon. Przeprosił, że musi odłożyć wieczorne spotkanie, ale Silas zniknął i trzeba zrobić wszystko, żeby go odnaleźć.

- Wiem o tym - powiedziała Lilja. - Właśnie się dowiedziałam. Zaraz do was przyjdę.
Goram się ucieszył. Lilja powiedziała, że przyprowadzi też swoją matkę. Strażnik z niepokojem czekał na to spotkanie. Sygnały, jakie docierały do niego na temat tej pani, nie były wyłącznie pozytywne.

Kiedy spotkali się w domu Andersonów, zdenerwowana matka Silasa przedstawiła ich sobie. Goram i Lilja udawali, że nigdy przedtem się nie widzieli. To bardzo ważne, by nie odkryto, że to właśnie Lilja rozpętała całą tę sprawę.

Jej matka była zupełnie innym typem niż uległa matka Silasa. Ta druga pani Anderson była elegancką damą, najwyraźniej pochodziła z tak zwanej wyższej klasy. Choć nie zawsze następstwem szlacheckiego pochodzenia jest szlachetny charakter.

- Co za wstyd - bąknęła dama, witając się z Goramem. Było oczywiste, że nie zamierza się z nim bratać.

- Wstyd? - zdziwił się.

- Mój mąż nie zasłużył sobie na takie traktowanie! Został wyprowadzony przez Strażników na oczach sąsiadów! Zdaje się, że to pan za tym wszystkim stoi?

- Nie tolerujemy maltretowania członków rodziny - odparł Goram krótko.

- Nikogo nie obchodzi, co się dzieje u nas w domu. I co sprawiło, że uważa pan, iż coś takiego właśnie u nas ma miejsce?

Musiał uważać, by nie wsypać Lilji.

- To powszechnie znana sprawa - rzekł wymijająco. - Ale akurat w tej chwili to nie jest ważne. Musimy odnaleźć małego, samotnego chłopca, który zniknął już zbyt dawno. To główne nasze zadanie.

- Phi, Silas! - prychnęła matka Lilji. - On zawsze chodzi własnymi drogami.

Słowa Gorama, że złe traktowanie rodziny jest powszechnie znane, wywołały płomienne rumieńce na policzkach i szyi eleganckiej damy. Okres przejściowy, pomyślał. Może nie zawsze jest taka napięta. Ona i ten jej nadęty mąż mają przecież taką sympatyczną, delikatną i pełną wyrozumiałości córkę. Więc pani nie musi być do gruntu zła.

- Silas widocznie ma swoje powody, by chodzić własnymi ścieżkami - uciał Goram. Myślał z niechęcią o tym, co mówili obaj bracia Andersonowie, ojcowie rodzin, kiedy wywożono ich tego samego dnia.

„Powiem wam, przekłęci Lemuryjczycy - wściekał się jeden. - Powiem wam, że nas ojciec wychowywał w ten sam sposób. Byliśmy zawsze trzymani w cuglach, a dyscyplina często była w użyciu. Ale przecież nie jesteśmy z tego powodu gorsi! Tylko popatrzcie, jak daleko zaszliśmy!”

Drugi kiwał z zapalem głową na znak, że się zgadza. Strażnicy spokojnie popychali ich w stronę gondoli.

Matka Silasa rozpoczęła długie, przerywane łzami opowiadanie o tym, jak znalazły z Lilją w lesie porzucone ubranie chłopca i jego szkolne przybory, była bardzo wdzięczna za to, co zorganizował Strażnik, szukali wszędzie, a teraz czekają na nadchodzące raporty bo przecież ktoś musi być w domu choćby na wypadek, gdyby mały wrócił. Matka Lilji próbowała przerwać potok wymowy i zabrać swoją córkę do domu, kiedy młodsze dzieci nagle wbiegły z kuchni.

- Mamo, Silas wziął wszystkie jabłka z tacy! Nie wolno mu przecież tego robić!

- Myślę, że to nie Silas je wziął - odparła matka i znowu wybuchnęła płaczem. - Kupiłam je wczoraj rano, a przecież jego już wtedy w domu nie było.

Jabłka? Goram i Lilja popatrzyli po sobie.

- Gdzie stoi taca z jabłkami? - zapytał Goram.

Matka patrzyła na niego zdziwiona.

- Myślę, że na szafce przy oknie. Tak, rzeczywiście tam.

- A okno było otwarte?

- Tak, zawsze mamy ot...

Goram i Lilja już jej nie słuchali. W jednej chwili znaleźli się za drzwiami.

- A oni co znowu? - dziwiły się głośno obie matki. - Czy oni się znają?

Żadna nie chciała potwierdzić, żadna nie chciała powiedzieć tego głośno, ale kiedy myślały, że mężowie siedzą pod kluczem, ogarniała je taka ulga, jakby nagle powiał wiosenny wietrzyk.

Gondola Gorama z szumem przelatywała ponad dachami domów w takim pędzie, że Lilja musiała się mocno trzymać. Żadne nie powiedziało ani słowa. Oboje jednak myśleli to samo: mały, samotny, zraniony chłopiec... wszyscy się od niego odwrócili, nikt się nim nie przejmuje.

Ale Lilja doznawała jeszcze innego uczucia. Ukradkiem spoglądała na profil Gorama i ogarniała ją fala szczęścia z powodu, że siedzi razem z nim w gondoli jako jego zaufana. Przez chwilę zastanawiała się, co pomyślała mama, kiedy w ten sposób wybiegli z domu, no ale to zmartwienie na później.

Teraz mieli dość kłopotu z Silasem. Znaleźli go, oczywiście, u równie samotnego kolegi. Obaj leżeli, każdy po swojej stronie ogrodzenia, i spali.

Silas na jednej nodze nie miał ani buta, ani skarpetki, za to pełno zaschłej krwi. Twarz była brudna, ze śladami łez i wielkim siniakiem wokół oka. Leżał z jedną ręką na piersiach, a drugą trzymał pręt ogrodzenia, jakby chciał dotknąć przyjaciela.

Smok wyglądał na bardzo spokojnego. Obok Silasa zauważyli mały kawałek jabłka, reszta owoców zniknęła bez śladu, ale Lilja i Goram wiedzieli, że nie zapadły się pod ziemię. Goram mógł teraz wysłać radosny meldunek: Silas się odnalazł, jest w dobrym stanie.

Bardzo ostrożnie obudzili chłopca. W tym samym momencie smok też zerwał się na równe nogi. Silas zaczął im długo i ze szczegółami opowiadać o tym, jak to on i smok ze sobą rozmawiali, bo gromada chłopaków, która go zaatakowała, nie znalazła jego aparacików mowy, mówił bardzo szybko o tym, że teraz są najlepszymi przyjaciółmi, smok i on.

- To znakomicie, Silas - zdołał wtrącić Goram. - I dziękuję ci, kochany smoku, że tak dobrze opiekowałeś się swoim kolegą.

No, powiedzmy, że się opiekował, pomyślała Lilja. Obaj spali głębokim snem. Nie chciała jednak być małostkowa, więc przemilczała, uśmiechając się do budzącego grozę potwora z baśni, obdarzonego bardzo sympatycznymi oczyma.

- Ale teraz, Silas, musimy wracać do domu, do twojej mamy, która odchodzi od zmysłów ze strachu. Szuka cię całe miasto, wiesz o tym? Mnóstwo ludzi się o ciebie martwi, szukało wszę... a to co się dzieje?

Wszyscy chwycili się prętów ogrodzenia i mocno trzymali. Goram widział, że jego przyjaciele są przerażeni, smok również. Ziemia trzęsła się pod nimi, a z oddali słychać było jakiś potężny grzmot.

- Słońce! - wrzasnęła Lilja. - Świąte Słońce gaśnie!

W tej samej chwili zaczęły wyc syreny alarmowe. Zewsząd wykrzykiwały swoje przejmujące ostrzeżenie.

Niebo pociemniało, zaczął padać deszcz pełen jakichś wirujących paprochów, zrobiło się zimno i nad piękną krainą zerwał się porywisty wiatr. Ponad ich głowami przelatowały gondole Strażników, pędząc w stronę gasnącego słońca.

Goram złapał Silasa i pchnął go w kierunku smoka. Mam gdzieś zarazki, pomyślał. Zagrożenie życia może nadejść skądinąd. Pociągnął za sobą Lilję, oboje wspieśli się na ogrodzenie, zawołał coś do baśniowego potwora. Wszyscy pobiegli do przeznaczonego dla smoka bunkra.

- Tutaj będziecie bezpieczni, zostańcie w środku wszyscy troje - starał się przekrzyczeć narastający łoskot. - Wrócę, jak tylko będę mógł.

- A co to się dzieje? - zapytała Lilja przestraszona.

- Nie wiem dlaczego, ale kopuła nad Królestwem Światła rozpadła się na kawałki. Bądź jednak spokojna, słońce nie zgaśnie, ono jest bardzo dobrze chronione. O, ale co to leci z nieba, jak czarny deszcz, nie mam pojęcia, skąd się to bierze!

- Goram... pozwól mi iść z tobą!

W jego wzroku pojawiła się czułość.

- Nie, Liljo, zostań z Silasem! A ty, mój przyjacielu z baśni, czuwaj nad nimi obojgiem! Goram przeskoczył przez ogrodzenie. Lilja i Silas stali w drzwiach bunkra i patrzyli, jak zaciąga dach gondoli i odlatuje w stronę wzgórz.

Bez Gorama czuli się straszliwie samotni i przerażeni.

Lilja starała się zachować spokój.

- Chyba powinniśmy zamknąć bunkier, moim zdaniem te opady wyglądają okropnie.

- Zrobiło się bardzo zimno - dygotał Silas.

Lilja zatrzasnęła drzwi. W środku było jasno, bunkier oświetlało małe słońeczko umieszczone u sufitu. Usiedli wszyscy troje, ziemia pod nimi drżała.

Lilja czuła się jak mała przestraszona dziewczynka.

12

Kopuła ugięła się w wyniku potężnego wstrząsu.

Goram utrzymywał kontakt z Rokiem, wciąż unosząc się w górę. Spadające małe kawałeczki muru były raczej niegroźne. Cała potężna konstrukcja osłaniająca Królestwo Światła została tak wykonana, że gdyby zdarzyło się coś takiego jak właśnie teraz, to spadające odłamki nikomu nie wyrządzą krzywdy. Oczywiście słyszał, że lecą one na dach gondoli niczym grad. Na szczęście był w pojeździe bezpieczny.

Gorsze są te masy śmieci, brudnej ziemi i nie wiadomo czego jeszcze, spadające z góry. Rok poinformował Gorama, że w kopule ponad Królestwem Światła zrobiła się ogromna dziura, a układ prądów powietrza jest taki, że śmieci wsysane są przez nią do wnętrza. Słońce zostało uratowane w ostatniej sekundzie, urządzenia ochronne działają automatycznie i zdążyły się zamknąć. Trzeba będzie jednak przez jakiś czas znosić mrok, wicher i chłód. Liczne oddziały Strażników wiozą materiały potrzebne do naprawy uszkodzeń, ale wszystkiego nie da się zrobić w jednej chwili.

Goram pamiętał o swoim drugim zadaniu, udało mu się nawiązać kontakt telefoniczny z matką Silasa, która zachowywała się histerycznie. Uspokajał ją, jak mógł, że chłopcu absolutnie nic nie grozi. Jest bezpieczniejszy niż ona. Polecił jej, by razem z młodszymi dziećmi zeszła do schronu w piwnicy i została tam, dopóki alarm nie zostanie odwołany. Prawdziwy stan wojenny, pomyślał.

Meldunki o sytuacji zostały wysłane do wszystkich miast i osiedli w Królestwie Światła.

Miasto nieprzystosowanych ogarnęła panika, ale w mieście Saga przyjmowano wydarzenia znacznie spokojniej. Również tutejsze słońce zostało zamknięte w ochronnej kapsule, ludziom musiały wystarczyć zapalone w domach lampy.

- A tymczasem Sassa, Jori i Armas są uwięzieni w stacji kwarantanny! - narzekała Ellen. - Co się tam z nimi stanie?

- Są chyba bezpieczniejsi niż my tutaj - zapewniał ją Nataniel. - Stacja kwarantanny ma przecież schrony odporne nawet na bomby.

Ellen uśmiechała się zgnębiona.

- Nigdy nie przeżyłam bombardowania piachem i śmieciami, kamieniami i niewidocznymi odłamekami muru! Co się właściwie stało?

- Nikt tego na pewno nie wie. Podejrzewam jednak, tak samo jak Rok i jego Strażnicy, że to ma jakiś związek z wędrownką Oka Nocy do źródeł.

Ellen szczerzej otuliła się ciepłym swetrem.

- Cały czas myślę o tych, którzy wciąż są w drodze. Przecież nasza mała Siska jeszcze nie wróciła. Ani Marco, ani Indra. Ani Dolg i wielu innych.

Nataniel powiedział bardzo cicho:

- Nie podoba mi się to wszystko, Ellen. To nie powinno się było wydarzyć.

- Też tak myślę. Czy ty odczuwasz to samo, co ja, że te padające śmieci niosą w sobie jakieś zło?

- Tak. O tym samym właśnie myślałem.

- I nie możemy nic zrobić?

- Spróbuję się dowiedzieć.

Zadzwoił do Strażników i połączono go z bardzo zdenerwowanym Rokiem, który podziękował za propozycję pomocy i polecił mu skontaktować się z Jaskarim lub centralą pogotowia i spytać, gdzie potrzebne jest wsparcie.

Bo, owszem, istnieje wielkie zapotrzebowanie na spokojnych ludzi, którzy mogliby pocieszać ogarniętych paniką lub doglądać niczego nie rozumiejących zwierząt. Trzeba też zadbać, by wszyscy mieszkańcy Królestwa zasłaniali usta i nosy maseczkami.

Ellen i Nataniel natychmiast wyszli z domu i starali się postępować zgodnie z poleceniami. Gdy znaleźli się na ulicy, ubrani w kombinezony ochronne, Ellen pokazując w górę zawołała:

- A cóż to, u licha, za monstrum?

Nad nimi unosiła się ogromna gondola, ciężka niczym bombowiec, wolno przesuwała się naprzód z ogłuszającym hukiem. Ciągnęła za sobą jakiś ciężar, po bliższym przyjrzeniu się stwierdzili, że to wielki fragment niewidzialnego muru.

- Wygląda na to, że dziura jest bardzo duża - westchnął Nataniel.

Ellen kiwała głową przestraszona. Dobrze było mieć coś do roboty. Ale troska o tych, którzy znajdowali się gdzieś daleko, nie dawała spokoju. Jak oni zdołają wrócić do domu, jeśli jeszcze w ogóle żyją?

Z szarpaniem i parszeniem J2 usiłował się wydostać z doliny Siski. Było coraz trudniej. Tich z pomocnikami musieli częściej gasić silniki, by podjąć próbę kolejnej naprawy lub chociaż pobieżnego załatwienia uszkodzeń, których dzielny powóz miał nieskończenie dużo.

W końcu jednak maszyna zatrzymała się. Definitywnie, bez nadziei na ratunek.

- No to wszystko jasne - powiedziała Indra. Wędrowcy stali wokół unieruchomionego pojazdu i rozglądali się wokół. Osadę Siski szczęśliwie zostawili już daleko za sobą. Góry Czarne jednak wznosiły się nieprzyjemnie blisko, unikali więc spoglądania w tamtą stronę. Wciąż jeszcze nie dotarli do punktu, od którego najwyraźniej pojechali w złym kierunku. Było to miejsce in the middle of nowhere, jak mówią Amerykanie. „Pośrodku niczego”. Malownicze określenie.

Przez chwilę stali w milczeniu. Wszystkich zaprzętało jedno jedyne pytanie: jak zdołają dotrzeć do domu?

Oczywiście piechotą. Z dwunastoma schorowanymi ludźmi, którzy nie mają siły stanąć na własnych nogach. Ekspedycja pozbawiona jest jedzenia, nikt nie ma już siły ani odwagi.

Są natomiast wielkie pojemniki z jasną wodą, które trzeba ze sobą zabrać. A także mnóstwo różnych rzeczy znalezionych w Górach Czarnych, które tak skrzętnie gromadzili. Poza tym ubrania, wyposażenie no i, oczywiście, J2. Nie mogliby przecież pozostawić go własnemu losowi w jakimś dzikim lesie tak strasznie daleko od domu. Tich oparł swoje szerokie czoło o karoserię J2 i wzdychał ciężko w rozpacz.

- Gdybyśmy przynajmniej mogli nawiązać kontakt w Królestwie Światła - powiedział Ram zniecierpliwiony.

Bliski rozpacz wybrał numer Roka.

Nikt nie oczekiwał odpowiedzi, a tymczasem odpowiedź nadeszła! Wszyscy spoglądali zaskoczeni na Rama, który był chyba najbardziej zdumiony. Połączenie okazało się marne, ale przecież mogli się porozumieć.

- Co się u licha, dzieje? - wykrztusił Ram. - Czy ty się znajdujesz po drugiej stronie muru? Na terenie Ciemności?

W milczeniu słuchali wyjaśnień Roka. Indra po prostu opadła na ziemię, a wielu poszło za jej przykładem. Szok sprawił, że nogi nie chciały ich już dłużej dźwigać.

- A więc stało się jednak to, czegośmy się obawiali - bąknął Faron zatroskany. - Światło i ciepło, o których tak długo marzyliśmy, nie istnieją. Sami zniszczyliśmy nasze ukochane królestwo.

Kiedy Marco dowiedział się, jakie następstwa spowodował jego samowolny postępek, usiadł na ziemi odwrócony do wszystkich i ukrył twarz w dłoniach.

- Jak poważna jest katastrofa? - zapytał Ram swego najbliższego współpracownika wśród Strażników.

- Zaczynamy kontrolować sytuację - usłyszeli odpowiedź Roka. - Nie możemy jednak niczego czyścić, zanim nie naprawimy muru. Dziura znajduje się dokładnie nad Świętym Słońcem.

- Czy jest bardzo duża?

- Około dwustu metrów w najszerszym miejscu. To się da naprawić. Kondor wynosi na górę nowe płyty. A co z wami?

Ram w skrócie opisał sytuację. Opowiedział mu o działaniu Marca przy źródle zła.

Powiedział, że mają poważny problem, jak wrócić do domu.

Rok, słuchając relacji, nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem.

- W takim razie podziękujcie Marcowi za to, że stworzył wam możliwość powrotu, i to bardzo szybko!

Wszyscy spoglądali pytająco, a głos Roka wyjaśniał:

- Bez tej dziury w kopule nigdy byśmy nie nawiązali z wami kontaktu. Natychmiast wysłałam wam na odsiecz Kondora. Zaczekamy z naprawą uszkodzeń, dopóki nie znajdziecie się w obrębie Królestwa. Musisz mi tylko dokładnie określić pozycję...

No, no, myślał Marco. Może nie jestem taki zasłużony. Gdybym nie doprowadził do wybuchu, to pewnie J2 nie zostałby tak bardzo uszkodzony i moglibyśmy powrócić w normalny sposób.

Uświadamiał to sobie z goryczą.

Ale Tich obejmował brudne gąsienice J2, promieniejąc ze szczęścia.

Określić pozycję... jakby to powiedzieć? Ram musiał zapytać Roka którądy wróciła do domu poprzednia grupa, bo przecież nie mogli się za bardzo oddalić od ich szlaku.

Ach, tak, oni przylecieli z północy. Podróżowali ponad częścią Królestwa należącą do Obcych.

- To by się zgadzało - powiedział na zakończenie Ram. - Znajdujemy się teraz na zachód od osady Siski.

Rok nie bardzo jednak się orientował, gdzie dokładnie ta osada leży.

Ram starał się sprecyzować:

- Jesteśmy wciąż bardzo blisko Gór Czarnych, w lesie, więc niech gondola leci ku północy nad terytorium Obcych! Będziemy wystrzeliwać rakiety.

- Zrozumiałem! Kondor rusza.

Teraz pozostawało tylko czekać. Wszyscy jednak byli w dużo lepszych humorach.

Może z wyjątkiem Marca. Shira usiadła obok niego, co księżę przyjął z wdzięcznością.

- Właśnie bardzo chciałem z tobą porozmawiać, Shiro.

- Wiem o tym. Jesteśmy braćmi w nieszczęściu. To znaczy, może lepiej powiedzieć: rodzeństwem.

- Tak. Czy było bardzo ciężko?

- Dla mnie nie. - Uśmiechnęła się ze smutkiem do swoich wspomnień. - Ja ani niczego nie utraciłam, ani nie wygrałam. Myślę, że dla ciebie będzie to o wiele trudniejsze. Ty masz dużo więcej do stracenia.

Siska i Mar obserwowali ich z boku. Siska nie miała pojęcia, o czym rozmawiają, ale Mar orientował się znakomicie.

To on wygrał na rym, że Shira napiła się jasnej wody wtedy, dawno, dawno temu. Utraciła bowiem zdolność do wypełnienia swego zadania.

Ale Marco? Mar zadrżał na myśl o tym, co Marco, a wraz z nim wszyscy, mogli utracić. A co wygrał? Nic. Po prostu nic.

Jasna woda działa różnie na różne osoby. Uzdrowiła Tsi-Tsunggę, ale stało się tak tylko dlatego, że zło przeniknęło do ciała niewinnego, obdarzonego czystym sercem Tsi. Wody dobra można używać w bardzo wielu przypadkach. Zawsze jednak trzeba się z nią obchodzić bardzo ostrożnie. Przekonali się o tym już wówczas kiedy Mar podstępem skłonił Shirę, by się jej napiła.

A przecież Marco jest jeszcze bardziej bezbronny. Nikt tak naprawdę nie wie, co może się z nim stać. Nie wie tego nawet on sam, myślał Mar. Przekonywał się o tym teraz, kiedy Marco rozmawiał z Shirą. Patrzył na nią pytająco, Shira wyjaśniała i uspokajała. Nikt dotychczas nie robił wymówek Tsi, że napił Marca jasną wodą. Nikt zresztą nie powinien tego czynić, to by mogło bardzo zranić wrażliwego chłopca.

- Ciii! - syknęła Indra. - Zdaje mi się, że coś słyszę!

- Rakiety! - rozkazał Faron.

Pozwolono, by jedną wystrzelił Tsi. Z uszczęśliwioną twarzą patrzył teraz, jak rakietą z sykiem szybuje w niebo, zostawiając za sobą płomienny czerwony ogon.

- Rakiety śmiertelnie przestraszą mieszkańców mojej wioski - powiedziała Siska sucho. - Chciałabym im tego oszczędzić.

Wciąż jeszcze ubolewała nad „przyjęciem”, jakie jej zgotowali.

- Wystrzelić jeszcze jedną? - dopytywał się Tsi z nadzieją w głosie.

- Nie, na razie wystarczy ta - odparł Ram. - Teraz ja też coś słyszę.

Wszyscy milczeli, nasłuchując. Byli przekonani, że dociera do nich słaby szum. Tak, rzeczywiście, szum się zbliżał.

- Oj! Coś mi majaczy między czubkami drzew - jęknął Tsi przestraszony. - Coś potwornie wielkiego!

- To Kondor - oznajmił Ram. - Chodźcie, wybiegniemy na tamtą polanę. Nie mogą przecież wylądować między drzewami.

- Ale jak przeciagniemy tam J2? - zapytał Tich z lękiem.

- Wszystko pójdzie dobrze, ułoży się, zobaczysz, uspokajał go Ram.

Ciężki, milczący ptak przesłaniał im niebo jak wielka, czarna plama na odrobinę jaśniejszym tle. Powoli schodził do lądowania, zebrani rozbiegli się więc na wszystkie strony.

- Alleluja! - zawołała Indra. - Ogromny czarny anioł ląduje w naszej pułapce!

13

DOM, UKOCHANY, ZABRUDZONY DOM!

Kondor miał bardzo mało czasu, czekały na niego pilne prace reperacyjne, więc obyło się bez długich powitań. Większość zajęła miejsca w pojeździe ratowniczym, niektórzy jednak zostali na pokładzie J2. Jak na przykład Tich, co oczywiste, lecz także niedźwiedź, dwunastu chorych mężczyzn oraz ci, którzy się nimi mieli opiekować: Dolg, Cień i Indra, upierająca się, żeby ją tymczasem nazywano Florence. Angażowała się w rolę pielęgniarki całym sercem, teraz miała szansę sprawdzić, czy to jej prawdziwe powołanie. Nikt poza nią w to nie wierzył.

Ponieważ Indra zostawała na pokładzie J2, Ram zdecydował się jej towarzyszyć. Pięć duchów żywiołów natomiast uważało, że ich godność wymaga, by podróżowały Kondorem.

Podczas gdy Indra i Dolg uspokajali jednego z dwunastu chorych, J2, skrzypiąc złowieszczo, ruszył z miejsca. Indra upadła na podłogę, uderzyła o ścianę, która teraz na moment przejęła rolę podłogi. Ram zdążył się czegoś przytrzymać. Natychmiast połączył się ze Strażnikiem pilotującym Kondora, musieli raz jeszcze zejść na dół i właściwie ustawić J2. Nie był to pojazd łatwy do manewrowania, nie było o co zaczepić dźwigów, które miały go trzymać w czasie podróży, dlatego musieli owiązać linami cały kadłub niczym gwiazdkowy prezent.

- Jeszcze tylko brakuje kolorowych wstążeczek - skomentowała Indra.

Po chwili znowu wszystko uniosło się w górę i teraz już bez przeszkód polecili ku Królestwu Światła.

- Nasz kraj pograżył się w mroku - oznajmił Dolg zgnębiony. - Jak się to wszystko skończy?

- Strażnicy już pracują przy naprawach - odparł Ram. - Są wielkie zapasy potrzebnych materiałów.

- Czy oni byli przygotowani na...?

- Nie. O czymś takim nikomu się nawet nie śniło.

Znajdowali się wysoko, ponad Świętym Słońcem, ponad szczytem kopuły. Widzieli dziurę, widzieli, jak czarne strzepy i śmieci różnego pochodzenia nadal wciągane są do wnętrza, do ich cudownej krainy.

- Mam wyrzuty sumienia, że opóźnimy ich prace - mruknął Ram.

- Ja też - przytaknęła Indra. - Czy mamy uważać, że nasza ekspedycja odniosła sukces, czy też zakończyła się fiaskiem?

- I to, i to. Absolutnie!

Schodzili teraz ku fatalnemu otworowi. Wewnątrz panowały te same ciemności co na zewnątrz. Wiatr szarpał J2 podczas wchodzenia przez otwór, turbulencje były straszne. Ale zarówno Kondor, jak i J2 to solidne maszyny.

- Nigdy jeszcze nie cierpiałem na morską chorobę, ale teraz chyba zacznę - rzekł Dolg z uśmiechem.

Indra trzymała się rozpaczliwie jakiejś poręczy.

- Nie zrzucaj teraz swojej zdobyczy, Kondorze - prosiła. - Musielibyśmy bardzo długo lecieć na ziemię!

Byli tak wysoko, że kręciło im się w głowach. W końcu jednak znaleźli się w obrębie Królestwa Światła. Wrócili, aczkolwiek nie tak triumfalnie, jak się spodziewali.

- To śmieszne, wisieć tak bezradnie pod brzuchem ogromnej maszyny - prychnęła Indra.

- I to my, którzy mamy za sobą tyle dramatycznych dokonań!

Niedźwiedź, zwierzę opiekuńcze Oka Nocy, którego Marco uczynił żywym w podziękowaniu za uratowanie młodego Indianina, wyglądał na dość przerażonego. Indra potykając się podeszła do niego i pogłaskała go po futrze. To było naprawdę porządne futro, ręka zanurzyła się w nim głęboko.

- Jak to dobrze, że jesteś z nami - powiedziała. - Jak to dobrze. Czuję się teraz bezpieczna.

- Naprawdę? - mruknął niedźwiedź i wyprostował się. Sprawiał też wrażenie spokojniejszego.

Indrze zdawało się, że schodzą w dół nieznośnie wolno. Przykro było patrzeć na ukochane Królestwo Światła takie zabrudzone, takie zniszczone. Ram nieustannie utrzymywał kontakt z Rokiem, słyszała więc, że zostali skierowani prosto do stacji kwarantanny. To nudne, ale niestety konieczne.

Wszędzie krążyły gondole Strażników, jedne wiozły materiały w górę do otworu, inne schodziły w dół po nowe zapasy. Przy murze trwała gorączkowa praca, a gdy J2 zbliżał się do ziemi, Indra zobaczyła tłumy pracujących tam ludzi.

I oto my wracamy, po tygodniach, co tam, po miesiącach spędzonych w Górach Czarnych, a nikt nie ma czasu, żeby nas podziwiać!

To niesprawiedliwe, że nie możemy zrobić triumfalnego entré!

Z głuchym stukotem wylądowali przy stacji kwarantanny. Freki i niedźwiedź mieli jechać dalej, do stacji zwierzęcej. Gorzej, że mężczyźni i kobiety zostali rozdzieleni, w każdym razie na początku, więc Indra nie mogła nawet uściskać Rama, zanim została skierowana do wielkiej hali dezynfekcyjnej.

Narzekła potem trochę do personelu:

- Na co się zda ta cała kwarantanna teraz, kiedy wszystko w Królestwie Światła zostało zainfekowane przez śmieci wpadające tu z zewnątrz?

- Nie możesz tak mówić - uśmiechnęła się jedna z pielęgniarek trochę nerwowo. - To prawda, że u nas jest brudno, ale wy byliście chyba narażeni na większe zanieczyszczenia.

- Możesz być pewna - potwierdziła Indra cierpko.

Dziura została załatana, można było zapalić Święte Słońce oraz wszystkie małe słońca nad wszystkimi miastami i wioskami kraju. Czekają ich teraz ogromne sprzątaniny, ale Indra nie miała z tym nic wspólnego. Ona została zamknięta w najnudniejszej części stacji kwarantanny.

Na szczęście odbierała wizyty. Przyszedł jej ojciec, Gabriel i Miranda z Gondagilem, rozmawiali z nią przez grubą szklaną ścianę. Niczym więzień, musiała się z nimi komunikować za pomocą mikrofonu.

- Ależ Mirando! - zawołała na powitanie siostry. - To ja jeszcze nie zostałam ciocią?

Zaczyna mnie to poważnie...

Miranda przerwała jej śmiechem.

- Co chciałaś przez to powiedzieć?

- Co chciałam powiedzieć? Chciałam powiedzieć, że nie było nas blisko dwa miesiące, a ty nie...

- Droga, kochana Indro - rzekł Gabriel ze współczuciem w głosie. - Nie było was w domu cztery dni!

Indra otworzyła usta.

- Czte... cztery dni?

Wszyscy troje z zapalem kiwali głowami.

Nareszcie prawda dotarła do nieszczęsnej Indry. Różnica czasu! Zawsze przecież wiedziała... Jakoś jednak nie mogła tego zaakceptować.

Cztery dni? Tylko cztery żalosne dni, to prawie niemożliwe!

Ale wiedziała też, że czas w Ciemności i w zewnętrznym świecie to ten właściwy. Tylko tutaj, w obrębie Królestwa Światła, toczy się znacznie wolniej. Jeden dzień w Królestwie odpowiada dwunastu dniom w Ciemności i w świecie zewnętrznym. Jeden dzień w Ciemności, to tylko ułamek dnia w Królestwie Światła. Indra nigdy nie była dobra w matematyce, potrzebowała na wyliczenia trochę czasu.

- No, no, mnie wychodzi prawie pięć dni - rzekła z wolna, jakby ta niewielka różnica miała jakiegokolwiek znaczenie.

- Tak jest, cztery doby i parę godzin - potwierdził Gondagil.

- Więc nawet nie zdążyliście się o nas zacząć martwić - powiedziała zasmucona.

Gabriel uśmiechnął się czule.

- Bardzo się o was martwiliśmy. Wiedzieliśmy przecież, że wy będziecie musieli przeżyć dużo, dużo więcej dni niż my.

- A zatem I dopiero co wrócił?

- Tak, dzisiaj w nocy. Kiro i Sol przybyli tu też przed wami.

- To okropne - mruknęła Indra, twarz jej się jakoś dziwnie wydłużyła.

- My jednak cieszymy się strasznie, że jesteście już z powrotem. Wszyscy! Cali i zdrowi. To o czymś Indrze przypomniało.

- To prawda, Siska jest...

- Wiemy, wiemy - uśmiechnęła się Miranda. - Została wysłana do szpitala, na oddział ginekologiczny. Bardzo się tam o nią martwią, jej dziecko będzie prawdziwym konglomeratem ras, żeby nie powiedzieć gatunków. Ma zostać wysłany lekarz do Starej Twierdzy, żeby się dowiedzieć więcej o kobietach istot ziemi.

- Może jej ciąża trwa dopiero cztery dni?

- Cztery albo sześćdziesiąt. Tego nie wiemy. Została mimo wszystko umieszczona w izolatce.

- Phi, przy tych wszystkich śmieciach, które walą z góry, izolowanie nas jest zupełnie bez sensu. Obiecałam sobie, że ucałuję ziemię w Królestwie Światła, kiedy się już tu znajdę, ale tego świństwa, które teraz ją pokrywa, nie tknę.

- Mieszkańcy pracują intensywnie nad oczyszczaniem, trzeba zniszczyć wszystko, co tu spadło - wtrącił Gabriel. - Laboratoria działają pełną parą, muszą się dowiedzieć, czy w opadach nie ma jakichś niebezpiecznych związków. Tym razem chodzi nie tylko o bakterie, tego rodzaju nieczystości mogą zawierać zło. Wszystko co tu spadło, pochodzi przecież ze źródła zła i okolic.

- Pozostaje tylko mieć nadzieję, że jasna woda zdołała zneutralizować wpływy zła - mruknęła Indra. - Ach, ten Marco! Kto by się po nim spodziewał takiej nieprzemysłanej inicjatywy!

- Marco zawsze nienawidził zła - powiedział Gabriel cicho. - Może też dlatego, że imię jego ojca zostało błędnie utożsamione z Szatanem. Ze to tkwiło w duszy Marca jako bolesna rana jeszcze od czasów dzieciństwa. Pamiętajcie, że był zmuszony zastrzelić rodzzonego brata. Nigdy nie przestał ubolewać nad tym do czasu, kiedy bracia znowu się spotkali w Dolinie Ludzi Lodu i nieszczęsny Ulvar przeszedł na tak zwaną dobrą stronę. Myślę, że to był najpiękniejszy moment w życiu Marca. Obaj bracia płakali gorzko, obejmując się nawzajem, jak czytamy w księgach Ludzi Lodu.

- Jak czytamy w księgach? - zaprotestowała Indra. - Przecież ty też tam byłeś, ojczule!

- Tak - potwierdził Gabriel cicho. - Byłem tam. Jako dziecko, wstrząśnięte całą potworną walką przeciwko hordom zła. Ale posłuchaj teraz, Indro. Obcy powiadają, że nie musicie przebywać tak długo na kwarantannie, jak to się zazwyczaj dzieje. Pod warunkiem, że próby laboratoryjne zakończą się pomyślnie.

- Miło to słyszeć! Bałam się już, że będę musiała zacząć robić na drutach. Chcę wyjść stąd jak najprędzej i przydać się do czegoś! A przede wszystkim chcę spotkać Rama!

- Tak, słyszeliśmy, słyszeliśmy - uśmiechała się Miranda. - Że też Talornin mógł być taki głupi! Zabraniać wam być razem. Gratuluję serdecznie, Indro!

- Dziękuję! Jestem tak niewiarygodnie szczęśliwa, że wprost nie mogę tego pojąć. A co się właściwie stało z Talorninem?

- Wyczyszczenie - powiedział Gabriel krótko.

Wszyscy milczeli. Nikt z nich nie wiedział, co oznacza słowo wyczyszczenie lub filtracja. Wiadomo było, że przestępców wysyła się do Ciemności, by próbowali jakoś przeżyć w

krainie bestii. Dotychczas najwyraźniej nikomu się to nie udało. Tacy jednak jak Talornin i Lenore oraz inni im podobni po prostu znikają z Królestwa Światła... Co się z nimi dzieje? Jedyne co wiedzieli to to, że Lenore dostała hysterii i była śmiertelnie przerażona, gdy odczytano jej wyrok.

Nie brzmi to szczególnie przyjemnie.

Ani ona, ani Talornin nie popełnili przecież żadnego przestępstwa. Po prostu zachowywali się niegodziwie.

- No, a co się wydarzyło w kraju podczas naszej nieobecności...? Mój Boże, wciąż nie mogę zrozumieć, że nie przeżyliśmy w podróży pięćdziesięciu siedmiu dni, jak nam się zdawało. Cztery? Cztery nędzne dni, w tak krótkim czasie chyba niewiele mogło się wydarzyć?

- Owszem, pewien mały chłopiec ma problemy. Goram... no, chyba pamiętacie Gorama?

- Oczywiście - powiedziała Miranda. - To on przecież uratował mnie przed czerwonoookimi potworami w Ciemności, kiedy wyruszyliśmy na ratunek jeleniom olbrzymim.

Sympatyczny chłopak! I urodziwy.

- Ja nie pamiętam go tak dobrze - wtrąciła Indra. - Bo po uratowaniu ciebie musiał przez cały czas siedzieć w Juggernaucie.

- Uratowali mnie obaj z Nidhoggiem, nie zapominajcie o Nidhoggu!

- Nie zapominamy o nikim. Tylko ja byłam chyba zbyt zajęta obecnością Rama, by w czasie tamtej ekspedycji zwracać uwagę na innych. Ale co z Goramem i tym jakimś chłopcem? Czy my, Mirando, nigdy nie nauczymy się normalnie rozmawiać? Nie przestaniemy robić tych nie kończących się, pogmatwanych dygresji. Myślisz tato, że odziedziczyliśmy to po tobie?

- Bardzo prawdopodobne - uśmiechnął się Gabriel. - Ale krótko mówiąc: ów mały chłopiec, który ma na imię Silas, był ofiarą prześladowań. Dręczyli go koledzy w szkole, ojciec bił go tak, że biedak wciąż miał mnóstwo siniaków. Jego godna podziwu kuzynka zwróciła się o pomoc do Strażników i Goram pojechał zrobić porządek. Chłopiec jest głuchy, jak się okazało, ale nikt się tym nie zajął. Po ostatnim upokarzającym ataku ze strony większych uczniów szkoły Silas uciekł i wszyscy go szukają. Zgadnij, kto go uratował?

- Goram?

- Tym razem nie, on był zajęty aresztowaniem ojców, i chłopca, i tej jego kuzynki. To bracia, którzy w ogóle nie powinni mieć prawa zamieszkiwania w Królestwie Światła. Nie, tym, kto uratował Silasa i uwolnił go od samotności, jest istota równie jak on samotna. To smok należący do Kiro.

- Ach, ta słodka bestia, która nie odstępowała Kiro! Jakie to wzruszające!

- Tak. Teraz Silas i jego kuzynka siedzą w bunkrze smoka na stacji kwarantanny dla zwierząt. Zastanawiam się, jak się czują.

- Och, żebym tak mogła już wyjść - westchnęła Indra. - Kocham takie ratowanie nieszczęsnych istot. To moja specjalność. Co się stało, Mirando?

Tamta chwyciła gwałtownie Gondagila za ramię.

- Myślę... myślę, że powinnam zaraz pojechać do szpitala.

- Już? - zawołał Gondagil. - Ale to przecież trzy tygodnie za wcześnie!

- Nie czepiaj się drobiazgów - syknęła Indra. - Zabieraj ją stąd! Natychmiast!
Tego wieczoru Indra z przyjemnością położyła się w sterylnym łóżku na stacji kwarantanny, okryła się po same uszy i rozkoszowała. Nudne miejsce czy nie, niebezpieczne opady ani zmartwienie o siostrę nie mąciły radości, że znajduje się w domu, w rozkoszonym, niezwykle rozkoszonym łóżku!

14

- Czy myślisz, że oni o nas zapomnieli? - pytał Silas przestraszony.

- Nie, no coś ty - zapewniała go Lilja zdecydowanie, ale sama obawiała się tego samego co on. Siedzieli skuleni obok siebie w oświetlonym bunkrze i nie mogli wyjść na zewnątrz. Goram prosił, żeby zaczekali, byli mu więc posłuszni.

Ale czas włókł się niemiłosiernie.

Lilja spoglądała ukradkiem na straszego smoka, który dyszał ciężko i najwyraźniej siedział tak, żeby osłaniać Silasa.

Żeby nie to jego dobre i błagalne spojrzenie, mógłby każdego śmiertelnie przerazić. Miał trzy nieduże różki na głowie, jego skrzydełka były niewielkie, ale bardzo ostro zakończone, a ogromne stopy z gigantycznymi szponami najwyraźniej przeszkadzały mu w poruszaniu się. Długi ogon z podobnymi do rogów kolcami na całej długości i grzebień na głowie stanowiły potężną broń. Plecy natomiast miał gładkie i siedziało się na nich wygodnie, ciało smoka było zaokrąglone.

Lilja uświadomiła sobie niezwykłą sytuację i zadrżała. Ileż to razy pragnęła wyrwać się z Małego Madrytu. Nawet nie do zewnętrznego świata, tego nie pragnęła, chciała tylko mieszkać w innej części Królestwa Światła. Była młoda i w sposób naturalny tęskniła za stolicą, większość młodych ludzi wszystkich czasów przeżywa takie pragnienia. Ale nie! Ojciec absolutnie jej tego zabraniał. „Tylko w naszym mieście coś się dzieje” mawiał.

„Tutaj masz wszystkie przyjemności, jakich potrzebujesz. Masz pieniądze, możesz chodzić na zabawy, zażywać rozrywek. Jedyne, czego przekłęci Strażnicy zabraniają, to polowania. Nie, poza naszym miastem mieszkają ci zarozumialcy, którzy myślą, że są od nas lepsi. Siedzą ssąc palce z nudów! „

Lilja nie była taka pewna, że poza ich miastem panuje wyłącznie nuda. Teraz już wiedziała, że tutejsi mieszkańcy prowadzą podniecające i pełne niebezpieczeństw życie. Ale niebezpieczne w słuszny sposób. Służą mianowicie Świętemu Słońcu i walczą ze złem. Tak powiedział Goram. To niesie wiele różnorodnych zagrożeń, ale jest bardzo szlachetne. Zupełnie co innego niż ryzykowne wygłupy w wesołym miasteczku czy też dokonywanie napadów dla rozrywki lub dokuczanie sąsiadom.

Pomyśleć, że istnieją smoki! Prawdziwe smoki, dokładnie takie same jak w baśniach. Chociaż Goram twierdzi, że ten rzeczywiście pochodzi z baśni. Tylko w jaki sposób się znalazł tutaj?

Goram... na wspomnienie o nim zrobiło jej się ciepło koło serca. Ojciec byłby wściekły, gdyby wiedział, o czym myśli jego córka. Ale ojca tu nie ma. Czyż nie został zamknięty w więzieniu? W Królestwie Światła pewnie tego nie robią. Tylko w Małym Madrycie, ale tam mieszkańcy miasta sami izolują przestępców. Strażnicy nigdy tak nie postępują. Oni zabierają przestępców ze sobą, i po paru dniach wraca taki bardzo sympatyczny i spokojny. Czasami tylko zdarza się, że w ogóle nie wraca.

Lilja nie wiedziała, czego sobie życzyć, jeśli chodzi o ojca i wuja. Ojczym Silasa nie zasługiwał na to, by się o niego troszczyć, ale jej ojciec?

Te wszystkie uderzenia pasem, kiedy była mniejsza. To popychanie, że aż się przewracała. Zamykanie w pokoju. Ten jego ryczący głos i stłumione krzyki matki. „Masz kochać swego ojca i swoją matkę!”.

Cóż to znowu za nakaz? Masz kochać? A może w przykazaniu jest „masz czcić”? Zresztą, może i tak, i tak.

Lilja nigdy nie mogła się zorientować, co o tym wszystkim sądzi matka. Zawsze stawała po stronie ojca. Jej małżeństwo było szczęśliwe, to znaczy mama strasznie dbała, żeby z zewnątrz wyglądało na szczęśliwe. Ona nie może ponieść porażki. To, co działo się w czterech ścianach ich mieszkania, było jednak porażką. Dlatego na zewnątrz odgrywała szczęśliwą, bardzo szczęśliwą, a siniaki ukrywała pod grubą warstwą pudru.

Lilja przeczuwała, że matka chciałaby wyprowadzić się z miasta nieprzystosowanych, uff, cóż to za nazwa, Lilja nie znosiła jej, a raczej nie znosiła tego, że musi tam mieszkać. Ale właściwie matka wspominała coś o przeprowadzce. Lilja miała wrażenie, że dawno temu coś o tym słyszała.

Matka zawsze była taka chłodna, taka poprawna. Nigdy nie można się do niej zbliżyć. Musiała bardzo cierpieć teraz, kiedy jej mąż został aresztowany i sąsiedzi plotkują. Silas i smok od dawna spali, przytuleni do siebie. Lilja zaczęła się poważnie obawiać, że o nich zapomniano.

Przeciągły dźwięk syren odbijał się w bunkrze głuchym echem. Co to znaczy, co się znowu stało?

Nowe zagrożenia?

Wstała, żeby wyjrzeć przez małe okienko w drzwiach.

Lilja nie mogła wiedzieć, że ten sygnał oznacza, iż niebezpieczeństwo minęło.

Laboratoria dość szybko wykonały odpowiednie analizy. Okazało się, że na szczęście w czarnych opadach nie ma niczego złego. Są jakieś resztki złego wpływu, to prawda, ale tak niewielkie, że nie mogą nikomu wyrządzić krzywdy. Istniały natomiast bardzo wyraźne oznaki, że to właśnie jasna woda usunęła zło. Tak więc można się już było poruszać po mieście swobodnie, co wszyscy przyjęli z wielką ulgą. Strażnicy wciąż potrzebowali pomocy w usuwaniu ciemnej substancji, która pokrywała całe idylliczne Królestwo Światła. Wciąż wzywano ochotników i ochotnicy napływali strumieniem. Personel stacji kwarantanny miał pełne ręce roboty. Chciano uwolnić jak najszybciej uczestników ekspedycji. Nigdy Indra ani jej przyjaciele nie zostali tak starannie wyszorowani jakimś cuchnącym środkiem dezynfekującym, nigdy nie wbito w nich tak wielu igieł, nie wlało tak wielu oczyszczających napojów. Jeszcze przed wyjazdem z domu zostali zaszczepieni przeciwko wszelkim możliwym zarazom, nigdy przecież nie wiadomo, na co żywa istota mogła być narażona w Górach Czarnych.

Właściwie powinni odbyć sześciotygodniową kwarantannę, takie są przepisy, ale ci ludzie zostali zaszczepieni przeciwko wszystkiemu chyba do przesady, zostali też przesadnie zdezynfekowani, przesadnie zbadani, przetestowani...

A poza tym Królestwo Światła ich potrzebowało. Z surowym nakazem, by zawsze nosić maseczkę na ustach i nosie oraz rękawiczki, a poza tym unikać bezpośredniego kontaktu

z innymi, otwarto na początek drzwi między oddziałem męskim i żeńskim. Nie była to może wielka rewolucja, ale pierwszy ostrożny krok ku wolności.

Nikogo nie zdziwiło, że Indra najpierw pobiegła do Rama. Ale był ktoś inny, kto szybciej niż ona znalazł się na zewnątrz. Sol natychmiast skorzystała z okazji, żeby odszukać Marca. Z rumieńcami na policzkach z przejęcia wpadła do jego pokoju, ale tam stała już kolejka. Musiała więc pokornie prosić Farona, Dolga i Shirę, żeby się pośpieszyli, ponieważ ona ma śmiertelnie ważną sprawę, o której musi porozmawiać z Markiem. Co prawda Sol i pokora to dwie sprzeczności, więc jej prośba miała pełen niecierpliwości podtekst: „Załatwajcie swoje sprawy i wynoście się jak najszybciej!”.

Wszyscy jednak byli pełni wyrozumiałości dla niej i pozwolili, żeby poszła jako pierwsza. Wyjaśniała bowiem, że czekała już bardzo długo, przecież znalazła się w Królestwie Światła przed nimi.

Marco siedział przy stole w małym saloniku. Sol opadła na krzesło naprzeciwko niego i oznajmiła zdyszana:

- Miło cię znowu widzieć, wspaniale, że was uratowali, a ja uważam, że bardzo dobrze zrobiłeś, wylewając wodę dobra do tego czarnego bajora...

Marco uśmiechał się blado.

- Nie wszyscy mają w tej sprawie takie samo zdanie jak ty.

- Oczywiście, ale muszę bezzwłocznie przystąpić do rzeczy, bo bardzo wielu czeka na audiencję u ciebie. Marco, zdecydowałam się. To oczywiście ciężko zrezygnować ze wszystkich dobrodziejstw, z jakich korzystają duchy, ale jednak chcę być człowiekiem. Absolutnie!

Była czarująca, kiedy tak siedziała, promieniejąc radością życia, ta piękna wiedźma z Ludzi Lodu. Mówiła z takim zapalem, że krew pulsowała jej na szyi.

Musiała jednak czekać na odpowiedź.

Marco wyglądał na zmęczonego, uświadomiła to sobie teraz. Miała wrażenie, że nie bardzo ją widzi, jakby myślami błądził gdzie indziej.

Nawet ona czuła się w tej sytuacji nieswojo.

- Słyszałeś, co powiedziałam, Marco?

Książę głęboko wciągnął powietrze.

- Tak, Sol, słyszałem. Obawiam się jednak, że nie będę ci mógł już pomóc.

Sol zrobiło się zimno.

- Co takiego?

- Widzisz, ja się napiłem jasnej wody.

- Tak? No to co? To chyba dobrze?

- Czy nie pamiętasz, co się stało z Shirą?

- Owszem. Straciła zdolność odnalezienia naczynia zawierającego wodę złą.

- No właśnie. Ja myślę, że coś podobnego przytrafiło się teraz mnie. Chociaż ja, na szczęście, nie muszę szukać żadnego naczynia, więc nie o to akurat chodzi.

- Myślisz, że... że utraciłeś siłę?

- Na to wygląda. Ale nie wiem. Tylko że nie jestem już tym Markiem, który prawie wszystko może.

- O, a niech to! Niech to diabli!

Sol uwielbiała soczyste przekleństwa, ale nie czas teraz na to.

Nikt nigdy się nie zastanawiał nad tym, dlaczego Shira utraciła siłę. I co otrzymała w zamian?

- A więc rozumiesz, moja mała Sol, że nie mogę cię już przemienić ani w czystej krwi człowieka, ani w ducha.

Sol zaczęła się jąkać z przejęcia.

- Ale tto, ale to... to może... prze... przecież... znaczyć, że nadal mogę być taka jak teraz? Mogę być człowiekiem wyposażonym w umiejętności duchów?

- Tego się właśnie boję.

- Boisz się? Boisz się, Marco? Nie mam prawa cię dotykać, ale w duchu rzucam ci się na szyję, czujesz to? Przecież ja właśnie kimś takim chciałam być, czy nie pamiętasz?

Czy zdawała sobie sprawę, jaka jest tego dnia nieopisanie pociągająca? Jakby promieniało z niej jakieś wewnętrzne światło tajemniczego szczęścia.

- Oczywiście, że pamiętam - rzekł łagodnie. - Chciałaś być człowiekiem, posiadać zdolność do wszystkich ludzkich uczuć i jednocześnie zachować fantastyczne, niewiarygodne zdolności ducha.

- Otóż to właśnie! Czyż to nie cudowne? Jedyna część mojej osobowości, której chciałam się pozbyć, to wiedźma. Czy mógłbyś mi w tym pomóc?

Marco uśmiechnął się uwodzicielsko.

- Moim zdaniem jesteś bardzo czarującą wiedźmą.

- Dziękuję, Marco, bardzo pięknie powiedziane! Ale widzisz, zajmowanie się czarami nie bardzo pasuje do mojego... przyszłego życia.

Przyjrzał jej się badawczo, a ona ufnie patrzyła mu w oczy, nic więcej nie mówiąc.

- Przykro mi, Sol, ale w tym także nie mogę ci już pomóc.

- No trudno, w takim razie będę musiała sobie jakoś radzić. Żeby mnie tylko nikt nie prowokował, bo wtedy mogę wybuchnąć!

- Domyślam się, że wtedy wiedźma weźmie górę w twoim charakterze. Sol, czy ty się zakochałaś?

Skrzywiła się.

- Czy się zakochałam, ja? Nie, ja... Uff, nie wiem, Marco. Ale nie sądzę. Chociaż może... troszkę. Zobaczymy.

Długo patrzył na nią swoimi ciemnymi, tajemniczymi oczyma.

- Będę zgadywał. Oni są naprawdę bardzo przystojni, ci tam.

Sol poczuła, że się rumieni. Pomyśleć, jest tak dalece człowiekiem, że potrafi się rumienić!

- Jestem taka szczęśliwa, Marco - wyszeptała. - I taka niepewna!

- Niepewna, ty? No, dość tego, biegnij teraz do niego - powiedział ciepło.

Kiedy momentalnie wypełniła jego polecenie, Marco poczuł ukłucie w piersiach. Jego „kuzynka” Sol. Chociaż pokrewieństwo jest bardzo odległe, dzieli ich parę stuleci.

Ale oboje pochodzą z Ludzi Lodu, a to ma swoje znaczenie.

15

NOWE ŻYCIE

Obowiązek kwarantanny został całkowicie uchylony wobec członków ekspedycji. Odzyskali wolność.

Ku swemu przerażeniu Goram odkrył, że Silas i Lilja nie wrócili jeszcze do domu. Natychmiast pognął do bunkrów smoka.

Wszyscy troje wybiegli mu na spotkanie, uświadomił sobie teraz, jaki popełnił błąd, myśląc o Lilji jako o dziecku. Dziewczyna ma przecież osiemnaście lat, tylko ta jej bezbronność sprawiła, że potraktował ją jako młodszą.

- Byliśmy pewni, że o nas zapomnieliś - powiedziała, rumieniając się intensywnie.

- Jestem głodny - żalił się Silas.

- Ale dlaczego nie poszliście do domu? - zapytał Goram zdumiony. - Byłem naprawdę bardzo zajęty, ale myślałem, że opuściliście bunkier, słysząc sygnały odwołujące alarm.

- Aha, więc to długie wycie znaczyło, że nie ma już niebezpieczeństwa - rzekła Lilja.

Goram potrząsał głową, najbardziej nad swoją niedomyślnością.

- Wybaczcie mi, myślałem, że wiecie. Chodźmy teraz! Szybko do gondoli! Nie, niestety, kochany smoku, ta gondola jest dla ciebie za mała.

- Ale wrócimy do ciebie - obiecał Silas. - Wpadnę tylko do domu i przyniosę ci trochę jedzenia. Ojca nie ma, więc nie będzie na mnie krzyczał. Co byś zjadł?

Goram położył mu rękę na ramieniu, z dawnego przyzwyczajenia chłopiec drgnął i skulił się, jakby chciał się bronić. Serce Strażnika ścisnęło się we współczuciu.

- Zaczekajcie chwileczkę wszyscy! Dzieją się właśnie rzeczy bardzo ważne dla was. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wszyscy troje będziecie mogli mieszkać blisko siebie.

Chcielibyście?

- Och, ale na naszej ulicy to nie można mieć nawet kota - powiedział Silas bliski płaczu.

- Ja nie mówię o waszej ulicy, Silas.

Po tych zagadkowych słowach kazał im wsiadać do gondoli. Machali z zapalem swemu skrzydlatemu przyjacielowi.

- Lilja, czy mogłabyś trochę pomóc w pracach porządkowych po katastrofie? - zapytał Goram.

Dziewczyna patrzyła na niego błyszczącymi oczyma.

- Mogę robić wszystko, teraz nie ma szkoły. Masz dla mnie jakieś konkretne zajęcie? Może mogłabym zamiatać?

- Nie, zajmuje się tym wystarczająco dużo osób. Spójrzcie tylko w dół! Wszędzie pełno ludzi. Ale szpital potrzebuje młodych osób do pomocy. To bardzo proste prace, nie będziesz musiała asystować przy operacjach - uśmiechnął się. - Chciałabyś tam pracować?

- Bardzo chętnie! Czy ty też tam będziesz?

- Od czasu do czasu.

Od czasu do czasu to bardzo dobry początek, pomyślała uszczęśliwiona, że może się tak unosić ponad ziemią razem z nim.

Goram zabrał ich do domu Lilji, przyszła tam także mama Silasa z jego młodszym rodzeństwem.

- Jak wiecie, musicie przez jakiś czas unikać spotkania z waszymi mężami - powiedział Goram do obu kobiet. - Mamy więc dla was propozycję. W mieście Saga są dwa wolne

mieszkania, dużo bardziej komfortowe niż wasze tutaj. Oba mają do dyspozycji rozległe ogrody, a sąsiedzi są bardzo sympatyczni i przyjaźni. Myślę, że dzieciom dobrze by zrobiła zmiana środowiska i, o ile dobrze zrozumiałem, żadna z was nie czuje się dobrze w mieście nieprzystosowanych.

Obie panie dostały rumieńców na policzkach, mama Lilji również na szyi.

Po chwili zapytała niepewnie:

- No, a potem? Co będzie potem?

- Same rozstrzygniecie, czy będziecie chciały mieszkać z mężami w Małym Madrycie czy nie.

- A co, jeśli oni zechcą sprowadzić się do nas do Sagi? - wtrąciła matka Silasa.

- Tego zrobić nie mogą. Ich miejsce jest tutaj.

Szwagierki zastanawiały się. Lilja szczypała matkę w rękę, a Silas z całej siły ścisnął dłoń swojej.

- No a co będzie, jeśli oni mimo wszystko do nas przyjdą? - zapytała mama Lilji. - Wtedy może być z nami naprawdę źle.

Widocznie w końcu uznała, że jej małżeństwo poniosło porażkę.

- Tam będziecie wszyscy absolutnie bezpieczni - zapewniał Goram. - Tam o wszystkim my decydujemy. Teraz oni zostaną osądzeni i będą musieli odbyć karę. Muszę tylko najpierw dostać od was obu kilka informacji. Wiemy, że obaj bracia znęcali się nad swoimi żonami, nad Lilją i nad Silasem. Ale co z młodszymi dziećmi? Czy one chcą, żeby ojciec wrócił, czy tęsknią za nim? Czy był dla nich dobry?

W pokoju zrobiło się cicho. W końcu odezwała się matka Silasa:

- Jak kiedy. One są przecież jego rodzonymi dziećmi, chwalił się nimi przed znajomymi. Wciąż stawiał oboje młodszymi Silasowi za przykład. Ale ja nie wiem... Co wy powiecie, dzieci? Chcecie, żeby tata wrócił?

- Nie! - zawołały dzieci równocześnie bez chwili wahania. Starsze dodało:

- Bardzo nam teraz dobrze, mamo. Czy możemy się przeprowadzić do nowego mieszkania?

- Ale zostawcie tutaj swoich kolegów.

Dzieci zastanawiały się chwilę. Potem dziewczynka oznajmiła:

- Myślę, że się przeprowadzimy.

- Dobrze - ucieszyła się matka i wzięła najmłodsze dziecko na rękę. - Zaczynamy nowe życie.

- Tak, zaczynamy nowe życie - przytaknęła mama Lilji.

- No to postanowione - ucieszył się Goram, uśmiechając się do dziewczyny. Ten uśmiech wywołał kołatanie jej serca.

Jaskari, młody lekarz pochodzący z rodziny czarnoksiężnika, bratanek Dolga, był zmartwiony. Oddział ginekologiczny jego szpitala przyjął równocześnie trzy bardzo trudne przypadki.

Pierwsza przyjechała Miranda, która prawdopodobnie urodzi dziecko za wcześnie.

Leżała teraz na obserwacji, ale sprawa nie wyglądała najlepiej. Gondagil niemal mieszkał w szpitalu, żeby ją wspierać i dawać jej poczucie bezpieczeństwa. Indra wpadała

nieustannie z wizytą, bardziej przeszkadzając niż pomagając. Druga ciężarna to Misa z rodu Madragów. Nikt nic nie wiedział o ciąży kobiet Madragów, nawet oni sami. Byli dziećmi, kiedy przed wieloma, wieloma tysiącami lat doszło do zagłady ich świata. Wtedy to czworo małych Madragów wpadło w szpony Silinów, którzy bardzo chcieli mieć ich do dyspozycji ze względu na ich wyjątkowe uzdolnienia wynalazcze. Aby wymordować Silinów i ich złego władcę, Sigiliona, Madragowie mieszały im do pokarmów substancje sterylizujące. Silinowie nie rozmnażali się więc i w niedługim czasie wymarli. Ale Madragowie też zostali wysterylizowani.

Odmienił to Marco, ponieważ posiadał władzę nad życiem tego gatunku. Misa zaszła w ciążę. Oni sami ustalili, kto będzie ojcem, chcieli bowiem, żeby dziecko przyniosło na świat jak najlepsze cechy. Matką musiała zostać Misa, jako jedyna kobieta w tym gronie. No i właśnie teraz, po raz pierwszy od wielu tysięcy lat, miało przyjść na świat dziecko Madragów. W kronice rodu czarnoksiężnika, w części zatytułowanej „Zapomniane królestwa”, znajdowały się pewne informacje na ten temat, ale zdecydowanie zbyt ogólne.

Misa bardzo się bała. Czuła się teraz zupełnie inaczej, musiała mieć specjalne łóżko, taka się zrobiła wielka i ciężka. Pewien młody kandydat na lekarza, przyjęty na próbę do szpitala, wygłosił w czasie wizyty pogardliwą uwagę: „Nie, co się tu wyprawia? Czy nie należy jej odesłać do lecznicy weterynaryjnej?”. Naczelny lekarz i Jaskari oraz cała świta lekarzy i pielęgniarek wpadli w gniew i młody kandydat został natychmiast odesłany z powrotem do Małego Madrytu z zakazem pokazywania się jeszcze kiedykolwiek w szpitalu.

Reakcja lekarzy ogrzewała, oczywiście, spłoszone serce nieśmiałej Misy, a już naprawdę humor jej się poprawił, kiedy Miranda zapytała, czy nie mogłyby leżeć w jednym pokoju. Misa cieszyła się, że nie musi być sama, i że na dodatek będzie leżeć z przyjaciółką. W pokoju było jeszcze trzecie łóżko. Wkrótce zajęła je kolejna osoba z grupy młodych, czyli Siska. Wtedy w sali zapanował wspaniały nastrój, wciąż słychać było stamtąd wybuchy śmiechu, chociaż wszystkie trzy pacjentki bardzo się bały.

Wiedziały bowiem, że każda z nich stanowi tak zwany problematyczny przypadek. Ciąża Siski była kompletną zagadką. Wszyscy z niepokojem oczekiwali rozwiązania. Płód dojrzewał niezwykle szybko, być może dlatego, że Siska sporo czasu spędziła w Ciemności, że należało liczyć według tamtejszej rachuby czasu, czyli pięćdziesiąt siedem dni. Z drugiej strony jednak wykonywane próby wskazywały, że genetycznie osobą dominującą jest tutaj babka dziecka, pochodząca z istot ziemi. Dziecko może więc rozwijać się tak szybko, jak jego ojciec, Tsi-Tsungga.

Nie były to zbyt radosne przewidywania.

Chyba nie bez powodu Tsi otrzymał zakaz sprowadzania dzieci na świat. Sama Siska też nie wiedziała zbyt wiele, otrzymała jedynie najbardziej niezbędne informacje. Mogła, rzecz jasna, wstawać, ale nie wolno jej było wychodzić z oddziału.

Młody Tsi, opuszczony w dzieciństwie przez wszystkich, dzielił swój czas między wizyty u Siski i wizyty na łąkach u jeleni olbrzymich. Kiedy przyszedł tam pierwszy raz po powrocie, rozradowane zwierzęta przybiegły do niego. Cieszyły się bardzo. Zwłaszcza że

przyniósł im mnóstwo ulubionych kąsków, warzyw różnego rodzaju i innych przysmaków, bo wiedział, że bardzo je sobie cenią.

- Przychodzę sam - wyjaśniał, głaszcząc jelenia po karku. - Mam was pozdrowić od Siski, ona jest... - głos mu się załamał. Zmienił więc temat. - O, jaki cielak zrobił się duży, jest już prawie dorosły! Moja księżniczka. Nazwałem go księżniczką, dokładnie tak samo jak...

Wzruszenie nie pozwalało mu mówić, oparł czoło o miękki pysk łani. Zwierzę przestało jeść, także okazywało mu sympatię.

- Zrobiłem coś strasznego - westchnął Tsi niewyraźnie. - Jeszcze nie do końca rozumiem, jak straszne jest to, co zrobiłem, i jakie jednocześnie piękne. Nie wolno mi było tego czynić, chociaż oboje bardzo pragnęliśmy, a teraz to może się źle skończyć dla mojej Siski, tak się boję! Nikt nic mi nie mówi, wszyscy są bardzo mili, myślę jednak, że w gruncie rzeczy są na mnie źli i to mnie bardzo boli.

Tsi się mylił, nikt nie był na niego zły, wszyscy natomiast bardzo się martwili.

Jaskari poprosił Siskę do swojego gabinetu i powiedział z wielką powagą:

- To prawda, Sisko, prawda, że być może urodzisz dziecko podobne do istot ze Starej Twierdzy. Ty ich nie widziałaś, ale ja tak.

- Jeśli tylko one podobne są do Tsi, to nie miałabym nic przeciwko temu.

- Tsi jest wysokim, silnym i bardzo urodziwym mężczyzną, jest w porównaniu z nimi wspaniale zbudowany. Poza tym ma też wyjątkowo miły charakter, tamte istoty natomiast nie posiadają ani jego radości, ani gorących serc. Jeśli chcesz, możemy ciężę usunąć.

Siska poczuła, że robi jej się gorąco. Zaciskała dłonie tak, że kostki robiły się białe.

Usunąć? Dziecko Tsi?

- Nie.

- Zastanów się nad tym! Pamiętaj jednak, że czasu nie mamy za dużo.

- Ja wcale nie muszę się zastanawiać. Kocham Tsi bardziej niż własne życie.

- Słyszałem o tym. Byłaś wyjątkowa w czasie ekspedycji. Tu jednak chodzi o zupełnie nową istotę, o nowe życie. O tym też powinnaś pomyśleć.

- Otoczę to dziecko miłością, niezależnie od tego, jak będzie wyglądać ani jak będzie się zachowywać.

Jaskari patrzył na nią badawczo.

- Muszę teraz pojechać do Starej Twierdzy, porozmawiać z tamtejszymi kobietami. Może mogłabyś mi towarzyszyć... zniesiesz to?

- Czy zniosę? Przecież ja byłam w Górach Czarnych!

No, no, nie tak znowu dużo czasu spędziłaś w tych górach, pomyślał Jaskari.

Przeważnie siedziałaś w Juggernaucie przy posłaniu Tsi.

- Chcę tam z tobą pojechać. Zwłaszcza jeśli Tsi też...

- Nie - uciał Jaskari. - Tsi o tym nie wie, ale jego krewniacy z twierdzy skazali go na śmierć, bo przeszedł na stronę wroga.

- To my jesteśmy ich wrogami?

- Oni tak sądzą.

- Ale przecież Tsi nie może umrzeć, nie tak łatwo.

- Wrzuciliby go z pewnością do podziemnego lochu. Musiałby tam pozostać na wieki. To także swego rodzaju śmierć, nawet okrutniejsza...

Siska nie była w stanie rozsądnie myśleć.

- W takim razie co my zrobimy?

- Ram właśnie organizuje małą delegację, która pojedzie tam, żeby przeprowadzić rozmowy. Z pewnością będzie jej przewodniczył Goram, jeden ze Strażników...

- Tak, znam Gorama. Byłam z nim wtedy w Ciemności.

- Ano właśnie. Pojadę też ja i ewentualnie ty, jako obserwator, w żadnym innym charakterze. Ty nie powinnaś opuszczać bezpiecznego terytorium. Ty i wszyscy, którzy byli aż do końca w Górach Czarnych, jesteście za bardzo zmęczeni. Nie możemy nikogo z was obciążać nowym, bardzo trudnym zadaniem. Musimy natomiast mieć ze sobą kogoś, kto się zna na magii, może się to okazać potrzebne w kontaktach z istotami ziemi, i chyba tym razem wybierzemy tego, którego wam w tamtej podróży najbardziej brakowało.

- Móri - ucieszyła się Siska. - Nawet byś nie zgadł, jak bardzo za nim tęskniliśmy!

- Jestem w stanie to zrozumieć. Chętnie też bym zabrał Elenę, ale ona pracuje nad nowym projektem i nie może przerwać.

- No, a jak wasze sprawy? - zapytała Siska cicho.

Jaskari skrzywił się boleśnie.

- Niby wszystko idzie we właściwym kierunku. Ale działać trzeba wolno, bardzo wolno. Dostyc trudno pozbyć się wrażenia, które zostawiła po sobie Griselda.

- Ta wiedźma!

- To delikatnie powiedziane. Boję się tylko, że Elena nie będzie chciała na mnie czekać i znajdzie sobie kogoś innego.

- Nie robi tego, mogę cię zapewnić - odparła Siska z przekonaniem.

- Dziękuję ci bardzo - uśmiechnął się Jaskari.

Stał przed nią taki przystojny i męski! Ramiona miał szerokie jak drzewo i trzymał się bardzo prosto. Głupia Elena, pomyślała Siska. Dlaczego ona go tak męczy? Machnijcie ręką na Griseldę oboje i odnajdźcie drogę do siebie!

Ale historia miłosna Eleny i Jaskariego miała w sobie coś z gazetowej powieści w odcinkach.

- Więc pojedziemy tylko we czworo? - Siska wróciła do poprzedniej rozmowy. - Ty i ja, Goram i Móri?

- Zgadza się.

Ale to się nie zgadzało. Musieli zabrać ze sobą jeszcze kogoś.

16

Lilja była bardzo niespokojna. Trawiła ją jakaś dziwna gorączka, niczego takiego nigdy jeszcze nie doświadczyła.

Oczywiście bywała już wcześniej zakochana! Oczywiście wymykała się z domu i krążyła po ulicach, by „przypadkiem” spotkać swego wybranego, jak to robią wszystkie nastolatki. Wszystko po to, by zwrócić na siebie jego uwagę. Mogła się wygłupiać, robić najdziwniejsze rzeczy, posyłać mu ukradkowe tęskne spojrzenia.

Ale dawno już skończyła z czymś takim. To teraz było całkiem inne. Głębokie, przerażające i niebezpieczne!

Lemuryjczyk? Lilja nie wiedziała, że wpada w tę samą pułapkę, w którą wpadły właśnie dwie inne młode kobiety, bo za bardzo się zbliżyły do czarujących, przystojnych Lemuryjczyków, nie miała jeszcze pojęcia o tym, co przytrafiło się Indrze i Sol. Ale istniała różnica. I Ram, i Kiro życzyli sobie bliższej znajomości z Indrą i Sol. Goram natomiast niczego takiego nie pragnął, jeśli chodzi o Lilję. Była dla niego tylko młodą, ufną dziewczyną, która nie zawsze zachowuje się rozsądnie. Nie знаła jeszcze tej potężnej siły przyciągania, którą Lemuryjczycy są w stanie zmobilizować, gdy życzą sobie uczuć kobiety w odpowiedzi na własne zaangażowanie.

Goram nie chciałby, żeby ta młoda dziewczyna się w nim zakochała. Sytuacja byłaby zbyt skomplikowana, po części ze względu na jej trudną rodzinę, po części ze względu na samą Lilję. Była zbyt młoda i zbyt niewinna, pochodziła ze środowiska pełnego przesądów i staroświeckich przekonań. W niczym nie przypominała dziewcząt z Ludzi Lodu i krewnych czarnoksiężnika.

Drżącymi rękami Lilja pakowała swoje rzeczy przed wyjazdem do Sagi, gdzie zacznie pracować w szpitalu. Wszystko stało się tak szybko, nie miały z matką czasu nad niczym się zastanowić, niczego przemyśleć, ale obie bardzo chciały jak najszybciej opuścić swoich dotychczasowych sąsiadów.

Ale będzie gadania! O dwóch braciach, zabranych przez Strażników. O znęcaniu się męża wyniosłej pani Anderson nad rodziną! Cóż to za skandal!

Fakt, że rodzina Silasa będzie narażona dokładnie na to samo, nikogo nie martwił. Tamta rodzina bowiem znajdowała się, zdaniem pani Anderson, na znacznie niższym poziomie. Wiadomo było tylko, że ów Strażnik, który ma na imię Goram, odwiedził jeszcze raz szkołę i rozprawił się z grupą starszych chłopaków, którzy prześladowali tak wielu pierwszoklasistów, a już zwłaszcza „nietoperza”. Fakt, bo nawet solidne rodziny z sąsiedztwa w ten sposób nazywały chłopca, nie zastanawiając się wcale, co takie małe, samotne dziecko może odczuwać.

Praca? Lilja będzie pracować po raz pierwszy w swoim życiu. Wiedziała, że do jej obowiązków będą należeć najprostsze czynności w szpitalu. Przenoszenie jednych rzeczy, przynoszenie innych, sprzątanie i mycie, pomaganie pielęgniarkom... Nic takiego, ale mimo to się cieszyła. Bo może on od czasu do czasu tam zajrzy?

Och, nikt nie może się dowiedzieć, o czym Lilja myśli w każdej sekundzie doby. Co by ludzie powiedzieli? Mama z pewnością by zemdląła. A ojciec... Nie, ojciec nie powie nic, został zamknięty czy coś takiego.

Jaką ulgę sprawiała jej myśl o tym! Nie bać się już więcej ojca, w każdym razie przez bardzo długi czas. Móc odsunąć od siebie wszystkie złe i przykre myśli.

Silas i jego rodzina zdążyli się już przeprowadzić do nowego domu, mama chłopca zadzwoniła do mamy Lilji i z wielkim entuzjazmem opowiadała, że wszystko jest fantastyczne, dom leży na pięknym wzgórzu koło miasta Saga. Z balkonu widać rozległy ogród, a sąsiedzi wydają się bardzo sympatyczni! W trudnych chwilach obie szwagierki bardzo się do siebie zbliżyły i Lilja z radością zauważyła, że matka również jest w stanie pokazać lepszą i cieplejszą stronę swojej osobowości.

Były gotowe do drogi, czekały tylko na gondolę, kiedy nadszedł meldunek o nowej katastrofie...

Podczas transportu obu aresztowanych braci, brutalny ojczym Silasa siedział i coś przez cały czas mamrotał pod nosem. Jego strażnik zrozumiał część słów, które nie były przeznaczone dla osób postronnych. Najwyraźniej Anderson domyślił się w jakiś sposób, że to chyba Lilja doniosła na niego i brata. Przeklinał i wymyślał, że „obedrze ze skóry tę przeklętą zdrajczynię, jak tylko ją złapie”.

Konwojenci się widocznie zagapili, albo zawiodło coś innego, akurat bowiem w momencie, gdy stalowe drzwi miały się zamknąć za łobuzami, ojczym Silasa zdołał złapać kluczyk do swoich kajdanków i zbiec. Ojca Lilji powstrzymano w porę, ale wściekły ojczym Silasa uciekł. Strażnik, którego uderzył, nadal jest nieprzytomny. Po zbiegu wszelki ślad zaginał.

Kiedy Goram usłyszał o wszystkim, przeniknął go zimny dreszcz. Lilja? Gdzie ona jest? Zarządził natychmiast ochronę nowego domu rodziny. Ale Lilja i jej matka jeszcze nie opuściły miasta nieprzystosowanych.

Chyba nigdy nie rozwinął większej szybkości!

Dotarł do obu kobiet akurat w momencie, kiedy wsiadały do dużej, jeżdżącej po ziemi ciężarowej gondoli, wypełnionej całym ich majątkiem. Goram przywiózł z sobą dwóch uzbrojonych Strażników, którzy mieli konwojować ciężarową gondolę oraz matkę Lilji. Dziewczyną chciał się zająć sam.

- Nie będzie bezpieczna, dopóki nie znajdziemy jej wuja - tłumaczył protestującej matce.

- Dlatego ja się nią zajmę, będę strzegł Lilji osobiście tak, żeby nic się nie stało. W przeciwnym razie nie zaznam spokoju. Mam teraz do spełnienia pewne sekretne zadanie z kilkoma godnymi zaufania osobami. Z nami Lilja będzie bezpieczna.

- No, a my? Rodzina mojej szwagierki i ja?

- To nie na was on chce się mścić. A wasze nowe mieszkania są niczym twierdza. Ja chcę tylko czuwać nad Lilją. Ochroniać ją własnym życiem, jeśli tak można powiedzieć - dodał z uśmiechem.

Matka dziewczyny przyglądała mu się surowo i badawczo. „Tylko bez żadnych głupstw!”, mówiło jej spojrzenie. Spojrzenie Gorama zdawało się odpowiadać: „Nigdy by mi nawet coś takiego do głowy nie przyszło”. Głośno dodał:

- Udajemy się do takiej części Królestwa Światła, której Anderson nigdy nie znajdzie, nie wie o jej istnieniu, więc nawet nie będzie tam szukał.

Matka dziewczyny westchnęła.

- No dobrze. To jesteśmy umówieni. Ale czy ja nie powinnam jechać z wami?

- To by było dla mnie wielkie utrudnienie. Musiałbym wtedy ochraniać dwie osoby.

- Rozumiem. Niech pan jej dobrze pilnuje!

- Z narażeniem życia!

Lilja podczas tej rozmowy stała jak ogłuszona. Zbyt wiele spadło naraz na jej głowę. Ktoś ją ściga i chce się zemścić. A Goram będzie ją ochraniał, z narażeniem własnego życia.

Jakie to dramatyczne! I jakie romantyczne zarazem! A poza tym nieopisanie straszne!

Nagle zapragnęła móc opowiedzieć o wszystkim swoim koleżankom w klasie. Ale

przecież skończyła już szkołę, a poza tym wątpiła, czy one by zrozumiały, jakie to piękne być ochranianą przez Lemuryjczyka.

Po prostu nie miała z kim podzielić się swoją cudowną tajemnicą. Lilja bowiem wciąż była w tym wieku, kiedy dziewczęta bardzo chętnie rozmawiają o swoich małych miłosnych historiach, jeszcze z tego nie wyrosła.

Owszem, jest ktoś taki. Owa sympatyczna kelnerka z cukierni. Teraz jednak nie mogła się z nią spotkać. Lilja więc musiała sama przeżywać to cudowne, co ją spotkało.

Goram poprosił, by wsiadła do gondoli. Tym razem mieli lecieć tylko oni dwoje. Samotni pod Świętym Słońcem ruszyli bardzo szybko w stronę zewnętrznego świata, jak mieszkańcy miasta nieprzystosowanych nazywali pozostałe części Królestwa Światła.

Serce tłukło się w piersi Lilji tak mocno, jakby miało pęknąć. Nie miała odwagi spojrzeć wprost na swojego towarzysza, widziała tylko jego długie, szczupłe dłonie oparte na kierownicy. Jakież są piękne! Widok tych dłoni i myśli przepelniające jej głowę sprawiały, że jej ciałem wstrząsały leciutkie, rozkoszne, zakazane dreszcze. Poczula wyrzuty sumienia, że w ten sposób myśli o Lemuryjczyku, i musiała odwrócić głowę.

Wylądowali niespodziewanie szybko. Lilja stwierdziła, że znajdują się koło szpitala. Bo przecież miała tu zacząć pracę, czyż nie? A może ma się tutaj po prostu schronić? Nie, Goram powiedział, że zabierze ją w jakąś tajemniczą podróż. Do nieznanych części Królestwa Światła.

Niczego nie rozumiała, ale nie miała odwagi pytać. Goram przez całą drogę nie powiedział ani słowa.

Niebywale przystojny blondyn w lekarskim fartuchu wyszedł ze szpitala z jakąś młodą dziewczyną o najdłuższych włosach, jakie Lilja kiedykolwiek widziała. Te włosy były czarne i lśniące. Dziewczyna miała na sobie luźne ubranie, jakby spodziewała się dziecka, tak, chyba rzeczywiście tak jest.

Goram przedstawił ją przybyłym. Lekarz imieniem Jaskari powiedział przyjaźnie:

- Ach, tak, to ciebie ściga zbiegły więzień? Dobrze, będziemy się tobą opiekować.

Dziewczyna miała na imię Siska. Goram mówił do niej „księżniczko”.

O rany, pomyślała Lilja z podziwem.

- Móri będzie tu za chwilę - wyjaśnił Jaskari.

Jeszcze jeden? Więc to nie będzie prywatna wycieczka w towarzystwie Gorama.

Podczas gdy czekali, Goram wyjaśnił jej:

- Mamy jechać do Starej Twierdzy...

- Tak, ale... czy tam nie mieszkają trolle? - wyrwało się Lilji.

- Nie, nie trolle - uśmiechnął się. - Istoty ziemi. Jaskari musi porozmawiać z tamtejszymi kobietami. Sprawa dotyczy dziecka, którego spodziewa się Siska. Ono będzie spokrewnione z istotami ziemi.

Ale, o rety... Lilja nie była w stanie wykrztusić słowa, nie mogła przecież zapytać, jak do tego doszło.

- Samej Sisce nie wolno rozmawiać z tymi istotami, musi je tylko obejrzeć, żeby postanowić, czy chce urodzić to dziecko.

- Pragnę go niezależnie od okoliczności - powiedziała Siska cicho i z taką czułością, że Lilji dosłownie serce się krajało.

Ci, którzy wychowywali się w Małym Madrycie, nie mieli żadnego pojęcia, co dzieje się w pozostałych częściach królestwa. Po prostu nie chcieli nic wiedzieć o tych wszystkich niezwykłych istotach, które tam mieszkają. Lilja uważała się za osobę światłą i pozbawioną przesądów. Ale również dla niej to wszystko było szokujące. Jak taka cudownie piękna, krucha i delikatna dziewczyna mogła począć dziecko z istotą ziemi? Ale trudno się dziwić, Lilja nie widziała jeszcze Tsi-Tsunggi. Poza tym pokrewieństwo z istotami ziemi dziecko miało jedynie poprzez matkę ojca, o tym też Lilja nie miała pojęcia.

- A ten, na którego czekamy? On ma na imię Móri, prawda? Dlaczego się z nami wybiera?

- Móri jest największym czarnoksiężnikiem - uśmiechnął się Goram. - Może się nam okazać niezbędny. Istoty ziemi nie są naszymi największymi przyjaciółmi. Trudno sobie wyobrazić, jak zareagują na wizytę.

Jeśli te informacje miały działać na Lilję uspokajająco, to Goram bardzo się mylił.

- No, nadchodzi właśnie Móri - powiedziała Siska, kiedy jakaś gondola wylądowała w pobliżu.

Oj! Teraz to już dla Lilji za dużo tego dobrego. Ciemny, szczupły mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu, ubrany na brązowo, sprawił, że Lilja nie była w stanie oddychać. A więc to jest czarnoksiężnik! Tak, jeśli w ogóle ktoś jest czarnoksiężnikiem, to musi to być właśnie on! On jednak przywitał się z nią bardzo życzliwie, a oczy patrzyły tak przyjaźnie, że dziewczyna trochę się uspokoiła.

Goram chciał, żeby siedziała obok niego, bo traktuje swoją odpowiedzialność bardzo poważnie, wyjaśnił. Lilja nie miała absolutnie nic przeciwko temu. Pozostałych troje siedziało z tyłu i dyskutowało nad strategią rozmów z istotami ziemi.

Brzmiało to dość nieprzyjemnie. „Bądźmy przygotowani na wszystko”. „Siska nie może się pokazywać, powinna siedzieć ukryta w gondoli, przy zamkniętych drzwiach i oknach. Może tylko patrzeć na istoty ziemi, ale one nie mogą jej widzieć”.

No a ja? zastanawiała się Lilja, czy też mam siedzieć zamknięta i trząść się ze strachu? Czy nie mogłabym być przez cały czas z Goramem?

Okazało się, że może. Najpierw bardzo się ucieszyła, ale kiedy obejrzała Starą Twierdzę z daleka, nogi zaczęły się pod nią uginać. Może jednak najlepiej byłoby zostać w gondoli mimo wszystko?

Ruiny twierdzy znajdowały się w ponurej, mrocznej części Królestwa Światła jako pozostałość po dawno minionych czasach. Dachy i wieżyczki pozapadały się tu i ówdzie, wszystko wyglądało na opuszczone i wymarłe.

- Pomyśleć, że Tsi żył tutaj całkiem sam przez wiele lat - westchnęła Siska. -

Odepchnięty przez wszystkich, także przez istoty ziemi. Nigdzie nie miał domu, to musiało być potwornie przygnębiające.

Móri uśmiechnął się:

- Ale w końcu znalazł was. Został włączony do waszej wspólnoty. Możecie być pewni, że to bardzo wiele dla niego znaczyło i znaczy!

- Uff, kiedy sobie przypomnę, jaka byłam dla niego niedobra, odpychająca, to wstydzę się jak pies - powiedziała Siska. - A on zawsze taki wobec wszystkich przyjazny!

- Ale przecież się zmieniłaś, Sisko. On cię uwielbia.

- I z wzajemnością - odparła niezwykła księżniczka rumieniając się.
Lilja nie mogła jej zrozumieć. Szczerze powiedziawszy, nie rozumiała w ogóle niczego. Krążyli coraz niżej ponad twierdzą. Zbliżali się do ziemi. Wtedy zobaczyła niewielką osadę z małymi ziemiankami.

Wyglądało na to, że ich przybycie wywołało wielkie poruszenie.

O Boże, myślała Lilja, modląc się szczerze w duchu.

- Naprawdę zaczynam mieć dosyć tych wszystkich prób i badań, jakie wciąż mi robią - westchnęła Misa, leżąc na swoim łóżku.

- Ja odczuwam to samo - przytaknęła Miranda. - A poza tym nic się nie dzieje, po prostu leżymy i czekamy.

- Ciekawe, jak tam z Siską? - rzekła po chwili Misa w zamyśleniu.

- No właśnie. Tsi nieustannie zalewa się łzami. Nie znam nikogo, kto mógłby płakać tak szczerze, a mimo to nadal pozostawać supermanem.

- Tsi jest prawdziwym dzieckiem natury. Tacy jak on mogą robić, co zechcą, a i tak ich akceptujemy.

Przez chwilę leżały w milczeniu. Czas odwiedzin minął. Dzisiaj przychodził Gondagil, a także Indra. Indra nareszcie cieszyła się bez zastrzeżeń z powrotu do Królestwa Światła, teraz jej ukochany kraj odzyskał dawny blask, znowu było jasno i ciepło, za czym tak bardzo tęskniła. Indra lubiła chodzić boso po wilgotnej, miękkiej trawie i cieszyć się, że po prostu istnieje. Teraz znowu znajdowała się w przyjaznym cieple!

Misę odwiedzili Tam i Chor, natomiast Tich odpoczywał po podróży. Obaj Madragowie nie mieli czasu na dłuższe wizyty, czekał ich bowiem ostatni etap badań nad eliksirem, który miał stworzyć nowe życie dla planety Tellus. W laboratoriach w Srebrzystym Lesie prace szły pełną parą.

Po wszystkich odwiedzających i pod nieobecność Siski w szpitalnej sali panowała głęboka cisza.

- Jakby nas zamurowano - powiedziała Miranda. - A tak nam było wesoło z Siską.

- Owszem - potwierdziła Misa. - Ale przecież ona wróci.

- Naturalnie.

Znowu zaległa cisza w sterylnym, ale wcale niepodobnym do zwyczajnej szpitalnej sali pokoju. Tutaj naprawdę było bardzo przyjemnie, przebywały tu zwykle ciężarne kobiety, które z jakichś powodów musiały poddawać się obserwacji.

- Tak się boję - powiedziała nagle Misa, cicho, z rozpaczą.

- Ja też - przyznała Miranda. - Nic nie jest tak, jak powinno być. O, nie, znowu zaczynają się bóle!

Misa zadzwoniła po pielęgniarkę.

- A w dodatku Jaskari wyjechał - szepnęła cicho sama do siebie.

17

Wciąż krążyli nad okropnymi ruinami Starej Twierdzy, kiedy Jaskari odebrał telefon od Marca.

- Właśnie przyszedłem do szpitala, miałem przekazać Misie paczkę od Ticha. Jaskari, jesteś tu bardzo potrzebny. Wygląda na to, że czas Mirandy nadszedł.

- Jeśli chodzi o Mirandę, to inni mogą się równie dobrze nią zająć. Mamy poważniejsze przypadki niż ona. Bo na przykład Misie mogą pomóc tylko ja.

Nie chciał powiedzieć głośno, tego co myślał: „Bo tylko ja mam wykształcenie lekarskie i jednocześnie weterynaryjne”. Ale Marco i tak wiedział.

Jaskari dał parę wskazówek, które Marco obiecał przekazać lekarzom. Rozmowa się skończyła.

Trzeba się było teraz koncentrować na lądowaniu na wrogim terytorium, daleko od centralnych obszarów Królestwa Światła. Zbocza wzgórz były tutaj strome, niedaleko przebiegał niewidzialny mur. Światło Świętego Słońca nie docierało z pełną siłą, wobec tego panował wciąż lekki mrok.

- Wylądujemy tam dalej - powiedział Goram. Mówił krótko, cedził słowa przez zęby, też się widocznie niezbyt dobrze czuł w tej sytuacji. Zresztą żadne z przybyłych nie czuło się dobrze.

Istoty ziemi w żadnym razie nie wyglądały sympatycznie. Tylko fakt, że znalazły się w centralnym punkcie ziemi jako pierwsze, przed wszystkimi innymi istotami, sprawił, że Obcy pozwolili im pozostać w Królestwie Światła. Ale też istoty ziemi nie zapuszczały się raczej w inne rejony, żyły tutaj własnym życiem.

Mieszkańcy osady wyglądali na bardzo wrogo usposobionych, kiedy szli w stronę łąki uzbrojeni po zęby w prymitywną broń. Siska nie mogła pojąć, że to są kuzyni Tsi. Owszem, kolor skóry, brunatny, mieniący się zielenią i żółcią, oraz włosy, zielonkawe, mocno kręcone, przypominały Tsi. Poza tym nie było żadnych podobieństw. Ci tutaj byli niewielkiego wzrostu, z pewnością nie osiągali nawet metra wysokości, byli brudni i, krótko mówiąc, paskudni. Niezdarne ciała bez talii, śmiesznie cienkie ręce i nogi. Twarze przypominały korę starych drzew, nosy mieli długie i spiczaste. Małe, wytrzeszczone czarne oczka.

I takie dziecko miałaby urodzić?

Nie, pomyślała przestraszona.

Ale to tylko pierwsza, całkiem zrozumiała reakcja. Zaraz jednak pomyślała o Tsi, to przecież jego dziecko, Siska będzie je kochać niezależnie od wyglądu. Tak powiedziała już dawno i zamierza słowa dotrzymać.

Mimo to nie była w stanie stłumić rozpaczki!

Wszyscy wysiedli z gondoli, zostały tylko Siska z Lilją.

Goram przemawiał do mieszkańców twierdzy, kierował się zwłaszcza do jednego, który najwyraźniej był tutaj wodzem. Nosił na szyi ozdobę z ptasich piór. Siska nie mogła dosłyszeć, o czym rozmawiają, bo dach gondoli był szczelnie zaciągnięty. Widziała jednak, że przyglądają się z ciekawości pojazdami, a ich postawa stała się jakby mniej agresywna. Wódz wskazał kilka kobiet, które pewnie potrafią opowiedzieć, co czeka Siskę, i gestem zapraszał gości do wsi. Zauważono też, że w gondoli zostały obie dziewczyny, wódz nalegał, by i one poszły do osady.

Goram wahał się. Bardzo niechętnie wyraził zgodę na wizytę Siski, ale Lilji nie chciał tam prowadzić.

Dopiero gdy twarze gospodarzy stawały się coraz bardziej groźne i zdecydowane, ustąpił. Otworzył drzwi gondoli i powiedział cicho do Lilji:

- Trzymaj się mnie! Móri i Jaskari będą się opiekować Siską.

Obie dziewczyny poszły na uginających się nogach do niezwyklej osady.

- Czy matka Tsi-Tsunggi jest tutaj? - zapytał Goram.

Wódz machnął wściekle swoją dzidą.

- Ta kobieta nie jest jedną z nas. Jej matka pochodziła z przeklętego rodu leśnych elfów, na dodatek sama zadała się z Lemuryjczykiem. Trzeba ją było unicestwić.

No tak, pomyślała Siska, nareszcie mam wyjaśnienie, skąd się wzięły u Tsi rysy elfów.

Potem dowiedziała się, że owa pochodząca z elfów kobieta została zgwałcona przez mężczyznę z istot ziemi, kiedy urodziła córkę, wróciła tutaj i zostawiła dziecko... Później ta dziewczyna...

Móri, który źle się poczuł, słysząc okrutną odpowiedź wodza, zapytał:

- A ojciec Tsi-Tsunggi, Lemuryjczyk? Co z nim?

- On, naturalnie, także został unicestwiony razem z kobietą, to się chyba rozumie samo przez się.

Móri nic nie powiedział.

Pośród niskich, okrągłych i porośniętych trawą ziemianek płonęło ognisko, a przy nim stał zastawiony stół otoczony ławkami. Otwory wejściowe do ziemianek były tak małe, że goście musieliby się wczołgiwać na czworakach. Postanowiono zatem przyjąć ich na dworze. Zresztą oni przystali na to z ulgą, nikt nie miał ochoty wchodzić do tych szurzych nor.

Wódz dopytywał się o Tsi-Tsunggę. Czy nie zamierza wkrótce odwiedzić rodzinnej osady?

Goram, który widział żądzę zemsty w jego małych, czarnych oczkach, odpowiedział wymijająco, że należy przypuszczać... może tak...

Nie, nie, myślała Siska przestraszona. Tsi nie może tutaj wrócić. Nigdy w życiu!

W stronę gości wyniesiono wielką tacę z glinianymi czarkami. Jeśli podadzą nam robaki, to zacznę krzyczeć, pomyślała Siska. Spostrzegła, że Lilja jest biała ze strachu, ucisnęła więc jej dłoń, żeby dodać odwagi. Towarzyszą im przecież wysocy, silni mężczyźni, nie mają się czego bać. Lilja uśmiechnęła się ledwo zauważalnie, z wdzięcznością.

Ale sama Siska też się bała.

Okazało się, że w czarkach przyniesiono powitalny napój. Wyglądał dość normalnie. Po prostu jakiś sfermentowany sok.

Wszyscy pili z uroczystymi minami, wódz i jego podwładni również. Siska bała się o dziecko, nie chciała pić nic, co mogło zawierać alkohol. Udawała więc tylko, że przepija do wodza, że przełknęła spory łyk, ale szepnęła do Lilji, żeby była ostrożna. Takie młode, niedoświadczone dziewczyny mogą się upić paroma kroplami. Dostrzegła, że Lilja odstawiła czareczkę, ledwie umoczywszy wargi.

Potem zaczęły mówić kobiety. W tutejszym przytłumionym świetle ich młasczące, gulgoczące głosy brzmiały jakoś nierzeczywiście, Siska musiała się dyskretnie uszczypnąć w rękę, by upewnić się, że naprawdę to wszystko przeżywa.

Jeśli ci pierwotni mieszkańcy Królestwa Światła dziwili się, że goście ich rozumieją, to w każdym razie nikt się nawet na ten temat nie zająknął.

Siska była przerażona, kobiety bowiem potwierdziły to, co mówił Tsi: tutaj ciąża trwa dziewięć tygodni.

Ponieważ minęło wiele dni od powrotu ekspedycji do domu, to zgodnie z tutejszymi obliczeniami jej ciąża byłaby już przenoszona.

Ale ona jest przecież kobietą, poza tym Tsi jest półkwi Lemuryjczykiem i w czwartej części leśnym elfem, tylko w jednej czwartej istotą ziemi. Urodę najwyraźniej odziedziczył po ojcu, Lemuryjczyku, zaś po babce ze strony matki cechy leśnych elfów. To dzięki niej wygląda niczym faun. Dlaczego więc Siska się tak niepokoi? Wolałaby chodzić w ciąży przez dziewięć miesięcy?

Ale co wiadomo w tej sprawie o leśnych elfach? Dręczyła ją natrętna myśl. Czy ich ciąża trwa równie krótko jak tych tutaj?

Nie chciała słuchać, o co Jaskari wypytuje kobiety. Martwiło ją, że chce wiedzieć tak strasznie dużo akurat o kobietach istot ziemi i ich porodach. Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że jej ciąża dojrzewa niepokojąco szybko, ale od tego do...

I właśnie w tym momencie uświadomiła sobie, że dzieje się coś niepokojącego.

Goram marszczył czoło i przecierał oczy. Jaskari miał dziwnie rozmazany wzrok, opart głowę na rękach. Lilja też sprawiała wrażenie oszołomionej.

Móri, który siedział naprzeciwko Siski, szepnął do niej:

- Uciekaj! Biegnij do lasu, szybko!

Goram po prostu zasypiał na siedząco. Mruknął tylko do Móriego:

- Tam ją złapią.

- Nie - zapewnił Móri. - Pozwólcie, że ja się tym zajmę! Siska, postaraj się wyciągnąć ze sobą Lilję. Ona też piła bardzo mało.

Na pół przytomny Móri zaczął nucić dziwną pieśń. Istoty ziemi całą swoją uwagę skierowały ku trzem mężczyznom, jakby całkiem zapomniały o dziewczętach. Siska domyśliła się, że teraz te groźne istoty znajdują się we władaniu magii, że Móri ma nad nimi kontrolę, musi więc działać bardzo szybko, dopóki czarnoksiężnik nie zaśnie.

Wstała i starała się pociągnąć za sobą Lilję, która nie pojmowała ani tego, co robi Móri, ani co się w ogóle dzieje. Była jednak zbyt oszołomiona, by stawiać Sisce opór, wyszła za nią na sztywnych nogach. Właściwie Siska musiała ją dźwigać.

W ten sam sposób Móri został uratowany kiedyś dawno temu na islandzkich pustkowiach. Był wtedy jeszcze dzieckiem. Jego matka i czarnoksiężnik Gissur nucili tę samą magiczną pieśń, dzięki czemu wzrok ich nadzorców został zamglony tak, że nie widzieli tego, co powinni, widzieli natomiast to, co nie istniało.

Teraz też istoty ziemi widziały dokładnie to, co Móri chciał, żeby widziały, a nie to, co się w rzeczywistości działo. Dziewczyny pobiegly nie zatrzymywane przez nikogo. Siska miała wrażenie, że gospodarze ich nie zauważali, i tak też było.

Bardzo szybko znalazła się w głębi lasu ze swoim zapadającym w sen brzemieniem. Jeszcze raz, myślała. Jeszcze raz uciekam w śmiertelnym strachu od jakiejś osady w obawie przed ścigającymi, którzy mają mord w oczach. Ci jeszcze nie zaczęli mnie gonić. Ale gdy tylko zauważą, że mnie nie ma...

Nie zasypiaj jeszcze, Móri! Bo wtedy oni mnie złapią.

Goram, siedząc przy stole, czuł, jak trucizna paraliżuje mu ciało.

- Musimy sprowadzić pomoc - wykrztusił w stronę Jaskariego. - Ale nie mam przy sobie telefonu.

- Ja mam - odparł lekarz z takim samym wysiłkiem. - Nie jestem tylko w stanie wybrać żadnego numeru. Czaruj, dziadku, czaruj, musimy mieć trochę czasu.

Z największym trudem udało mu się wyjąć z kieszeni mały telefon. Po czym zasnął. Głos Móriego też brzmiał coraz słabiej.

- Goram - mruknął z głową opartą na ramionach. - Możesz wziąć telefon Jaskariego?

- Tak. Ale ja...

- Naciśnij ten biały guzik! Zostaniesz połączony z tym, z kim on rozmawiał ostatnio. Goram odczuwał niewypowiedziane zmęczenie. Dosłownie nie był w stanie ruszyć palcem. Skoncentrował całą siłę woli i na pół świadomie wyciągnął rękę po telefon. Cofnął ją potem lekko, wymacał palcami miejsce, gdzie powinien znajdować się biały guzik. Nacisnął.

Mamrotanie Móriego było teraz kompletnie niezrozumiałym ciągiem dźwięków.

Skądś z bardzo daleka, zamazany i tajemniczy, odezwał się głos Marca. Goram wybełkotał:

- Pomocy! Siska w lesie. Lilja... my... zatruci.

Po czym on też zasnął, a zaraz po nim Móri. Wszyscy trzej stracili świadomość. Nikt nie słyszał słów Marca:

- Jedziemy natychmiast. Muszę wam powiedzieć, że bóle Mirandy ustały. Jeszcze raz. Nikt nie wie, co to się dzieje.

Siska nie była w stanie zrobić nic więcej. Albo będzie musiała zostawić Lilję i dalej biec sama, albo obie muszą tu czekać. Lilja nie miała już nawet siły poruszać nogami.

Siska postanowiła, że zostaną. Przecież nie może porzucić tej dziewczyny.

Ze świstem chwyciła powietrze, ucieczka bardzo dała jej się we znaki, musiała przecież ciągnąć za sobą na pół śpiącego człowieka. Lilja leżała teraz na ziemi w rzadkim lesie, była to, naturalnie, dużo bardziej miękka trawa, a okolica dużo ładniejsza niż w Ciemności, po tamtej stronie murów, nie mówiąc już o Górach Czarnych, ale niebezpieczeństwo tak samo wielkie.

Teraz słyszała wyraźnie, że pościg ruszył. Zaczęło się polowanie na człowieka, które znała tak dobrze. Złapią ją, złapią niedługo kobietę, która oczekuje dziecka z krewniakiem istot ziemi. Tę, która zbrukała czystość ich plemienia i rasy.

- Och, Liljo, co my zrobimy? - żaliła się. - Musimy się chyba gdzieś ukryć.

- Tak - mruknęła dziewczyna, poza tym jednak nie nadawała się do żadnej pomocy.

I wtedy przytrafiło się coś strasznego.

- O, nie!

Siska skuliła się pod wpływem ostrego, przeszywającego bólu. Ratunku! Rodzę! Teraz, myślała śmiertelnie przerażona. Podźwigałam się, ciągnąc Lilję przez las.

A może to jest dziecko ludzkie i właśnie zaczęło się poronienie? A może czas się właśnie dopełnił? Nic nie wiem, nic nie wiem!

Tsi, gdzie jesteś, tak strasznie cię potrzebuję, jestem taka przerażona!

Nasłuchiwała. Prześladowcy? Ale... ich głosy brzmiały teraz jakby bardziej z daleka. Czyżby oni...?

- Oni pobiegli w złym kierunku, Liljo! Mamy troszeczkę czasu, zanim się zorientują, że popełnili błąd.

Ale na co mógł się przydać ten czas? Lilja nie była w stanie dalej iść, Siska też nie, bo skurcze wstrząsały nią z wielką siłą.

- Lilja... co ja mam zrobić? - pytała, kładąc się obok towarzyszki. - Zaczynam rodzić dziecko, czy możesz... pomóc mi?

Półprzytomna Lilja była przerażona. Nie miała przecież pojęcia o rodzeniu dzieci, zresztą nie była w stanie nic zrobić, ale jej dobre serce przepelniało współczucie. Cóż to za potworna sytuacja, w jakiej znalazła się ta piękna księżniczka!

- Zrobię, co mogę - obiecała sennie, widząc, jak Siska cierpi.

- Dziękuję - powiedziała Siska, ściskając jej rękę. Z wdzięczności i z bólu.

Och, przyjdźcie nam na pomoc, szeptała w duszy. Pomóżcie nam, zanim będzie za późno! Ale kto mógł przybyć im na ratunek?

Nikt, tyle wiedziała.

18

Marco obserwował ze swojej gondoli okolice Starej Twierdzy. Kierował Ramem i innymi Strażnikami, którzy przybywali tłumnie.

Wiadomość od Gorama była dość tajemnicza. Co mianowicie chciał powiedzieć jednym słowem „Lilja... „? Czy nie żyje? Czy może została wzięta do niewoli? A może jest razem z Siską?

Ujął mikrofon.

- Ram? Widzę je. Dziewczyny. Widzę też hordę istot ziemi, które najwyraźniej ich szukają, ale biegają po drugiej stronie osady. Naszych trzech mężczyzn nigdzie ani śladu. Czy zajmiecie się gospodarzami, żebym ja mógł pomóc dziewczętom?

- Zrozumiano - odparł Ram. - Teraz widzimy twierdzę... a za nią ziemianki.

Marco skierował swoją małą gondolę w dół. Obie dziewczyny leżały na ziemi, Lilja wyglądała, jakby spała, Siska zaś tuliła się do niej dziwnie skulona.

Nie wyglądało to za dobrze.

Zatruci, powiedział Goram. Owszem, na to wygląda. Naprawdę niedobrze!

Znowu ujął mikrofon.

- Ram, ześlij na dół patrol, żeby poszukał Gorama, Jaskariego i Móriego! Wygląda mi na to, że to silnie działająca trucizna.

- Zrobione - oznajmił Ram. - Kiro i ja osobiście zajmiemy się tą sprawą. Jest z nami Dolg.

- Znakomicie! Informujcie mnie!

Lilja była zrozpaczona. Wszystko docierało do niej jakby zamazane, mózg miała otulony watą, a tak bardzo chciałyby pomóc swojej nowej przyjaciółce. Cóż, kiedy nie była w stanie.

- W czym mogłabym ci pomóc? - mruknęła.

Siska zdławiła jęk. Głęboko wciągała powietrze i zbierała siły.

- Ja nie wiem, Liljo, bądź po prostu przy mnie, to mi dodaje otuchy.

- Nie opuszczę cię - zapewniła Lilja na pół z płaczem.

Wtedy zobaczyła, że na twarzy Siski pojawił się uśmiech ulgi. Jej wzrok skierowany był w jakiś punkt za plecami Lilji.

- Marco - szepnęła księżniczka. - Dziękuję, Marco, że tu jesteś! A może mam zwidy?

- Nie, jestem naprawdę. Ale moja kochana, mała dziewczynko, co się z tobą dzieje? Marco? Lilja słyszała o nim. To legenda, baśniowa postać w Królestwie Światła. Jak to oni mówią? Książę Czarnych Sal? Coś dużo książąt i księżniczek tutaj, Lilja poczuła się mała i pozbawiona znaczenia.

Przed jej oczyma pojawił się jakiś mężczyzna. Ze zdumienia przestała oddychać.

Uważała, że Goram jest przystojny, ale ten? Tak wspaniałe stworzenie po prostu nie może istnieć!

No i tak też jest. Marco to bohater z baśni. Fantazja.

A może po prostu śni, może w tym jej oszołomionym mózgu pojawiają się takie zwidy? A może jednak nie śpi, może ma widzenia na jawie?

Przybyły uklęknął na jedno kolano. Obejrzał oczy obu dziewcząt. Dotyk jego rąk też był cudowny, płynęła z nich jakaś niezwykła siła.

Uśmiechnął się ciepło.

- Wiesz co, Sisko? Ja też urodziłem się w lesie. Pewien mały, bezradny chłopiec, który miał zaledwie jedenaście lat, musiał zająć się mną i moim bratem bliźniakiem. Dwa czarnoskrzydłe anioły przybyły, żeby uratować naszą matkę.

Czarny anioł? Tak, musiały to być anioły, skoro, jak on mówi, miały skrzydła. Ale on przecież skrzydeł nie ma. Och, on jest tak fantastycznie przystojny, z tą dziwną ciemną skórą, mieniającą się jakoś metalicznie. Jego skóra przywodzi na myśl barwę antracytu, choć właściwie jest złocistobrazowa.

- Marco, tak się boję - wyszeptala Siska. - Wciąż się boję. Nie chciałabym stracić dziecka Tsi.

- Nie dopuścimy do tego. Zrobimy wszystko, żeby zapobiec najgorszemu.

Chwyła go za rękę.

- A jeśli to jest poronienie... musisz je powstrzymać, Marco!

O czym ona mówi? zastanawiała się Lilja. Czy można powstrzymać poronienie, jeśli skurcze są takie intensywne? I to gdzieś w lesie, a nie w szpitalu.

- No, no - przemawiał mężczyzna uspokajająco do Siski. - Jestem przy tobie. A to nie jest poronienie.

Głaskał jej ciało.

- To jest donoszona ciąża. Tylko że dziecko jest bardzo małe.

- O, nie - szepnęła Siska i wybuchnęła płaczem. - Czy ty ich widziałeś? Istoty ziemi?

- Owszem, widziałem. Ale twoje dziecko ma wielu krewnych. Zostaw teraz wszystkie problemy mnie!

Zwrócił się do niej, do Lilji. A jakie on ma oczy! Jak... jak...

Nie znajdowała słów.

- Nie powinnaś teraz podejmować żadnego wysiłku, Liljo - powiedział takim łagodnym głosem, że mogłaby się rozplakać ze szczęścia. - Musisz odpoczywać, to twój organizm poradzi sobie z trucizną.

Położył jej dłoń na oczach. Lilja poczuła, że ogarnia ją cudowny spokój, zanurzyła się w dający siłę sen.

Kiedy dziewczyna ponownie się ocknęła, zobaczyła coś dziwnego, widok wstrząsnął nią, to coś świętego, pomyślała. Ów wspaniały mężczyzna, księżę Marco, klęczał z najśliczniejszą malutką dziewczynką, jaką kiedykolwiek widziała, w ramionach. Dziewczynka była taka maleńka, że prawie mieściła się w jego dłoniach. Kiedy Marco spostrzegł, że Lilja nie śpi, unióś dziecko nad nią z czułym uśmiechem.

- Spójrz, Liljo!

- Och! - jęknęła zachwycona.

Widziała parę intensywnie zielonych oczu połyskujących z zaciekawieniem w twarzączce o kształcie serca. Czarne, kręcone włoski, maleńki, śliczny nosek i dość szerokie usteczka, które uśmiechały się w stronę Lilji. Skóra dziecka była jasnoróżowa i bardzo piękna, spod włosków widać było dwoje maleńkich, spiczastych uszu.

- Och - szepnęła znowu przejęta i szczęśliwa.

- Dziecko elfów - uśmiechnął się Marco, otulając maleństwo w swoją koszulę. - Ma karnację Siski, ale poza tym podobna jest do ojca.

- A co z Siską... - zaczęła Lilja, ale urwała przestraszona na widok trupio bladej księżniczki, leżącej na ziemi z zamkniętymi oczyma.

- Ona chyba nie...?

- Nie, nie, nie umarła. Potrzebuje tylko trochę snu.

- Czy ona wie, że...?

- Jeszcze nie. Będzie miała piękną niespodzianka, prawda?

- Już się cieszę na wyraz jej twarzy!

- Ja także. Czujesz się już lepiej?

- O tak - zapewniła Lilja pośpiesznie. - Tylko mnie trochę mdli.

- Znakomicie! Mam nadzieję, że z tamtymi też wszystko będzie dobrze.

- Tak. Bardzo się martwiłam. Ja piłam niewiele, Siska w ogóle nic. Ona mnie ostrzegła, ale myślała, że to tylko alkohol. Chyba nikt nie spodziewał się tego, co zrobili!

- Nie. Zbyt mało wiemy o istotach ziemi. Jestem poważnie zmartwiony, Liljo.

- Ja też.

W lesie było teraz bardzo spokojnie. Lilja nie wiedziała, co się stało w twierdzy, podczas kiedy spała, ale bała się okropnie.

Pomogła Marcowi lepiej otulić dziecko, dała małej swój sweter. Dziewczynka przez cały czas zachowywała się spokojnie, nie wyglądała tak bezradnie, jak to bywa z dziećmi ludzi. Patrzyła na świat jasnymi oczkami i wszystko wskazywało na to, że wkroczyła w życie ze spokojem, może jednak to trzymający ją mężczyzna rozsiewał wokół taki spokój? Lilja skłonna była w to uwierzyć. Sama odczuwała cudowne ciepło, bezpieczeństwo i miłość.

Uczucia, którymi dotychczas Lilji los nie rozpieszczał.

W obecności tego mężczyzny również na nią splotywał wielki spokój, było to zdumiewająco wyraźne, odczuwała to tak, jakby spoczywała w mięciutkiej pościeli.

Jakby w jego ręce złożyła całe swoje życie. Nie miało to nic wspólnego z zakochaniem. Raczej przypominało powrót do domu po długim życiu w strachu i upokorzeniu, znalezienie się pod osłoną absolutnie bezpiecznego dachu. Jakby wkroczyć w ciepło... I sposób, w jaki on trzyma dziecko! Taki czuły, taki ostrożny, przepelniony miłością. Przez moment miała wrażenie, że dostrzega na twarzy księcia cień bólu. Może to... samotność?

Ale on, ten wielki, podziwiany książę, nie może przecież być sam? Może po prostu nie ma dzieci? Czyżby za taką małą istotą tęsknił? A może po prostu lęka się o przyszłość tej dziewczynki? Nie jest to przecież zwyczajne dziecko, w jego żyłach płynie krew różnych ras. Jak to oni mówili? Krew ludzka, krew Lemuryjczyków, elfów i istot ziemi...

A sama Siska, skąd ona pochodzi? Jaskari po drodze tutaj nazwał ją scytyjską księżniczką. Kto to są Scytowie? Nie jest za bardzo podobna do innych mieszkańców Królestwa Światła. Ale kto z tych mieszkańców podobny jest do innych, pomyślała Lilja z uśmiechem. Owszem, mieszkańcy miasta nieprzystosowanych są ulepieni mniej więcej z tej samej gliny. Ale mieszkańcy pozostałych części królestwa nie. Jeszcze raz musiała zerknąć w stronę mężczyzny z maleńką dziewczynką w objęciach. Nie mogła się dość napatrzeć. W jakiś sposób czuła się spokrewniona z dzieckiem.

- Obie właśnie otrzymałyśmy nowe życie - szepnęła. - Ty i ja. A także Silas i moja mama, i...

W tym samym momencie pojawiła się nad nią ciemna chmura. Przypomniała sobie: ojciec Silasa ją ściga. Istot ziemi jakoś na razie nie słycać. Ale tamten zły człowiek znajduje się gdzieś w granicach królestwa i poluje na nią.

Mimo woli przysunęła się bliżej księcia Marca.

19

UWOLNIENIE

Oto podziękowanie za to, że człowiek jest uprzejmy i spełnia toasty, pomyślał Móri zamroczony. On pił najmniej spośród wszystkich trzech mężczyzn. Jaskari i Goram wypili podstępny napój do dna. Móri zostawił trochę na następny toast. Dlatego on obudził się pierwszy.

Czuł się strasznie. Trucizna rozprzestrzeniła się po całym ciele i kompletnie je sparaliżowała. Ale serce biło, płuca pracowały, z mózgiem też chyba wszystko w porządku. Trochę zamroczony, myśli powoli, ale jako tako rozsądnie.

Móri zastanawiał się, co z pozostałymi, nie był jednak w stanie odwrócić głowy, zresztą na nic by się to nie zdało, ponieważ znajdowali się w kompletnych ciemnościach, leżeli też w bardzo niewygodnych pozycjach. Pachniało zbutwiałą ziemią i szczurami, Móri poruszył palcami i dotknął suchej ziemi, nietrudno więc było się domyślić, że wrzucono ich do jednej z tych szczurzych nor, jak Jaskari określił ziemianki gospodarzy.

Towarzysze znajdowali się niedaleko, nie docierał jednak do niego żaden odgłos. To martwiło go w najwyższym stopniu. Nie słyszał oddechów, najmniejszego ruchu, w ogóle nic.

Ale w miarę jak siły życiowe powracały wolno do jego ciała, uświadomił sobie coś jeszcze. Coś, co zaniepokoiło go równie mocno. Móri bowiem, czarnoksiężnik, był

bardzo wrażliwy i odbierał najłżejsze nawet wrażenia. To, co docierało do niego teraz, było przerażające.

Z drugiej jednak strony miał ważniejsze problemy do przemyślenia. Jak się stąd wyrwać? Nie został związany, wyglądało na to, że po prostu wrzucono go do lochu. Odnosił wrażenie, że otaczają go wysokie ściany, a w górze znajduje się darniowy sufit. Rzecz jasna, niczego nie mógł być pewien, tak mu się po prostu zdawało.

Naturalnie martwił się o los dziewcząt. Wiedział, że raczej nie mogły uciec daleko, zanim istoty ziemi rozpoczęły pościg za nimi. Nienawidzą Siski, poznawał to po ich oczach, kiedy siedzieli razem przy stole.

Teraz jednak musiał się skoncentrować nad próbą wydostania się z lochu, trzeba będzie zabrać obu nieprzytomnych przyjaciół. Jeden z nich jest przecież wnukiem czarnoksiężnika! Co on zrobił?

Większość Strażników starała się zatrzymać istoty ziemi w lesie. Tymczasem Ram, Kiro i Dolg weszli do ich osady.

Tam nie zostało wielu mieszkańców, pościg za obcymi był zbyt podniecający, by siedzieć w domu! Przybyli spotkali więc tylko kilka kobiet i wodza, który był chyba zbyt otyły, by biegać po lesie.

- Co za dzień, goście płyną strumieniem - syknął, witając kolejnych gości przed swoją siedzibą.

- Szukamy trzech mężczyzn, którzy mieli tutaj dzisiaj być - rzekł Ram krótko. - Przybyli w pokojowych zamiarach, a wy odpląciliście się im bardzo źle.

- Jacy trzech mężczyźni? - wódz robił zdziwioną minę. - Od lat nie było tutaj żadnych mężczyzn.

- A dopiero co mówiłeś, że dzisiaj goście napływają strumieniem.

- Nno, chodziło mi o paru sąsiadów...

Wszyscy wiedzieli, że istoty ziemi nie mają żadnych sąsiadów. Całe plemię żyło w jednej osadzie. Ram widział, że wódz zdaje sobie sprawę z tego, że oni doskonale się orientują. Mimo to odgrywał komedię.

Po dłuższej wymianie zdań Ram i jego przyjaciele musieli dać za wygraną. W ten sposób niczego nie osiągną, nie mieli zaś ochoty szukać po omacku w tych ziemiankach, do których trudno się wcisnąć.

Dostali wiadomość od Marca, że dziewczęta mają się dobrze i że Marco zabiera je oraz nowo narodzone dziecko do szpitala. Dziecko jest absolutnie wyjątkowe - dodał z uśmiechem.

Więc na tym froncie zapanował spokój. Ale co z mężczyznami?

Dolg szepnął coś do Rama. Po czym wycofali się, co niezmiernie uradowało wodza.

Kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości od zabudowań, Ram zapytał:

- O co chodzi, Dolg?

- Kiedy rozmawiałeś z wodzem, ja próbowałem nawiązać kontakt z moim ojcem. Wiesz, że możemy to robić, od czasu do czasu posługujemy się tą naszą umiejętnością. Tym razem mi się udało. Ojciec znajduje się w pobliżu.

- Cudownie, Dolg! Dowiedziałeś się czegoś dokładniejszego?

- Niewiele. Wyczułem tylko jego radość, że dotarliśmy na miejsce, odniosłem wrażenie, jakby znajdował się w jakiejś norze...

- No, to mnie nie zaskakuje - mruknął Kiro. - Coś jeszcze?

- Tak, tam jest coś dziwnego, ale co to jest... nie udało mi się stwierdzić. Nie zawsze docierają do nas szczegóły.

- Rozumiemy - powiedział Kiro. - Mimo wszystko to i tak imponujące, Dolg drapał się po karku.

- Mój ojciec już parę razy znajdował się pod ziemią. Ja, a właściwie mówiąc to szafir, przywrócił go pewnego razu do życia, był bowiem bliski śmierci. Innym razem uratował go Marco. To trzecia próba ojca.

Uśmiechnęli się wszyscy, po czym zaczęli się zastanawiać nad możliwościami ratunku.

- Nie możemy tak po prostu szukać - powiedział Ram. - To zajmie nam zbyt wiele czasu, cała osada zacznie nam stawiać opór. Dolg, jak sądzisz, co powinniśmy zrobić?

Syn czarnoksiężnika rozmyślał.

- Chyba mam pomysł. Duchy ojca. Ale on sam musiałby je wezwać.

- No to spróbuj nawiązać z nim kontakt i jakoś przekaż mu to, czego chcesz!

Dolg zaczął się koncentrować, trwało to dłuższą chwilę.

- Chyba mam kontakt - mruknął w końcu. - Tak, ojciec zrozumiał. Wezwie kilka z nich.

- Chyba niemożliwe, żeby udało mu się wezwać tylko kilka - uśmiechnął się Ram złośliwie. - Przyjdzie jeden, to przyjdą wszystkie.

- Tak, z pewnością tak będzie - potakiwał Dolg ze śmiechem.

Minęło zaledwie parę chwil i stanęła przed nimi cała gromada duchów. Nie było tych pochodzących z Ludzi Lodu, one nie zostały wezwane. Wystarczą towarzysze Móriego.

- Bądźcie pozdrowieni - rzekł Nauczyciel uprzejmie. - Dziękujemy za wezwanie.

Naprawdę zbyt rzadko możemy komuś pomagać.

- Świetnie, że jesteście - powitał przybyłych Ram. - Wiecie, o co chodzi?

- Tak, nasz dobry pan i mistrz znowu zakopał się pod ziemią. Ale nie lękajcie się! To robactwo nas nie widzi. Widzą tylko was.

- Znakomicie!

- Zaczyna Nidhogg, bo on najlepiej zna wnętrze ziemi. Kiedy zlokalizuje miejsce pobytu naszych przyjaciół, my ruszymy do akcji.

- A może moglibyśmy pomóc?

- Wątpię, czy znajdziecie wejście.

- Masz rację, mądry mężu. Pójdziemy za wami.

Nidhogg zniknął im z oczu.

Najlepsi pomocnicy Móriego... niech będą błogostawieni!

Móriego dręczył niepokój. Nie słyszał ani Jaskariego, ani Gorama. Sam był tak sparaliżowany, że nie mógł ruszyć ręką, by sprawdzić, czy oddychają, mógł jedynie leżeć spokojnie i czekać.

Rozsądny Dolg pomyślał o duchach. One z pewnością tylko marzą o tym, by mieć coś ważnego do roboty, sprawiały wrażenie głęboko urażonych, że nie włączono ich do

ekspedycji w Góry Czarne. Móri też był urażony, ale on po powrocie ekspedycji uzyskał pełną satysfakcję, kiedy wszyscy opowiadali, jak bardzo im go brakowało.

Że też sam nie wpadł na ten pomysł z duchami! Ale chyba był za bardzo oszołomiony, nie myślał wystarczająco trzeźwo.

Pojawił się Nidhogg. Móri rozpoznał dotyk jego niebywale długich palców.

Znajomy głos mówił:

- Aha, więc tutaj jesteś? Niełatwo było cię znaleźć.

- Tak, a co to jest to „tutaj”?

- To jama w ziemi na skraju lasu. Szukałem we wszystkich domostwach tych insektów, zanim domyśliłem się, że musi istnieć więcej kryjówek. Potem już odnalazłem was bez trudu.

- Nidhogg... zbadaj tamtych! Nie słyszę ich oddechów.

Przez chwilę panowała cisza.

- Żyją.

- Och, dziękuję! Dziękuję, serdecznie dziękuję! Ale żaden z nas, nie może ich dotknąć.

Jak się stąd wydostaniemy?

- Wszystko się zorganizuje.

Móri był bardzo poważny.

- Nidhogg, mój przyjacielu. Czy ty wyczuwasz to samo co ja?

Duch milczał. Po chwili rzekł:

- Tak. Chyba wiem, co chcesz powiedzieć.

- Czy możemy coś zrobić?

- Powinniśmy spróbować.

Kiedy Nidhogg wyszedł znowu na powierzchnię ziemi, Ram otrzymał już wiadomość, że Strażnicy uwięzili żadne krwi istoty ziemi w lesie. Czy należy przetransportować je do osady?

- Nie, niech zostaną w lesie, dopóki nie uratujemy naszych zaginionych!

Nidhogg zapytał Rama:

- Czy możecie trzymać to robactwo w szachu, dopóki dokładnie nie zbadamy lochu?

Ram wahał się, ale Dolg powiedział szybko:

- Ja sobie z tym poradzę.

Dolg nie był czarnoksiężnikiem, tak jak Móri. Nie potrafił osaczyć nikogo zaklęciami. Ale przecież nauczył się różnych pożytecznych sztuczek. Mieszkańcy osady z wodzem na czele stali na skraju lasu i zastanawiali się jak długo ci trzej, Ram, Kiro i Dolg, będą sterczeć na łące i rozmawiać. Duchy były niewidoczne.

Dolg zaczął nucić jakieś usypiające zaklęcia. Fakt, że zaklęcia są islandzkie, nie miał żadnego znaczenia dla rezultatów. Istoty ziemi były teraz niczym słupy soli, widziały, co się dzieje, ale nie mogły nic zrobić, nie bardzo zresztą wierzyły w to, co widzą.

Kamień przykrywający otwór kominowy lochu na skraju lasu, w którym przetrzymywali więźniów, został uniesiony w górę przez jakieś niewidzialne ręce - w rzeczywistości tak się właśnie stało - i z głuchym łoskotem upadł na ziemię. Wejście zostało otwarte. Minęła jeszcze chwila i ich więźniowie jęli wychodzić na zewnątrz, jakby unosili się w powietrzu w jakimś niewidzialnym pojeździe. Najpierw wyłonił się jeden, potem w taki sam sposób

opuścił loch drugi, w końcu trzeci. Wódz był bezradny, z trudem zbierał myśli. Jak mógłby pomyśleć, że więźniowie są unoszeni przez duchy?

Okazało się, że na tym nie koniec! Otwór w dachu wciąż był otwarty. Dwoje niewidzialnych ramion wyniosło z lochu dwie bardzo wychudzone istoty.

Nie, nie, krążyło w głowie wodza, ale na tym kończył się jego protest. Jak we śnie. Nie mógł się ruszyć. Innymi słowy, mógł teraz spróbować własnego lekarstwa.

- Na Święte Słońce... - jęknął Ram. - Co to jest?

Nidhogg przystanął, by mu wytłumaczyć.

- Móri i ja wyczuwaliśmy, że tam na dole są nie tylko oni. W zakamarkach lochu znaleźliśmy tych oto. Więźniów, którzy musieli tam spędzić wiele lat, spójrz, jacy są wychudzeni.

- Owszem, widzę. Rzecz jasna zabieramy ich ze sobą.

- Wiedziałem, że tak postąpicie - rzekł Nidhogg ciepło.

Kiedy wszyscy znaleźli się w gondoli, Ram dał znać Strażnikom, by uwolnili istoty ziemi, a sami wyruszyli w drogę powrotną do domu. Wszyscy zostali uratowani, ewentualna zemsta wodza i jego bandy spadnie na kogo innego.

Gondola wznosiła się coraz wyżej i Dolg cofnął magiczne zaklęcie.

Móri, Jaskari i Goram leżeli bez ruchu na podłodze gondoli.

- Wiemy od Marca, że obaj nieprzytomni wkrótce się obudzą. Móri już wychodzi z odrętwienia, mięśnie odzyskują zdolność ruchu. Kim jednak są te dwie nieszczęsne istoty, które musiały tak strasznie cierpieć?

Przyglądali się obcym, spoczywającym w tylnej części gondoli. Duchy były z nimi, ale one nic nie ważyły i raczej nie zajmowały wiele miejsca.

- To mężczyzna i kobieta - stwierdził Ram.

- Moim zdaniem ten mężczyzna jest Lemuryjczykiem - rzekł Kiro ze zdziwieniem. - Ale przecież nikogo z nas nie brak?

- Kobieta natomiast wygląda, jakby pochodziła z rodu elfów - oznajmił Dolg. - Trudno mi jednak powiedzieć, z jakimi elfami jest spokrewniona. Nigdy nie widziałem nikogo podobnego.

- Czy wy nas słyszycie? - zapytał Kiro. - Wyglądacie na kompletnie wyczerpanych.

- Sss... sły... słyszemy - wyszeptał mężczyzna z największym trudem. - Ale... my... nie mamy... sił... roz... roz... rozmawiać.

W oczach Kiro pojawił się dziwny błysk.

- To chyba nie mogą być... wódz mówił „unicestwiliśmy”, pamiętacie? Ale przecież nie można unicestwić elfa.

- Lemuryjczyka też nie - powiedział Ram, domyślając się, o co tamtemu chodzi.

- Ale to nie może być prawda! Nie po tylu latach!

- O, Święte Słońce - szepnął Dolg. - Nie, nie zniosę tego! Czy nikt nie może zrobić porządku z tymi nieludzkimi istotami ziemi?

Nikt nie miał zastrzeżeń do jego pomysłu. Wszyscy spoglądali zgnębieni na dwie bezradne, tak strasznie zmaltretowane istoty leżące na podłodze. Wszyscy rozumieli już, kim one są, i serca ich krwawiły ze współczucia.

Odnaleziono oto rodziców Tsi-Tsunggi.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - rzekł Móri cicho.

20

Lilja uznała, że w ciągu ostatnich dni przeżyła więcej niż przez całe dotychczasowe życie. A już zwłaszcza tego ostatniego dnia.

Miała tyle wrażeń, że nie była w stanie ich od siebie oddzielić. Niektóre jednak rysowały się wyraźniej od pozostałych. Jak to, kiedy szli w stronę gondoli w cichym lesie, w którym nie drgnął ani jeden liść, nie trzasnęła ani jedna złamana gałązka. Widok niezwykłego Marca unoszącego Siskę na rękach z taką łatwością, jakby nic nie ważyła, podczas gdy Lilja niosła maleńką, nowo narodzoną dziewczynkę.

Zielona bujna trawa wokół, cisza, wysokie drzewa...

Było w tym coś z religijnej ceremonii. To uczucie podniosłości, które ją wtedy ogarnęło, nigdy tego nie zapomnę, myślała. To wielki przywilej, że mogła coś takiego przeżywać, poznać księcia Czarnych Sal, księżniczkę z głębokich lasów, nieść w ramionach to maleńkie dzieciątko o mieniących się zielonych oczach, przepelnione wolą życia.

Pozwolono jej trzymać maleństwo podczas całej podróży gondolą. Przytulała je, jakby było... tak z uśmiechem pomyślała: jakby to było jej nowo narodzone dziecko.

Dziewczynka, radosny mały leśny troll, zasnęła w jej ramionach, co Lilja uznała za wyraz wielkiego zaufania.

Otrzymali wiadomość, że Goram i jego przyjaciele zostali uratowani, tylko że dwaj są jeszcze nieprzytomni. Lilja nie miała odwagi zapytać, czy jednym z nich jest Goram.

Powiedziano im też, że zostali odnalezieni rodzice Tsi. Marco był bardzo podniecony tą wiadomością, chociaż Lilja nie pojmowała jej znaczenia.

Jest jeszcze wiele rzeczy, których ona nie wie o tych ludziach, o grupie, do której dopiero się zbliżyła i którą bardzo by chciała poznać. Ale niestety, jest kimś z zewnątrz, dziewczyną z miasta nieprzystosowanych, w którym nigdy nie czuła się u siebie w domu. Teraz jeszcze boleśniej zatęskniła, by należeć do innych części królestwa. Zauważyła, że w grupie, do której należą Siska i Goram, Marco i Jaskari oraz Móri, panuje serdeczna więź i wspólnota. Żeby tak ona mogła być z tymi ludźmi! Ale oczywiście to zbyt wygórowane żądanie.

Zastanawiała się, co się też teraz dzieje z nieszczęsnym Silasem. Czy w nowym otoczeniu jest równie samotny jak w dawnym?

Lilja otrząsnęła się z zamyślenia, bo gondola podchodziła do lądowania.

Przed szpitalem czekał ją kolejny szok. Powitał ich tam młody mężczyzna, ożywiony, niespokojny i tak niezwykle urodziwy, że Lilja straciła mowę. To jest Tsi, wyjaśnił Marco. Z pewnością nie jest to człowiek, ale teraz Lilja lepiej rozumiała Siskę. Znacznie lepiej! Cóż to za mężczyzna! Tak niebywale pociągający, wysoki i przystojny, i taki podobny do tej maleńkiej dziewczynki, że Lilja musiała się uśmiechnąć.

Tsi-Tsungga był naturalnie bardzo zmartwiony Siską, która leżała spokojnie w gondoli, ale Marco zapewnił go, że wszystko jest w porządku. Nie, Siska nie umarła, zapadła tylko w głęboki sen, żeby trochę odpocząć. Nie, Siska nie widziała jeszcze swojej małej córeczki. Wtedy Lilja, na polecenie Marca, podała dziewczynkę świeżo upieczonemu ojcu i to także był taki wzniosły moment, którego nigdy nie miała zapomnieć. Zwłaszcza wyrazu jego twarzy. Jakby wschodziło promienne słońce, pomyślała. Podejrzewała, że

wszystkie reakcje tego niezwykłego Tsi-Tsunggi są równie gwałtowne, niezależnie od tego, czego dotyczą, nigdy jednak nie ma w nich ani odrobiny zła. Zdażyła go już bardzo polubić i uważała, że Siska dokonała znakomitego wyboru.

Kiedy tak stali, przyleciała wielka gondola z mnóstwem mężczyzn na pokładzie. Lilja nie знаła ani Rama, ani Kiro, ani dziwnego Dolga, którego jej właśnie przedstawiono.

Domyślała się tylko, że wszyscy należą do owej uprzywilejowanej grupy, o której ona od pewnego czasu nie przestawała marzyć. Znała natomiast Móriego. Ze szpitala wyszli sanitariusze i zabrali Gorama oraz Jaskariego na noszach. Goram otworzył na moment oczy i uśmiechnął się do niej. Ten uśmiech poruszył serce Lilji.

Kiedy pozostali skierowali się w stronę szpitala, dziewczyna pozostała na miejscu, ale Marco natychmiast ją zawołał, więc poszła za całą grupą, wdzięczna za każdą chwilę, za to, że nie musi się jeszcze z nimi rozstać.

- Teraz, kiedy Goram jest chory, ja za ciebie odpowiadam - uśmiechnął się Marco. - Chodź z nami, poznasz dziewczęta! Szpitalne towarzyszki Siski. Ona też musi tu zostać jeszcze parę dni, dopóki całkiem nie wydobrzeje.

- Ona uratowała mi życie - powiedziała Lilja w zamyśleniu. - Wcale jej nie pomogłam w tych trudnych chwilach, wprost przeciwnie, musiała mnie ciągnąć przez las.

- Sama twoja obecność miała dla niej ogromne znaczenie - powiedział Marco, kładąc ciepłą dłoń na szyi Lilji, która zadrżała z przyjemności. - Siska mi o tym powiedziała, kiedy spałaś. Samo to, że jest ktoś przy niej w tych trudnych chwilach, wystarczyło.

Lilja nie powiedziała już nic więcej, szła po prostu, rozkoszując się jego cudownymi słowami.

Weszli do szpitalnej sali.

Czy wy musicie mnie wciąż szokować? chciała wykrzyknąć. A cóż to znowu za istota? To Misa, kobieta z rodu Madragów, tak zdumiała Lilję. Poczciwa, dobra Misa, ze swoją grzywą niczym u jaka i wyglądem, który można by określić jako coś pośredniego między człowiekiem a zwierzęciem.

W czasach bowiem, kiedy mały i ludzie zaczęli chodzić wyprostowani, miliony lat temu, również ród pewnego gatunku turów, czyli Madragowie, przeszedł taką samą przemianę. Również Madragowie zaczęli chodzić na dwóch nogach, kształtować zdolne do pracy ręce i palce, a ich inteligencja rozwijała się niezwykle szybko. Wkrótce nauczyły się wytwarzać różne przedmioty swoimi chwytnymi rękami. Zdolności techniczne Madragów przewyższyły uzdolnienia ludzi. A ich poczciwe charaktery sprawiły, że wszyscy w Królestwie Światła pokochali ich szczerze. To rodzina czarnoksiężnika oraz duchy Ludzi Lodu wspólnie uratowały czworo Madragów z twierdzy Sigiliona i zabrały do Królestwa Światła. W świecie zewnętrznym bowiem ludzie z pewnością potraktowaliby ich źle. W najlepszym razie pokazywano by ich na jarmarkach jako cud natury. Tutaj mogą żyć w pokoju, znaleźli swoje miejsce w grupie skupionej wokół Marca i Móriego.

Lilja nie miała o tych wszystkich sprawach najmniejszego pojęcia. Była jedynie przerażona dziwnymi istotami, z którymi wciąż spotykają się Siska i Goram.

Chore miały właśnie wizytę. Młoda, swobodnie rozmawiająca kobieta imieniem Indra przyszła odwiedzić swoją siostrę Mirandę, trzecią pacjentkę. W pokoju, w którym zrobiło

się dość tłoczno, przywódca Strażników, Ram, również Lemuryjczyk, obejmował ramiona Indry, a ich oczy mówiły o szczerzej wzajemnej miłości.

Więc ona odważyła się związać z Lemuryjczykiem. W takim razie Lilja też mogłaby się na to zdobyć.

Jeśli oczywiście Goram ją zechce. Bo na razie niewiele na to wskazuje. Lilja jest taką pospolitą dziewczyną.

Wkroczył Tsi z córeczką w objęciach. Był dumny niczym paw, w jego oczach jarzyła się ojcowska miłość.

Marco obudził Siskę, żeby mogła przed innymi zobaczyć dziecko. Lilja stała niema z przejęcia i obserwowała scenę.

- Spójrz, księżniczko - powiedział Tsi głosem ochryłym ze wzruszenia. - Czyż ona nie jest piękna?

Siska rozpromieniła się. To wszystko było takie przejmujące, że nie tylko Lilja musiała ukradkiem ocierać oczy. Potem wszyscy inni mogli oglądać ów maleńki cud. Wielu wykrzykiwało ze wzruszeniem „och” i „ach”, „jaka przytomna i świadoma! „ i „gratulujemy, gratulujemy obojgu! „

Nikt nie robił żadnych złośliwych komentarzy, jakby to z pewnością czyniono w Małym Madrycie. Zresztą tam Siska zostałaby wyklęta i przegoniona kijami.

Za nic nie chcę już tam wracać, pomyślała Lilja nieoczekiwanie stanowczo. Tutaj czuje się jak w domu. Wśród tych światłych, otwartych osób.

- Lilja, Goram chciałby z tobą porozmawiać - powiedział Marco. - Już się obudził.

Dziewczyna drgnęła.

- Ach, tak, dobrze - zawołała chyba zbyt pośpiesznie.

Poszła za Markiem, z przejęcia niemal deptała mu po piętach.

I Goram, i Jaskari mogli już siedzieć w fotelach w pokoju, do którego Marco wprowadził teraz Lilję. Spostrzegła jednak, że jeszcze nie do końca wydobyli się z odrętwienia, obaj masowali swoje mięśnie, widać było, że bardzo cierpią. Móri też był z nimi, on jednak mógł już chodzić i wyglądał prawie normalnie.

- Liljo - rzekł Goram i uśmiechnął się do niej z wysiłkiem. Mięśnie twarzy nadal były lekko sparaliżowane. - Wciąż jeszcze nie odnaleziono twojego wuja. Ja, jak widzisz, jestem niedysponowany, ale nie mam ochoty przekazywać odpowiedzialności za ciebie komu innemu. Czy mogłabyś więc poczekać tutaj, w szpitalu, na oddziale kobiecym, zanim nie będę w stanie się tobą zaopiekować?

Czy by mogła? Niczego innego nie pragnęła.

- Oczywiście, że mogę poczekać - odparła z nadzieją, że jej słowa brzmią wystarczająco obojętnie.

- No właśnie, bo nie możesz jeszcze pojechać do waszego nowego domu. Jest on co prawda bardzo pilnie strzeżony, ale przecież pierwsze miejsce, w którym będzie cię szukał ojczym Silasa, to właśnie dom. Przy okazji naraziłabyś rodzinę na niebezpieczeństwo.

- Rozumiem. Chętnie zaczekam tutaj.

- No to świetnie! Polecę, żeby przed drzwiami waszego pokoju postawiono wartownika.

Lilja wyszła uszczęśliwiona.

Kiedy wróciła na oddział ginekologiczny, panowało tam wielkie poruszenie. To ów wspaniały Tsi był niebywale zdenerwowany.

Weszła w momencie, kiedy Ram mówił:

- Więc rozumiesz, Tsi, że w ciągu jednego jedyne go dnia odzyskałeś całą rodzinę.

- Ale ja bym tak bardzo chciał ich zobaczyć - mówił jękając się leśny elf. - To moja matka i mój ojciec, nawet kiedy byłem mały, nie widywałem ich.

- Daj im czas, Tsi - prosił Ram. - Byłbyś po prostu zrozpaczony, gdybyś ich zobaczył tak, jak teraz wyglądają, a oni może nie byłiby w stanie tego znieść, coś to za wstrząs spotkać swoje jedyne dziecko po tylu latach! Wszyscy tutaj w szpitalu życzą im jak najlepiej, a sam przecież widziałeś tych dwunastu mężczyzn, którzy wrócili z Gór Czarnych. Wiesz, o ile lepiej teraz wyglądają. Tak też będzie z twoimi rodzicami. Daj im tylko kilka dni.

- Dobrze - mruknął Tsi. - Zobaczą nie tylko syna, ale także wnuczkę. Przekonają się, jaka jest śliczna. I Siskę, muszą też zobaczyć Siskę, prawdziwą księżniczkę. Z pewnością się ucieszą.

- Ucieszą się na pewno - rzekł Ram z powagą. - Ale myślę, że teraz nasze pacjentki potrzebują wypoczynku. Wstawimy tylko łóżko dla Lilji i wyznaczmy strażnika, który będzie ich pilnował. No więc, Tsi, musisz oddać swoją córeczkę!

Bardzo ostrożnie podał dziecko niecierpliwie czekającej matce.

- Musimy znaleźć dla niej jakieś piękne imię - powiedział do Siski. - Na pewno znajdziemy. Na razie jednak będę ją nazywał Gwiazdeczką, pozwolisz mi?

- To znakomicie do niej pasuje - uśmiechnęła się Siska, uradowana, że w końcu może potrzymać dziecko w ramionach. - Później zostanie ochrzczona pod promieniami Świętego Słońca, bardzo bym chciała, żeby rodzicami chrzestnymi byli Marco i Lilja. Bo bez nich może by nas teraz tutaj nie było.

- To wspaniała propozycja, księżniczko - uśmiechał się Tsi. - Zechcesz być ojcem chrzestnym tej małej, Marcu?

- To dla mnie wielki zaszczyt, Tsi, dziękuję, Sisko.

- A ty, Liljo?

Była tak wzruszona, że nie mogła wykrztusić ani słowa. Dopiero po chwili powiedziała:

- Dziękuję, bardzo, bardzo chętnie!

- Gwiazdeczka - powtórzyła Indra. - Och, znam niezwykle smutny wiersz pod tytułem „Gwiazdeczka”.

- Ty znasz tyle wierszy, Indro - uśmiechnęła się Siska. - Powiedz nam ten o Gwiazdeczce!

- Dobrze, ale on chyba nie pasuje do tej małej dziewczynki, to naprawdę nostalgiczny wiersz. Ale przecież my wszyscy...

- Recytuj! - polecił Marco.

- Nie, raczej zaśpiewaj - powiedziała Miranda. - Masz taki ładny głos.

- Naprawdę? I to mówi moja własna siostra! No, to chyba muszę uwierzyć.

Siska uniosła dziecko w górę.

- Zaśpiewaj jej to jako kołysankę!

Indra wzięła dziewczynkę w ramiona i zaczęła śpiewać:

Gwiazdeczko, tak byłaś mi bliska
w czasach już dawno minionych.
Dni jednak płyną i znika
ma młodość na szlakach zbłąkanych.
Ogień, co go świat rozpałił,
zbyt łatwo się w popiół przemieni.
Gwiazdeczko, tak wiele się stało,
gdy brak mi twoich promieni.

Nie pewne są drogi wędrowca,
mrok wymarłe szlaki kryje.
Gwiazdeczko, czy już cię nie spotkam?
Me serce wciąż jest niczyje.
Weź mnie za rękę i prowadź
do twego królestwa jasnego.
Gwiazdeczko, ty spokój mi oddaj
i blasku użyż mi swego.

Panowała kompletna cisza. Czasem tylko ktoś chrząknął, niektórzy ocierali oczy.
- No to mamy Gwiazdkę w Królestwie Światła - roześmiała się Indra i oddała matce
bardzo spokojne, ale chyba zachwycone dziecko. Najwyraźniej Gwiazdeczka wysoko
ceniła jej śpiew, co wprawiło Indrę w ogromne zdziwienie.

„Twoje jasne królestwo! „ Nie pomyślałam o tym!

Marco wstał. Twarz miał tak rozpromienioną, jak to się już od bardzo dawna nie zdarzało.

- Dzisiaj potwierdziło mi się pewne radosne przypuszczenie. Otóż nie utraciłem całej
swojej siły, jak się obawiałem. Potrafię jeszcze zdziałać to i owo.

- Nigdy w to nie wątpiłam! - zawołała Siska. - Jesteś naszym wielkim idolem, nie
wiedziałaś o tym?

Potężny książę Czarnych Sal przyjmował te słowa bardzo skrepowany.

Wszyscy rozmawiali wesoło i żartowali, a Dolg zapytał cicho przyjaciela:

- No właśnie, a co utraciłeś z powodu tego, że napiłeś się jasnej wody, Marco?

Książę stał zamyślony.

- Nie wiem, Dolg. Naprawdę nie wiem. Ale coś jest inaczej. Nie mogę tylko określić, co to
takiego.

Obaj zaczęli przysłuchiwać się ogólnej rozmowie.

- A ja myślałam, że to ja urodzę pierwsza - śmiała się Miranda. - Oszukałaś mnie, Sisko,
podstępem zamieniłaś miejsca w kolejce.

- Tak to bywa, kiedy człowiek zadaje się z tajemniczymi siłami natury - powiedziała Indra,
a wszyscy roześmiali się głośno.

- No właśnie, bo dowadywałem się trochę na temat kobiet elfów - wtrącił Dolg. - Ich
okres oczekiwania jest jeszcze krótszy niż u kobiet istot ziemi.

- Oszustwo - stwierdziła Miranda, a Misa się z nią zgadzała.

Lilja wyczuwała ciepło i radość, wspólnotę i wzajemną troskę o siebie tych dziwnych indywiduów tak różnego rodzaju. Domyślała się, że do tej grupy należy jeszcze wielu innych, których dotychczas nie spotkała. Do grupy, którą w Królestwie Światła wszyscy cenią bardzo wysoko. Jej członkowie są trochę szaleni, niepoprawni, ale też niewiarygodnie uzdolnieni i obdarzeni wspaniałymi charakterami.

Jeszcze raz odmówiła swoją cichą modlitwę o to, by nic nie znaczącej Lilji dane było wejść do tej grupy.

Chciałaby też wprowadzić do niej samotnego Silasa.

Żeby i on mógł się ogrzać w ich ciepłe.

21

SILAS I SMOK

Młodsze rodzeństwo Silasa biegało po nowym domu i po ogrodzie, w którym pozwalano im przebywać. Silas jednak siedział spokojnie w swoim nie do końca umeblowanym pokoju i nie był w stanie nic zrobić.

Weszła matka.

- Co z tobą, Silas? Dostaliśmy oto fantastyczny dom, masz własny pokój i mnóstwo miejsca do zabawy.

Nikt cię też nie prześladowa za wszystko, co się komuś nie udało. Ani młodsze rodzeństwo ci nie dokucza, ani ojczym nie karze za byle co, co tylko można zrzucić na małego, udręczonego chłopca. Tego jednak głośno nie powiedziała. Rozglądała się zadowolona po swoim nowym domu.

- Nigdy się stąd nie wyprowadzimy!

Silas mruknął coś niezrozumiale pod nosem.

- Co mówisz? Wystawiaj się jak należy, chłopcze!

- Wciąż nie mogę przestać myśleć o moim przyjacielu. Jest taki samotny!

- Znowu zmyślasz te swoje opowieści o smoku. Powiedziałam ci, że nie ma żadnych smoków. Nie było ich w Małym Madrycie, to nie ma też w żadnym innym miejscu, koniec, kropka!

- Ale on jest taki sympatyczny.

- Smok! Sympatyczny? - zapytała matka z przekąsem. - Jak ty właściwie rozumiesz bajki? Nie, teraz to już naprawdę dość!

Zadzwoiła pod numer, który zostawił jej Goram. Strażnik odpowiedział natychmiast.

Matka była bardzo zdenerwowana.

- Dlaczego wmawiacie mojemu synowi, że istnieją jakieś żyjące smoki? Siedzi tu i popłakuje, że jego smok jest taki sympatyczny i taki samotny, nie mogę w żaden sposób przemówić mu do rozsądku. A poza tym czy wiecie już coś o moim mężu?

- Jeszcze nie został odnaleziony.

To znakomicie, chciała powiedzieć, ale na szczęście w porę się opamiętała. Zresztą sytuacja wcale nie była znakomita. Wprost przeciwnie, była niebezpieczna, wszystko to działało jej na nerwy!

Goram mówił dalej:

- A jeśli chodzi o smoka, to przyślę do was jednego z moich przyjaciół, Strażnika imieniem Kiro. On potrafi porozmawiać z twoim synem na temat smoka.

- Przysyłajcie sobie, kogo chcecie, byleby tylko wybił te głupstwa z głowy mojemu Silasowi. Biedny chłopiec, jak można wmawiać mu takie głupoty!

Goram udawał, że tego nie słyszy.

- I pozdrów swoją szwagierkę, powiedz, że Lilja ma się dobrze, jest pilnie strzeżona. Nie wróci, dopóki nie schwytemy twojego męża. Gdyby była w domu, mogłoby się to dla niej źle skończyć.

Matka Silasa też tak myślała, ale nie chciała wypowiadać głośno swoich obaw.

Właściwie była to sympatyczna i dość łatwowierna kobieta, ale aresztowanie męża, a później jego ucieczka, bardzo zszarpały jej nerwy. W tej sytuacji nieustanne zamartwianie się Silasa o jakiegoś fantastycznego smoka denerwowało ją ponad wszelką miarę.

- Nie siedź tu nieustannie - burknęła zirytowana do syna. - Wyjdź do ogrodu, wolno ci to zrobić.

- Dlaczego zostaliśmy tutaj uwięzieni?

- Dlatego, że twoja głupia kuzynka Lilja, wypaplała...

W porę się powstrzymała.

- Nie jesteśmy więźniami, Silas. Strażnicy są tutaj po to, żeby nas ochraniać.

Potem bardzo szybko, żeby nie zdążył zapytać „przed kim? „, wypchnęła go do ogrodu.

Oczywiście na dworze było bardzo pięknie. Silas jednak nie dostrzegał ani mieniących się kolorami grządek z kwiatami ani złotokapu, zwisającego kaskadami nad ogrodzeniem. Myślał nieustannie o swoim nieszczęśliwym przyjacielu smoku. Oni dwaj, tacy samotni, odnaleźli się nawzajem a teraz nie mogą ze sobą być!

Po drugiej stronie białego płotu zauważył jakiś ruch. Silas drgnął i zaczął przyglądać się uważniej.

Stało tam dwóch chłopców i dziewczynka. Jeden z chłopców mógł być w jego wieku, drugi trochę starszy.

- Cześć - przywitali się wszyscy troje.

Uszy Silasa zrobiły się czerwone, wiedział bowiem, że wszyscy wysmiewają się najpierw z jego uszu.

Zaraz znowu się zacnie, pomyślał zgnębiony, z bijącym sercem. Najpierw zamierzał uciec, ale przecież prędzej czy później i tak musi do tego dojść. Nie będzie uciekał, w tym nowym miejscu już nie.

- Cześć - odparł niepewnie.

- Chodź porozmawiać z nami - powiedział większy z chłopców.

Silas czuł wszystkie piegi na twarzy, swoje wielkie uszy i wychudłe ciało. Wiedział bardzo dobrze, że nie jest urodziwy, słyszał to setki razy. Że jest niezdarny i beznadziejny, i...

- Jesteś tutaj nowy, jak masz na imię? - zapytała dziewczynka.

- Silas.

Nie przyszło mu nawet do głowy, że i on mógłby zapytać o ich imiona. Był absolutnie skupiony na własnej osobie, na fatalnym wrażeniu, jakie musiał robić, nie było w jego głowie miejsca na inne myśli.

Oni jednak przedstawili się sami. Młodszy chłopczyk był Murzynem. Silas nigdy przedtem nie widział Murzyna, ale jego ojczym z nienawiścią wypowiadał się, że w Królestwie

Światła mieszkają nawet czarni, chociaż Bogu dzięki do Małego Madrytu jeszcze ich nie wprowadzają.

Dzieci wyciągały do niego ręce na powitanie, więc podszedł do nich z wahaniem. Nikt nie powiedział ani słowa na temat jego uszu, goście zapytali tylko, czy może wyjść, żeby się z nimi pobawić.

Wtedy pojawił się jeden ze Strażników. Silas wyjaśnił dzieciom, że nie może wychodzić na ulicę.

- W takim razie my przyjdziemy do ciebie - oznajmiły.

Patrzył przestraszony na wartownika. Ten jednak skinął głową i dzieci pobiegły do bramy, którą Silas otworzył z sercem w gardle ze strachu.

Był wdzięczny, że ma aparaciki mowy, dzięki czemu on, niedosłyszający, mógł słyszeć, co do niego mówią, i rozumieć ich język.

Powoli Silas uspokajał się, serce znowu znalazło się na właściwym miejscu. Dzieci pytały o tyle spraw, były w naturalny sposób zainteresowane tak, że Silas rozluźnił się i nawet sam pytał o ich życie. Opowiadali mu o wszystkim, co można robić w okolicy oraz w lesie elfów, obiecały, że zabiorą go tam, gdy tylko będzie mógł wychodzić.

Dzieci mówiły różnymi językami, jednak dzięki aparacikom mowy rozumieli się bardzo dobrze.

W pewnym momencie najstarszy chłopiec zapytał:

- Nie było ci smutno wyjeżdżać i zostawiać przyjaciół?

Silas natychmiast zwiesił głowę.

- Nie mam przyjaciół - odparł spokojnie.

Dzieci patrzyły na niego zaskoczone, z niedowierzaniem, wtrącił więc pospiesznie:

- Chociaż nie, mam przyjaciela, to jest smok.

- Smok? - wykrzykiwały dzieci zdumione. - Prawdziwy smok?

Nie wyśmiewały się z niego, były szczerze zainteresowane. Więc Silas opowiedział im o smoku, a oczy promieniały mu ze szczęścia.

Sol nie widziała Kiro od chwili, kiedy po powrocie do Królestwa Światła rozstali się przy stacji kwarantanny.

Dlaczego on jej jeszcze nie odwiedził? Dlaczego w jakiś inny sposób nie nawiązał kontaktu? Mógł przynajmniej się o nią dowiadywać.

Ten brak zainteresowania z jego strony ranił ją boleśnie.

Prawda tymczasem była dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, Kiro, jako Strażnik, miał po katastrofie mnóstwo pracy przy murze, a po drugie, brakowało mu pewności siebie. Był nieprzytomnie zakochany w fascynującej Sol, ale czy mógł liczyć na wzajemność? Sol jest, najłagodniej mówiąc, osobą kontrowersyjną. Jest człowiekiem, duchem i wiedzą, a poza tym jest bardzo niestała, może w każdej chwili zmienić poglądy. Lemuryjczyk natomiast nie zmienia kobiet. Uczucia Lemuryjczyków są najczęściej trwałe.

Wahał się długo, aż wreszcie tego wyjątkowego dnia do niej zadzwonił.

Ciche westchnienie ulgi ze strony Sol powiedziało mu wszystko.

Pytał, zdenerwowany bardziej niż kiedykolwiek w życiu, czy nie mogłaby mu pomóc w wypełnieniu zadania, które właśnie otrzymał. Chodzi o smoka...

Sol zareagowała natychmiast, pojawiła się niczym wystrzał, nie liczył na to. Zapomniał o jej nadprzyrodzonych zdolnościach i chodził po mieszkaniu w samej bieliźnie, kiedy Sol zadzwoniła do drzwi. I tak całe szczęście, że po prostu nie wpadła do mieszkania przez okno, pomyślał, otulając się swoim płaszczem Strażnika.

- Och, jakie masz śliczne stopy! - zawołała Sol z zachwytem. - Powinieneś nieustannie nosić sandały, nie ukrywać nóg w butach.

- W Ciemności nie ma się zbyt wielkiego wyboru - uśmiechnął się na ten dziwny komplement, który go onieśmiała. - Wejdz, zaraz będę gotowy.

Sol rozglądała się po jego spartańsko urządzonej mieszkaniu.

- Powinieneś mieszkać lepiej - oznajmiła. - Czy wy musicie mieszkać tak ascetycznie jak mnisi?

- Od jakiegoś czasu myślę, że mógłbym urządzić sobie dom na zboczach za Sagą - odpowiedział z łazienki, gdzie się ubierał. - Byłbym wtedy bliżej swoich przyjaciół.

Chciałabyś tam ze mną zamieszkać?

Sam się przestraszył własnej śmiałości.

Czystko stało się jeszcze bardziej skomplikowane, kiedy nagle Sol stanęła obok niego. Bez otwierania drzwi.

- Owszem, dziękuję - wyszeptała, a w jej oczach migotały wesole ogniki.

Kiro był bardzo przejęty, ale nie potrafił zachować powagi, gdy robił jej wymówki z powodu takiego zachowania.

- Nie wolno człowieka tak zaskakiwać, przecież mogłem tu robić różne rzeczy - zakończył.

- Mam nadzieję, że nie będziesz robił różnych rzeczy - oznajmiła, otwierając teraz drzwi, żeby wyjść z łazienki. - Powinieneś trochę zostawić dla mnie.

Minęła dłuższa chwila, nim pojawił, co Sol miała na myśli. Wtedy przeniknął go gwałtowny dreszcz, na jego policzkach pojawiły się rumieńce.

Chyba niełatwo będzie żyć pod jednym dachem z kimś tak nieobliczalnym i tak spontanicznym. Ale nudzić to się z nią nie można!

- Musimy już iść - mruknął, pośpiesznie kończąc toaletę. Gdyby bowiem dłużej zostali w mieszkaniu, to mógłby się zachować nie po rycersku wobec tej tak pociągającej młodej kobiety i sprowadzić ją na złe ścieżki. A to przecież nie wypada. Kiro był prawdziwym dżentelmenem, który okazywał damom szacunek. Może trochę za późno, ale mimo wszystko.

Mama Silasa patrzyła zatroskana na dzieci wchodzące do ogrodu. Z pewnością narobią szkód i będą się bić z jej synem.

Wszystko jednak wskazywało, że tak się nie stanie, więc wróciła do polerowania już i tak błyszczących okien, była bowiem strasznie dumna ze swojego mieszkania i chciała, żeby lśniło czystością. Żeby było ładniejsze niż mieszkania sąsiadów. Dawne przyzwyczajenia wyniesione z Małego Madrytu. A najbliższą sąsiadką... no tak, najbliższą sąsiadką jest jej własna szwagierka, mieszkająca w drugiej części domu otoczonego wspianym ogrodem. Szwagierka wciąż wyglądała przez okno, nieustannie śledziła swoją sąsiadkę. A tymczasem Silas bawi się w ogrodzie z obcymi dziećmi! Żeby tylko nie nabrudzili.

Jednak tego, co zobaczyła pół godziny później, kiedy dwie osoby przeszły drogą wijącą się w górę od centrum Sagi, tak, tego jej szwagierka nigdy by nie zaakceptowała. Zawołałaby z pewnością: „O, rany boskie, a co to znowu jest?” Na moment matka Silasa wypadła ze swojej nowej roli wytwornej damy z eleganckiej części miasta. Zobaczyła tamtych dwoje na ostatnim zakręcie. To mężczyzna i kobieta. On Lemuryjczyk i Strażnik, poznawała po ubraniu. Kobieta była drobna, ciemnowłosa i, strach pomyśleć, trzymała swego towarzysza za rękę. Kobieta z rodu ludzkiego i Lemuryjczyk! Czy ona naprawdę nie ma odrobiny wstydu?

Właściwie jednak to nie ta para zwróciła jej uwagę. Nie, to jakiś ogromny, lekko kulejący stwór, który kroczył tuż za nimi. Chciała zawołać „uważajcie! „, ale akurat w tym momencie oni odwrócili się i przemawiali do tego monstrum. Był to smok, jak najbardziej żywy smok, ale, rzecz jasna, to na pewno mechaniczna zabawka. Kto, u licha, mógłby stworzyć coś tak przerażającego i wmawiać jej biednemu Silasowi, żeby uwierzył, że to stworzenie żyje?

Smok wyglądał naprawdę strasznie. Naprawdę, naprawdę potwornie!

Oj, mijają właśnie wytworny dom, w którym mieszka księżna Theresa. Matka Silasa westchnęła. Rzeczywiście znalazła się w wykwintnym świecie! Księżna wstąpiła do niej przed kilkoma dniami by powitać nowych sąsiadów. Matka Lilji była kompletnie oszołomiona, przypominała sobie z lekką pogardą. Ona sama bowiem... uff, co tu zaprzeczać, jej też to bardzo zaimponowało.

I oto teraz księżna wyszła do ogrodu! Przywitała się serdecznie z tymi dwojgiem, którzy prowadzili mechanicznego smoka. Dziwne, ale smok poruszał się bez niczyjej pomocy. Księżna uściskała młodą kobietę! A Strażnik kłaniał się z wielkim szacunkiem szlachetnej damie. Wyglądało na to, że wszyscy znają się bardzo dobrze. Uczucie zazdrości przeniknęło serce matki Silasa, ale natychmiast ustąpiło. Ona przecież także zna księżnę. No właśnie! Sprytnie urządzenia te aparaciki mowy, dlaczego jej mąż, Peter, nikomu ich nie chciał dać? Teraz jednak otrzymała własne.

O rany, księżna wita się również ze smokiem! Czy ona nie widzi, że to sztuczna zabawka? Nikt się przecież nie wita z jakimiś cudactwami z wesołego miasteczka. Zresztą z żywym smokiem też nie...

Swoją drogą trzeba przyznać, że urządzenie wykonane jest znakomicie! Smok wygląda jak żywy, na dodatek teraz z gracją pochylił długą szyję, jakby chciał, żeby księżna podrapała go za uszami.

Goście pomachali księżnej i znowu ruszyli przed siebie. Oni idą tutaj! No, właściwie to się tego spodziewałam, ale dlaczego chcą sprawiać ból mojemu małemu chłopcu?

Oszukiwać dziecko sztucznym smokiem, wmawiać mu, że jest prawdziwy, czy mały już się dość nie nacierpiał?

Nie, nie, nie, oni zamierzają wejść do ogrodu z tym monstrum, och, co się stanie z moimi grządkami? A Silas, nieszczęsne dziecko, biegnie im na spotkanie taki uradowany. Dzieci z sąsiedztwa za nim. Nie, muszę ich powstrzymać!

Wybiegła na dziedziniec akurat w momencie, kiedy Silas zarzucił smokowi ręce na szyję, a zwierzę lizało go po twarzy szorstkim jęzorem.

Widok był przerażający. Naprawdę znakomicie zrobiona zabawka!

- Silas, zostaw smoka! - zawołała.

- Dzień dobry, pani Anderson - przywitał się Strażnik. - Jestem Kiro, przyjaciel Gorama, a to Sol z Ludzi Lodu. Mój drogi smok chciałby się jeszcze raz przywitać z Silasem, mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza.

Sol zamierzała właściwie przedstawić się jako Sol wiedźma, ale Kiro ją ubiegł i tak chyba było najlepiej.

Mama chłopca chciała ostro odpowiedzieć coś w rodzaju, że nie życzy sobie takich atrakcji w swoim ogródku, gdy przyszła jej do głowy zupełnie inna myśl. Dziwne, ale nie była to jej własna myśl. „Tak bardzo tęskniłem za Silasem! Czy mogę zostać tu przez chwilę? „- Kobieta przeniknęła zimny dreszcz. Te słowa pochodziły od smoka! „I jestem trochę zmęczony. Od dawna mam skaleczoną stopę”.

Dopiero kiedy zrozumiała, że zwierzę naprawdę żyje, wrzasnęła przejmująco:

- Silas! Uciekaj ile sił w nogach, to żywy smok!

- Przecież o tym wiem, mam. My jesteśmy przyjaciółmi.

Bliska omdlenia dopadła do syna, żeby go odciągnąć, gdy usłyszała kolejną prośbę potwora: „Silas i ja jesteśmy tak samo samotni. Ja go lubię i chcę dla niego dobra. Czy mógłbym się napić trochę wody z tej sadzawki?”.

Dzieci poklepywały i głaskały smoka, który zdawał się bardzo sobie cenić ich zainteresowanie.

Mama Silasa musiała usiąść na ogrodowym krześle, żeby nie upaść. Jak spod huczącego wodospadu dotarły do niej słowa Kiro:

- Smok będzie mieszkał w domu moim i Sol. Zbudujemy ten dom nieco powyżej waszego na zboczu wzgórza. Smok będzie mógł pilnować, żeby Silasowi i innym dzieciom nie przytrafiło się nic złego, i będą mogli być razem, ile tylko zechcą.

Chcę wracać do domu, chcę stąd odejść, znaleźć się znowu na ziemi, jak najdalej od tego groteskowego kraju, myślała gorączkowo. To nieprawda, nie mogę tego przeżywać! W dodatku mój syn bawi się z Murzynem. Mąż by tego nie ścierpił.

Wtedy przypomniała sobie, że nie ma już męża, ponieważ to człowiek, który teraz poluje na Lilję i prawdopodobnie również na Silasa, by ich zamordować, więc z takim człowiekiem ona nie chce mieć już nic wspólnego. W rzeczywistości nie ma z nim nic wspólnego od wielu lat, całe ich małżeństwo było tylko fasadą. Chodziło o to, żeby nikt się nie dowiedział, co dzieje się w czterech ścianach ich domu.

A teraz ona stoi, otoczona życzliwymi istotami, nikt nikomu nie dokucza, nikt nie chce być lepszy od innych, tylko serdeczność i troskliwość. Nawet smok troszczy się o jej dobro.

Była oszołomiona, poruszona, bała się, że w następnej chwili zacznie płakać.

Powiedziała więc niepewnym głosem, zanim odwróciła się, żeby odejść:

- Dobrze, Silas, możesz się bawić z kim chcesz.

Wtedy zauważyła, że dwoje jej młodszych dzieci stoi na schodach i wpatruje się wytrzeszczonymi oczyma w smoka. Zagarnęła malców jednym ruchem i zatrzasnęła za sobą drzwi, są przecież granice liberalizmu!

Przystanęła. Znowu uchyliła drzwi.

- Powiedz zwierzęciu, że może pić z sadzawki, ile chce. I zaprowadźcie smoka do weterynarza, niech mu obejrzy nogę!

- To już załatwione. Nasz przyjaciel, Jaskari, obejrzy go jutro. Dziękujemy... pani Anderson - rzekł Kiro przyjaźnie.

Z drżeniem patrzyła, że smok przysunął paszczę do powierzchni wody i zaczyna pić. W jednej chwili sadzawka zrobiła się sucha. Bogu dzięki, że nie ma w niej ryb.

- Oddamy wodę - obiecał elegancki Strażnik.

Ale Silas był najszcześniejszym dzieckiem na świecie. Jego i jego nowym przyjaciółom pozwolono pójść z Kiro i Sol na wzgórze, by obejrzeć miejsce pod planowany dom.

Zaraz potem przyszła inna para, która najwyraźniej miała budować dom na sąsiedniej działce. To również Lemuryjczyk i kobieta, nazywali się Ram i Indra, i byli dokładnie tak samo sympatyczni, żartowali z Silasem i jego przyjaciółmi, których w miarę upływu dnia wciąż przybywało. Żartowali z nimi tak jak z dorosłymi ludźmi, a jeśli kiedykolwiek się z nimi przekomarzali, to dlatego, że lubili dzieci i że to bardzo przyjemne. Silas był tam nieustannie jako ważny członek wspólnoty. I dzieci przez całe słoneczne popołudnie bawiły się z równie uszczęśliwionym smokiem.

Nareszcie Silas znalazł się w serdecznym i życzliwym środowisku. Zasłużył sobie na to.

22

Silas nie wiedział o ciemnych chmurach zbierających się nad głową Lilji, a częściowo i nad nim.

Jego ojczym, Peter Anderson, jeszcze nie odkrył, co się stało z rodzinami jego i brata. Zresztą to nie było takie łatwe. Królestwo Światła jest rozległe, a on został całkiem sam. Nie miał się kogo poradzić. Ścigano go. Ścigano niczym zwierzę, myślał rozgoryczony. Te przekłete bachory, Lilja i Silas! Wszystko, co się stało, to ich wina. To oni zniszczyli mu życie. Żeby chodzić do Strażników i gadać na własną rodzinę! Czyż on popełnił jakieś przestępstwo? Po prostu trzymał rodzinę w posłuszeństwie i bojaźni Bożej, a przecież to obowiązek i prawo każdego ojca rodziny. Czyż nie chodził do kościoła co najmniej trzy razy w roku?

Nie, niech no tylko dorwie tę przekłętą smarkulę, Lilję, to łeb jej ukręci. Wtedy dopiero będzie siedziała cicho. A Silas, to kukułcze jajo, które znalazło się w jego gnieździe, najpierw oberwie mu te cholerne uszy, bo na co mu one, skoro i tak nie słyszy? Potem utopi smarkacza w sadzawce.

Babie też się dostanie, co on ma z nią wspólnego, zaczyna wrzeszczeć, ledwo ją dotknąć. On i brat to jeszcze chłopcy na schwał, nigdy nie mieli kłopotów z przygadaniem sobie kobiet. Powinni zacząć nowe życie. Pozbyć się starych bab, znaleźć sobie nowe młode i ponętne dziewczyny. A dzieciaki? Niech się wynoszą, wrzeszczą tylko przez cały czas, wystarczy któreś tknąć.

Peter Anderson rozejrzał się wokół. Gdzie, do cholery, się znalazł? W jakimś lesie, tego to akurat jest pod dostatkiem w tym przekętym królestwie. Tęsknił do Małego Madrytu, gdzie człowiek może być sobą, pić piwo albo grać w karty z kumplami, zanim się wróci do domu i zrobi awanturę żonie, jeśli obiad nie czeka na stole dostatecznie gorący. Żona wciąż się domaga, żeby przychodził o właściwej porze. Do diabła, co ją to obchodzi, czy spędza w pubie godzinę czy trzy godziny?

O Boże, jaki jest głodny! Od trzech dni nie miał w ustach nic oprócz jagód. Musi w jakiś sposób zdobyć coś do zjedzenia.

Peter Anderson nie dostrzegał urody świata wokół siebie. Znajdował się w lesie elfów, w mieniącym się liściastym lesie, gdzie piękne rośliny kryły się pod drzewami niczym drogic kamienie, a polany pokrywały wielkie dywany z anemonów. Trawa była zielona i soczysta, mech porastał pnie drzew i kamienie.

Anderson czuł, że z głodu ssie go w żołądku.

Nie dostrzegał irytacji leśnych elfów z powodu wtargnięcia intruza, który kopał butami mech i próbował polować na sarny i zające, by zdobyć coś do jedzenia. Na szczęście się to nie udawało. Elfy życzyły mu, żeby jak najszybciej wyniósł się z ich baśniowego lasu. W końcu mała Fivrelde, niezmordowana, miniaturowa panienka z rodu elfów, przyjaciółka Dolga, naprowadziła Strażników na ślad Andersona.

Dolg siedział w swojej altanie pod kiściami złotokapu, kiedy usłyszał cichutki głos powtarzający jego imię z kraju elfów:

- Lanjelin! Lanjelin, posłuchaj mnie, Lanjelin!

- Fivrelde - szepnęła łagodnie i zdjął małą panienkę z patery na owoce. - Witaj, malutka przyjaciółko, gdzie się podziewałaś?

- Bywałam daleko, och, bardzo daleko! W lesie elfów, na północ od twojego miasta. Zły człowiek w lesie, Lanjelin! On poluje na zwierzęta, zapewniam cię, że zamierza je zjeść! Ale ja wiedziałam, komu powinnam o tym powiedzieć!

- Jesteś bardzo mądra, Fivrelde. Zaraz skontaktuję się z Ramem, ponieważ wiem, kim jest ów zły człowiek.

- Tak, i mam nadzieję, że powiesz mu, kto...

- Oczywiście, powiem, że to ty przybiegłaś z tą wiadomością, to jasne, że tak zrobię! Jesteś moim najważniejszym współpracownikiem.

Wiedział, jak sprawić małej panience przyjemność.

Siedziała na jego ramieniu i podsłuchiwała, jak Dolg rozmawia z Ramem.

- To właśnie moja najlepsza przyjaciółka, Fivrelde, (elf skulił się z rozkoszy) powiedziała mi o tym...

Teraz Fivrelde nie była już w stanie usiedzieć cicho. Pisnęła głośno:

- Czyż nie zachowałam się wspaniale, Ram, wielki Strażniku?

- Oczywiście, naprawdę wspaniale - odparł Ram z udaną powagą. - Tysięczne dzięki składamy ci, Fivrelde, bardzo nam pomogłaś.

Te ostatnie słowa wypowiedział szczerze.

Zadowolony elf przytulił się do szyi Dolga.

- Co ty byś beze mnie zrobił, Lanjelin?

W głowie Petera Andersona nieustannie krążyła jedna jedyna myśl. Usłyszał mianowicie przed chwilą, kiedy błądził po mieście, próbując ukryć się w tłumie, czyjś komentarz.

Nasłuchiwał ukradkiem, chciał dowiedzieć się czegoś więcej, czy władze nie zorientowały się przypadkiem, co się z nim dzieje, przede wszystkim jednak chciał się dowiedzieć, gdzie się podziewa przeklęta Lilja, ale ludzie mówili przeważnie jakieś nic nie znaczące głupstwa, o sztuce i kulturze i takie tam. Dopóki...

Dotarło do niego zdanie rzucone przy stoliku kawiarnianego ogródka: „... słyszałem, że do miasta Saga przybył smok...”

Anderson przystanął gwałtownie, by usłyszeć więcej, ale tamten głos już umilkł, a poza tym w pobliżu kręciło się tak wielu Strażników, że pośpiesznie opuścił i to miejsce, i miasto w ogóle. Było tu zbyt niebezpiecznie.

Przed jedną willą zobaczył zawieszoną na płocie wielkie ogrodowe nożyce. Ukradł je, by mieć się czym bronić na wypadek, gdyby ktoś go zaatakował.

Czyż jego żona nie wspominała niedawno, że Silas zmyśla coś o jakimś smoku? Wtedy, rzecz jasna, nie słuchał, bo ta baba wciąż gada różne głupie rzeczy, ale może obie informacje jakoś się ze sobą łączą? Wiedział, że jego rodzina, i rodzina brata zmieniły mieszkania „dla bezpieczeństwa”. Czyżby to on im zagrażał?

Może przeprowadzili się do Sagi?

W takim razie znienawidzona Lilja też powinna tam być. Mógłby ją odnaleźć i zemścić się!

To właśnie do Sagi zmierzał, kiedy musiał się ukryć w lesie, bo wszędzie aż się roiło od gondoli Strażników, latały ponad drogami, ponad wioskami i najwyraźniej polowały na niego. Z tego powodu trzymał się raczej bezdroży.

Przeklęty las! Czasami zdawało mu się, że las jest zaczarowany. Gałęzie czepiały się go, jakby miały zęby, zagradzały mu każde przejście. Jakby niewidzialne kamienie leżały akurat tam, którędy przechodził. Wciąż się potykał, jakby celowo podcinały mu nogi. Niekiedy ziemia zapadała się pod nim i wpadał do jakiejś dziury albo do wypełnionej wodą sadzawki.

Był zmęczony, głodny i przemoczony, kiedy nareszcie zobaczył zabudowany teren. Dzielnica willowa. Może to przedmieście Sagi? Samo miasto leżało w dolinie, otaczały je wysokie wzgórza. To chyba rzeczywiście Saga.

A zatem nie zabłądził.

Nieźle orientował się w terenie.

Peter Anderson przez kilka godzin krążył po zboczach wzgórz, zawsze kryjąc się na skraju lasu. Ogrodowe nożyce były ciężkie i niewygodne do niesienia, rozdzielił więc je na dwoje i dalej ruszył z jedną tylko częścią. Niosło się ją dużo wygodniej, jedna część byłaby też łatwiejsza w użyciu i skuteczniejsza.

W pewnym momencie, kiedy stał pod drzewami i przyglądał się najbliższej okolicy, mógłby przysiąc, że ktoś kopnął go w zadek. Zatonął się i runął głową w dół do wypełnionego wodą, pełnego żabiej rżęsy rowu. Kiedy się stamtąd jakoś wygramolił, nie zobaczył nic. Rozglądał się uważnie, ale nie było nikogo, kto mógłby go popchnąć.

Klnąc na czym świat stoi, powlókł się dalej.

I wtedy go spostrzegł. Smoka. To był prawdziwy smok, taki straszny, że Anderson dostał gęsiej skórki. Widział potwora w pewnej odległości od siebie na zboczu między pięknymi domami. Bawiła się z nim gromadka dzieci. Muszą mieć źle w głowach, przecież on w każdej chwili może je pożreć. A zresztą niech to robi, przeklęte gówniarze!

Ale... czyż jeden z chłopców to nie Silas? Peter Anderson nie widział dokładnie, odległość była zbyt wielka, ale to rzeczywiście mógł być jego pasierb, poznawał po niezdarnych ruchach!

Ogień zapłonął w głowie mściciela. Skoro ten chłopiec tam to Silas, w takim razie w domu musi też być Lilja. Bardzo prawdopodobne! Anderson szedł skrajem lasu. Zakradał się coraz bliżej zabudowań.

Zabrali ze sobą Dolga do lasu, by szukać zbiegłego więźnia. Dolg bowiem cieszył się wielkim poważaniem elfów. Z pewnością przydałby im się również Tsi, bo nikt nie zna lasu lepiej niż on, ale nie mieli sumienia odrywać go od maleńkiej córeczki. Siedział przy jej kołysce godzinami w niemym podziwieniu, przepelniony ojcowską miłością. Od czasu do czasu biegł do sali, w której leżała Siska, by donieść jej, jakie osiągnięcia ma ich maleństwo. A mała rozwijała się naprawdę bardzo szybko! Była przecież dzieckiem elfów, nie można więc porównywać jej rozwoju z powolnym dorastaniem ludzi. W końcu Siaka, Misa i Miranda musiały poprosić, by przynajmniej pukał do drzwi, a nie wpadał po prostu bez uprzedzenia.

Dolg wypytywał towarzyszące mu elfy, z których tylko kilka na samym przedzie było widzialnych. Po chwili zwrócił się zatroskany do Rama:

- On poszedł w kierunku Sagi. Elfy mówią, że znajduje się teraz na wzgórzach za miastem.

- W pobliżu nowego domu Lilji i Silasa?

- Na to wygląda.

Ram nawiązał kontakt z Goramem, znajdującym się w mieście, i przekazał mu polecenia.

- Lilji tam nie ma - powiedział Ram. - Ale chłopiec i obie matki są w domu. Wprowadź strażników uważnie, ale... - Ram roześmiał się szyderczo. - Dolg nam powiedział, że elfy zgotowały Andersonowi bardzo nieprzyjemną wędrówkę przez las. Wpychały go w błoto, plątały mu nogi i nie wiadomo co jeszcze.

- To bardzo dobrze. Zajmę się zaraz chłopcem. Zadzwoń też do szpitala, żeby się upewnić, czy Lilja wciąż tam jest.

Lilja nie posiadała się ze szczęścia, słysząc jego głos. Obiecała solennie, że nosa nie wystawi poza oddział. Zresztą za drzwiami stoi Strażnik, więc wszystko powinno być dobrze.

- Niedługo go ujmemy, Liljo - zapewnił Goram. - wtedy będziesz wolna.

I nasza współpraca się skończy, pomyślała zgnębiona. Ale zanim do tego dojdzie, może się jeszcze wiele wydarzyć!

Silas bawił się ze swoimi nowymi przyjaciółmi i ze smokiem w ogrodzie poza domem. Nigdy w życiu jeszcze nie było mu tak wesoło. Na początku czuł się dość niepewnie. Czekał, że lada moment tamci zaczną się śmiać, i powiedzą, że wszystko było oszustwem. Że jest głupim nietoperzem, takim brzydkim, że nawet pchły nie chcą go gryźć, i tak dalej.

Nic takiego jednak się nie stało. Teraz więc czuł się już bezpiecznie, był cudownie zmęczony po całym dniu zabawy na świeżym powietrzu.

Poszedł w górę, w kierunku lasu, niedaleko, tylko parę kroków. Chciał się położyć w trawie i odpocząć wśród stokrotek.

Nagle jakiś głos zawołał go z głębi lasu.

Silas poczuł, że pieką go uszy. Ten głos znał aż nadto dobrze.

- Chodź tutaj!

Musiał posłuchać. Strach i ból wielu lat zmusiły go do tego.

Ojczym wyszedł z cienia. Wyglądał potwornie, oblepiony ziemią i śmieciami, z głowy i ubrania zwisała zaschnięta żabia rżesa.

Dzieci na dole tymczasem jeździły na smoku. Ręka tyrana zacisnęła się na chudziutkim ramieniu Silasa.

- Powiedz Lilji, że ma tutaj przyjść!

- Lilji nie ma w domu - wyjąkał Silas.

- A gdzie jest?

- W szpitalu.

- A to dlaczego?

- Nie wiem.

- Niech to diabli porwą!

W tym momencie znajdujący się najbliżej nich Strażnik zorientował się, co się stało.

Krzyknął ostrzegawczo.

Anderson natychmiast objął Silasa mocno na wysokości piersi i trzymał przy sobie, przykładając mu ostrze nożyc do gardła.

- Jeszcze krok i chłopak będzie martwy - ryczał.

W dole na krętych uliczkach zaczęły wyc syreny w samochodach Strażników. Jakaś gondola zawisła w powietrzu ponad domem, zaraz też z lasu wybiegł pościg.

Nikt jednak nie mógł nic zrobić. Wszyscy wiedzieli, że Anderson grozi na serio i zabije chłopca, jeśli go nie posłuchają.

Zabawa została przerwana, dzieci patrzyły przerażone na rozpaczliwe położenie Silasa.

W oknach domu matka Silasa i jej szwagierka stały jak sparaliżowane ze strachu, nie były w stanie nic zrobić.

- Puszczę chłopaka pod jednym warunkiem! - krzyczał Anderson do Strażników. - Pod warunkiem, że dacie mi za niego Lilję. I pozwolicie z nią odejść.

Matka Lilji zaczęła głośno szlochać.

Goram, który właśnie przyjechał, wiedział, że niebezpieczeństwo jest śmiertelne. Peter Anderson nie ustąpi z własnej woli. Ale był chyba na tyle zestresowany, że nie należy wierzyć każdemu jego słowu. Chociaż właśnie dlatego jest śmiertelnie niebezpieczny dla chłopca.

Anderson skulił się za plecami Silasa, opierając się o drzewo. Nikt nie odważył się strzelać ani zbliżyć do niego. Widzieli, że ręka trzymająca połowę nożyc drży nerwowo. Każdy ruch z ich strony mógł być brzemienny w skutki.

Powietrze gęstniało od powstrzymywanych uczuć. Napięcie, lęk, zdecydowanie, gorączkowe poszukiwanie rozsądnego rozwiązania...

Pomoc nadeszła z nieoczekiwanej strony.

Straszny ryk przeszył powietrze, ogień i dym buchnęły z pyska smoka jak przy wielkiej eksplozji, bestia zobaczyła właśnie, że ukochany przyjaciel znajduje się w niebezpieczeństwie.

Anderson zeszywniał. Smok nie rozumiał jego ultimatum, nie miał pojęcia o rokowaniach. Groźby, że zabije chłopca, jeśli smok się do niego zbliży, nie odniosą żadnego skutku.

Z szybkością, o którą nikt by nie podejrzewał tego wielkiego, niezdarnego zwierzęcia, smok pomknął na odsiecz Silasowi. Rozwinął skrzydła, oczy zaszyły krwią z gniewu. Anderson wykrztusił z siebie jakiś niezrozumiały bełkot, puścił Silasa i rzucił się do ucieczki, ale wpadł prosto na Sol, która właśnie razem z Kiro szła do swojej nowej posiadłości.

- Uważaj, ty niezdaro! - prychnęła Sol. Nie zdążyła jeszcze zorientować się w sytuacji i ze złością zaatakowała Petera Andersona. Ten uniósł nożyce i chciał dźgnąć ją nimi jak bagnetem, ale zza jej pleców wyskoczył Kiro i wyrwał mu broń z ręki. Przestępca pomknął do lasu, a rozgniewana Sol za nim. W dwie minuty później został otoczony przez mężczyzn przeczesujących las i jego ucieczka dobiegła końca. Powinien chyba dziękować za to losowi, że złapali go, zanim Sol zdążyła go odesłać do jakiegoś groźnego miejsca, na przykład na dno głębokiego bagniska albo coś w tym rodzaju.

23

UROCZYSTOŚĆ

W sali szpitalnej Lilja siedziała na krawędzi łóżka i nie miała pojęcia, że to z jej powodu doszło do strasznych wydarzeń na wzgórzach w pobliżu miasta Saga.

Zebrane tu dziewczyny rozmawiały o różnych sprawach. Przynajmniej Siska opowiadała o niebezpiecznej wyprawie do Gór Czarnych. Lilja czytała o ekspedycji w gazetach, ale teraz dowiadywała się o różnych groteskowych i strasznych szczegółach, słuchała więc zafascynowana. Pomyśleć, że ktoś może przeżywać takie przygody! Zrozumiała też, jak potężną istotą jest Marco. A ona go zna! Niewiarygodne! Tak, sama zauważyła jeszcze w Starej Twierdzy płynące od niego fantastyczne promieniowanie. Dolg też jest kimś wyjątkowym, wiedziała to od pierwszej chwili, i Ram, i Sol, i jeszcze wielu, wielu innych. Gdyby tak mogła należeć do ich grupy, być jedną z nich! Sama nie jest nikim wyjątkowym, pod żadnym względem, ale czuła, że z nimi byłoby jej dobrze. Chociaż to oczywiście tylko takie marzenia. Na dodatek do wszystkiego przecież pochodzi z miasta nieprzystosowanych, jak tutaj nazywano Mały Madryt. Nie jest miło nosić określenie „nieprzystosowany”, zwłaszcza że ona akurat w Małym Madrycie była osobą nieprzystosowaną.

Wszystkie podskoczyły, bo Misa nagle jęknęła.

- O, ratunku - wyszeptała.

- Misa, coś ty - rzekła Miranda z wyrzutem, naciskając dzwonek. Miały z pielęgniarkami umówiony sygnał na wypadek, gdyby Misa potrzebowała pomocy. - Czy ty też chcesz mnie wyprzedzić? Przecież to ja pierwsza miałam urodzić! Naprawdę nieładnie z waszej strony, dziewczyny!

Misa próbowała się uśmiechać, ale chwyciły ją takie silne bóle, że rezultat był dość żalospny.

- Mam nadzieję, że Jaskari jest w szpitalu! Tak strasznie się boję! Taka jestem samotna! Wszystkie rozumiały jej lęk.

Lilja wybiegła, żeby zobaczyć, czy ktoś nadchodzi, ale właśnie w drzwiach zderzyła się z Jaskarim i długim orszakiem biegnących lekarzy i pielęgniarek. Nawet jej nie zauważyli. Misa została pośpiesznie wywieziona z sali. Dzielnie machała im na pożegnanie, a one pocieszały ją, mówiąc: „bądź dzielna, wszystko dobrze się skończy!”.

W sali zrobiło się cicho.

- Nie do końca to wszystko rozumiem - rzekła wreszcie Lilja niepewnie. - Madragów jest tylko czworo, wśród nich jedna kobieta. Więc jak to będzie w przyszłości? Czy mimo takiego bliskiego pokrewieństwa będą mogli płodzić dzieci?

Miranda starała się jej wyjaśnić:

- W wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności Madragowie nieskończenie wiele lat temu zostali wysterylizowani. Za bardzo to jest skomplikowane, żeby ci teraz tłumaczyć, zresztą, gdybyś chciała, to możesz sobie o wszystkim poczytać w kronikach rodu czarnoksiężnika. Jakiś czas temu poprosili Marca o pomoc i on sprawił, że odzyskali płodność. Misa zaszła w ciążę. Kto jest ojcem dziecka, dokładnie nie wiem, ale myślę, że to Tam. Widzisz, oni stworzyli coś w rodzaju przyszłego drzewa genealogicznego, tak żeby pokrewieństwo rodziców przyszłych dzieci nie było zbyt bliskie. Oczywiście nie da się go uniknąć, ponieważ Misa jest początkiem całego przyszłego rodu. Nie znam zresztą dokładnie tego drzewa genealogicznego, tylko podstawową zasadę. Jeśli więc założymy, że Tam zostanie ojcem dziewczynki...

- Miejmy nadzieję, że tak będzie - wtrąciła Lilja, która zaczynała rozumieć, o co chodzi.

- No właśnie! Tam może też być ojcem ewentualnych przyszłych dzieci Misy. Jednak kolejny mężczyzna, powiedzmy, że to będzie Tich, który jest bratem Tama, musi czekać, aż ta córeczka dorośnie. Wtedy może się z nią ożenić i mieć z nią wiele dzieci. Jednak ostatni, Chor, który jest kuzynem Misy, może ożenić się z córką Ticha.

- Będzie musiał chyba długo czekać - rzekła Lilja, zamyślona i trochę zasmucona w jego imieniu.

- Chyba nie tak bardzo długo - wtrąciła się Siska. - Wygląda na to, że Madragowie również dojrzewają szybciej niż ludzie, chociaż chyba trudno w to uwierzyć. W każdym razie ciąża nie trwała długo, dopiero niedawno się o niej dowiedzieliśmy.

- Oni są tacy sympatyczni - powiedziała Lilja w rozmarzeniu. - Życzę im wszystkiego najlepszego.

- I cierpieli tak strasznie - dodała Miranda. - Dopóki rodzina czarnoksiężnika ich nie uwolniła.

- Ściskajmy za nich kciuki - rzekła Siska.

Lilja potraktowała to dosłownie i zacisnęła palce tak, że zabolęło.

- A mnie to już chyba bardzo szybko wypiszą - powiedziała po chwili Siska.

- Nie - zaczęła narzekać Miranda. - Wszystkie chcecie mnie zdradzić? Dobrze, że ty tutaj jesteś, Liljo!

Policzki dziewczyny zarumieniły się z radości. Ktoś jej potrzebuje! I to ktoś należący do grupy, którą ona tak podziwia.

- Zostanę tu tak długo, jak mi pozwolą - obiecała zdyszana. - Czuję się tu znakomicie. To dla mnie zupełnie coś nowego móc rozmawiać w ten sposób z ludźmi. Nigdy nie miałam takich przyjaciół.

- Dobrze to rozumiemy - powiedziała Miranda.

Ryczący Peter Anderson został wyprowadzony z lasu na zboczach.

- Dobrze, chętnie sobie stąd pójdę - wrzeszczał. - Wy wszyscy jesteście z piekła rodem! Zadajecie się ze smokami i wiedźmami, z Lemuryjczykami i wszelkim możliwym diabelstwem. Bądźcie tacy dobrzy i odwieźcie mnie z powrotem do Małego Madrytu, gdzie żyją normalni, bogobojni ludzie. Gdzie nie ma żadnych pomyleńców.

Krzyki przycichły w miarę, jak on i jego eskorta się oddalali:

Kiro czynił wymówki Sol:

- Jesteś szalona, przecież on mógł cię zabić - mówił zdenerwowany.

- A ja mogłam go... - zaczęła, ale umilkła, czując, jak blisko niej stoi Kiro i jak mocno ją obejmuje, jak bardzo jest zdenerwowany i przestraszony tym, co mogło jej się stać.

Wyraz jej twarzy złagodniał, po chwili uśmiechnęła się błogo.

Wszyscy inni zajmowali się teraz Silasem. Parskający smok próbował odzyskać swoją zwykłą poczciwość, sam zdumiony, ile potrafi wykrzesać z siebie gniewu, kiedy przyjdzie co do czego.

Matka Silasa obejmowała go czule i wylewała łzy, a matka Lilji zdobyła się nawet na błądy uśmiech pod jego adresem. Wszyscy go wychwalali, on zaś pławił się w blasku swojej chwały. Życie było teraz cudowne, a jutro ma przyjść jakiś sympatyczny człowiek, żeby obejrzeć jego nogę, którą tyrani w Górach Czarnych złamali wiele lat temu.

Tak więc Sol i Kiro byli w lesie sami, piękna wiedźma znajdowała się całkowicie pod zmysłowym wpływem Lemuryjczyka.

Chociaż, jeśli o nią chodzi, to taki wpływ nie był niezbędny. Z własnej nieprzymuszonej woli płonęła uczuciem, nie była w stanie niczemu się przeciwstawić. Zresztą wcale nie chciała.

Kiro pograżył się już dawno temu. Teraz utonął w żółtych, tak charakterystycznych dla Ludzi Lodu oczach Sol i całował ją z całą tą miłością, która żarzyła się w nim od długiego czasu. Oboje po prostu potracili głowy.

Tylko smok zauważył, że ich nie ma, rozglądał się za swoimi ukochanymi właścicielami, ale wszyscy dziękowali mu za uratowanie chłopca, było tak strasznie przyjemnie, że zapomniał, iż powinien się martwić.

Sol leżała w ramionach Kiro w złocistozielonym lesie elfów i czuła, że jej trudne, pełne poszukiwań życie nareszcie realizuje się w miłości do mężczyzny. Jej dokuczliwa samotność przeminęła. Dotkliwie porażki w zewnętrznym świecie zostały przysypane popiołem zapomnienia. Naprawdę potrafi kogoś kochać i naprawdę ten wspomniały mężczyzna kocha ją z taką samą intensywnością.

Tym razem dała z siebie wszystko, już się nie bała, że odda mu tylko część siebie. Poza tym Kiro potrafił ją rozbudzić, posiadał jak wszyscy Lemuryjczycy szczególną zdolność niezwykłej, pełnej fizycznej miłości. Postępował tak, jak to zwykle Lemuryjczycy czynią: najpierw rozpałił jej duszę, wprowadził ją w całkiem nowe i nieznane wymiary wspólnoty duchowej. Sprawił, że byli sobie bliscy tak bardzo, jak to możliwe. A potem rozpałił jej ciało. Dopóki nie była gotowa wszystkimi zmysłami i całą swoją osobą. I Sol poszła za nim. Jak nigdy przedtem podążała za mężczyzną, pozwoliła mu wierzyć, że jest dla niej

tym jednym jedynym. Kiro budził w niej uczucia, o których istnieniu dotychczas nie wiedziała, dawała mu poznać, jak szczerze go kocha i jak bardzo go pragnie. A przecież na początku to nie Kiro był przedmiotem jej westchnień. Najpierw fantazjowała trochę na temat Marca, z jego strony jednak wyczuwała opór. Nie ze względu na pokrewieństwo, co to, to nie, przyszli przecież na świat w odstępie dwustu lat, poza tym pochodzili z dwóch różnych linii rodu. Jednak w Marcu było coś, co trzymało ją na dystans. On nie został stworzony do miłości, wiedziała o tym zawsze i szanowała to.

Nic jednak nie byłoby dla niej właściwsze niż ów nieoczekiwany wybór Kiro, była teraz tego pewna, głaskała go po czarnych włosach przepelniona wdzięcznością za to, że go spotkała, czuła go w sobie, przepelniał ją taką cudowną zmysłowością, o jakiej nawet nie marzyła.

Pograżyła się w ekstazie z przeciągłym, cichym westchnieniem.

- To najlepsze, co mi się przydarzyło! Nic nie może się równać z tą chwilą.

- Owszem, może - uśmiechnął się do niej z taką czułością we wzroku, że w jej oczach pojawiły się łzy. - Będzie się mógł równać następny raz. To był dopiero początek. Nie byłem w stanie zapanować nad swoim uczuciem do ciebie. Ale następnym razem nauczę cię kochać.

Sol przymknęła oczy i westchnęła z rozkoszy.

W szpitalnej izolatce leżały dwie milczące istoty, przy których nieustannie ktoś czuwał, ustawiono wokół nich mnóstwo aparatów, szpikowano je różnego rodzaju medykamentami.

Powoli nieszczęśnicy zaczęli wydobywać się z odrętwienia, docierało do nich, że zostali uratowani po wielu latach bezgranicznej rozpaczki w zamknięciu, w śmierzącym lochu tak ciasnym, że nie byli w stanie się poruszać. Czuli teraz, że siły powracają do ich wycieńczonych ciał, powoli, bardzo powoli pod fachową i życzliwą opieką.

Pewnego dnia przydarzyło się coś niezwykłego. Do pokoju wkroczył przystojny, podobny do elfa młody mężczyzna. Patrzył na nich ze łzami w oczach, całe szczęście, że nie widział ich zaraz potem, jak zostali przywiezieni do szpitala.

Z trudem zwrócili ku niemu twarze.

Tsi-Tsungga nigdy nie potrafił wyrażać się z salonową elegancją. Mówił po prostu to, co miał na sercu.

- Witajcie, mamie i tato! Bardzo za wami tęskniłem!

Upadł na kolana przy łóżku matki, przesłonił twarz, żeby ukryć łzy. Wolno na jego karku spoczęła wychudzona dłoń.

- Synku - szepnął z wysiłkiem słaby głos. - Jakiś ty piękny! I mówią o tobie tyle... dobrych rzeczy.

Spojrzał na matkę ze szczerym zdumieniem.

- Naprawdę? Nie wiedziałem.

Ojciec uśmiechnął się do niego i leciutko skinął głową.

Tsi zerwał się na równe nogi.

- Och, muszę wam pokazać! Zaczekajcie tutaj!

Zaczekać tutaj? Oboje się uśmiechnęli.

Po chwili był z powrotem, po krótkiej wymianie zdań z pielęgniarką dziecięcą otrzymał pozwolenie, by pokazać córeczkę rodzicom. Nie wolno im tylko dotykać dziecka, Tsi musi stać w progu, nie powinien wchodzić do sali, pielęgniarka surowo tego zakazała.

Tsi obiecał solennie, że tak będzie, i zaniósł swój najdroższy skarb do pokoju rodziców.

- Popatrzcie, mamó, tato! To wasza wnuczka. Nazywam ją Gwiazdeczka. Oko Nocy tak nazywał Berengarię, moim zdaniem to bardzo piękne.

Oczy matki rozbłysły w prawdziwym od wielu lat uśmiechu. Ojciec próbował coś powiedzieć.

- Ach, chodzi ci o matkę dziecka? To Siska - wyjaśnił Tsi z dumą. - Prawdziwa księżniczka.

Potem musiał już iść. Ale napełnił wielką radością i wolą życia te dwa serca, które od dawna były prawie martwe.

Lilja mogła wrócić do domu. Przykro jej było jednak, że musi opuścić szpital i nowych przyjaciół. Misy nie było już na oddziale, została przewieziona do innej części szpitala, Lilja nie wiedziała, gdzie to jest. Siskę wkrótce wypisano i pozwolono jej wprowadzić się razem z Tsi do nowego domu. Stał na wzgórzach, wysoko, tuż pod lasem, bo to było naturalne środowisko Tsi. Na rozkaz Rama budowniczywie zabrali się do pracy zaraz po powrocie ekspedycji do Królestwa Światła i dom został wzniesiony w ciągu zaledwie paru dni. Nowe wille Indry i Sol też nadawały się już do zamieszkania, na posesji Sol urządzono wielkie, luksusowe terrarium dla smoka.

Tak więc Miranda miała zostać sama na oddziale położniczym. Bo u niej na razie nic się nie zmieniło.

Przyszedeł Goram, żeby zabrać Lilję.

- Witaj, moja droga - powiedział przyjaźnie. - Pewnie się cieszysz, że możesz już spokojnie wracać?

Nie była w stanie mu odpowiedzieć. Po pierwsze, nie była taka pewna, czy cieszy się z możliwości powrotu, a po drugie, zawsze w jego obecności traciła rezon.

- Miranda będzie taka samotna - wykrztusiła w końcu. - Może mogłabym...

Zdołała wypowiedzieć swoje życzenie! Goram patrzył na nią pytająco. Czekał, że Lilja wejdzie do sali, żeby zabrać swój bagaż, ubrania i przybory toaletowe.

Tymczasem uświadomił sobie, że ona chce tu zostać. Dopóki nie nadejdzie czas Mirandy, wyjaśniała. Zdumiony potrząsał głową, ale Miranda ucieszyła się szczerze.

Bardzo się bała samotności.

Chyba zachowałam się głupio, pomyślała Lilja. Mogłabym przejechać się jeszcze raz gondolą w jego towarzystwie. Nie ma przecież pewności, że następnym razem też on po mnie przyjedzie.

- Organizujemy wielką uroczystość - uśmiechnął się Goram, zanim wyszedł. - Jest tyle powodów do świętowania. Zwycięstwo nad Górami Czarnymi. Zdobycie jasnej wody. Powrót do domu zagubionych członków wcześniejszych ekspedycji. Odnalezienie rodziców Tsi. Poza tym odbędzie się wiele ślubów. I dzieciom trzeba ponadawać imiona...

- Czy zdążę wrócić do domu przed uroczystością? - zapytała Miranda pośpiesznie.
- Oczywiście, że zdążysz! Twojemu dziecku także trzeba nadać imię pod Świętym Słońcem. Będziemy na ciebie czekać. Nie sądzisz chyba, że moglibyśmy świętować bez ciebie. No i najważniejsze, wszyscy powinni uczcić Oko Nocy, jego wielki wyczyn został niemal zapomniany w całym zamieszaniu z powodu katastrofy, problemów Lilji i Silasa, wydarzeniami w Starej Twierdzy i ucieczką Petera Andersona.
- No właśnie, a co z nim teraz? I... z jego bratem?
Nie zdobyła się na to, by powiedzieć „z moim ojcem”. To zbyt bolesne. Goram odpowiedział krótko:
- Nawet o nich nie pytaj!
Wytrzeszczyła oczy.
- Nie, oni żyją - pośpieszył z wyjaśnieniami. - Ale nigdy tu już nie przyjdą. Nigdy, żaden. Lilja odczuwała głęboką ulgę. Taki jest zawsze los domowych tyranów, kiedy znikną, nikt za nimi nie tęskni.
Goram szykował się do wyjścia.
- A co będziesz robić po powrocie do domu, Lilio?
Tęsknić za tobą, pomyślała.
Coś ty ze mną zrobił, Goram? Dlaczego postawiłeś moje życie na głowie? Tylko po to, żeby potem z niego zniknąć? Jaki będzie mój los w przyszłości?
Odpowiedziała jednak coś w rodzaju, że ma różne plany, ale jeszcze nic się nie wykrystalizowało.
- No to życzę ci powodzenia - uśmiechnął się, po czym wyszedł.
Przez chwilę Lilja czuła straszną pustkę w sercu. Oczywiście bywała zakochana i przedtem, nigdy jednak w ten sposób. Interesowała się przeważnie najbardziej popularnymi chłopcami, tak zresztą robią wszystkie nastolatki. Oni też zwracali uwagę na najładniejsze dziewczyny w grupie, zwykle więc jej kielkująca miłość gasła bardzo szybko. Nie ma bowiem nic bardziej śmiesznego, niż patrzeć, jak wybranek serca zabiega o względy innej. Nie pozostaje wtedy nic innego jak niechęć, uczucia więdną, on wydaje się śmieszny i człowiek żałuje straconego czasu.
Ale teraz to co innego. Lilja została wessana przez aurę Lemuryjczyka i wydawało się, że jest nieodwracalnie stracona.

W osadzie duchów do mieszkającego tam Cienia przyszli goście. Już zawczasu wpadały do jego domu różne bardzo podniecone duchy wołając:

- Wyjdź no na ganek, zobaczysz, kto idzie!

Wyszedł więc. Przez otwarty plac zbliżał się ku niemu liczny orszak. Procesja złożona z najwyżej postawionych mężczyzn i kobiet o szlachetnych twarzach.

Wszyscy zatrzymali się przed nim. Najgodniejszy z nich w haftowanej złotem szacie i w koronie na głowie powiedział wolno:

- Wiele czasu minęło od chwili, kiedyśmy się rozstali, Amachratwanarig!

Cień padł na kolana i pochylił głowę.

- Wiele setek lat, Panie Królu. Największy błąd, jaki popełniłem, to to, że rozdzieliłem się z wami wtedy.

Ostatni lemuryjski król na ziemi poprosił go, by wstał.

- Nie, mój dzielny wojowniku. To, że tam zostałeś, okazało się wielkim dobrodziejstwem dla Królestwa Światła.

Cień zaprosił ich gestem do swego domu. Wyraz twarzy świadczył o głębokim wzruszeniu. Cały orszak wszedł w jego progi.

24

Dwa dni później urodziło się pierwsze po tysiącach lat dziecko Madragów. Maleńka dziewczynka, ku wielkiej uldze wszystkich krewnych.

Jaskari również oddychał spokojniej. On i Misa denerwowali się tak samo porodem, nikt bowiem nic nie wiedział na temat, jak to z tym jest u kobiet Madragów. W końcu okazało się, że wszystko odbywa się siłami natury, nie powstały żadne zaskakujące sytuacje ani komplikacje.

gorzej z Mirandą. Wszystko ciągnęło się już tak długo, że w końcu Jaskari musiał przyspieszyć cały proces. Poród był taki trudny ze względu na chłopięcą figurę i bardzo szczupłe biodra Mirandy, trzeba było zrobić cesarskie cięcie, dłużej już Jaskari nie chciał czekać.

Miranda urodziła synka. Jaskari był równie dumny jak rodzice, było to bowiem jego pierwsze cesarskie cięcie i wszystko udało się bardzo dobrze.

Indra powiedziała: najpierw wszystkie dziewczyny w naszej grupie były bardzo cnotliwe, a potem, w przeciągu zaledwie dwóch tygodni, trzy z nich wydały na świat dzieci! Ale jest nas więcej. Zaczekajcie tylko, pójdziemy w ich ślady!

Indra była bardzo dumna z tego, że została ciotką wspaniałego chłopca, w kółko wszystkim opowiadała, jaki jest zdolny, że naprawdę pewnego dnia powiedział „Indra”, chociaż tak naprawdę dziecko po prostu krzyczało z głodu.

W końcu można było urządzić długo oczekiwaną uroczystość.

Na świeżym powietrzu, w pięknym parku w mieście Saga, wielu zaproszonych bowiem nie chciało wejść do wielkiej auli albo całkiem po prostu nie mieściło się w drzwiach. Zbudowano więc w parku duże podium, na długo przed uroczystością w mieście zapanował podniosły nastrój. Nie wszyscy mieszkańcy Królestwa Światła zostali, rzecz jasna, zaproszeni, nie starczyłoby miejsca. W uroczystości mieli brać udział jedynie uczestnicy ostatnich wydarzeń. Przede wszystkim wciąż powiększająca się grupa skupiona wokół Ludzi Lodu i rodziny czarnoksiężnika. Nikt inny, jeśli nie liczyć artystów, którzy mieli zapewnić zebranym rozrywkę.

Silas i Lilja, a także ich matki i młodsze rodzeństwo, otrzymali zaproszenia. Lilja spędziła wiele dni w sklepach z odzieżą, zanim zdecydowała się na prostą białą sukienkę, bo w tym kolorze było jej do twarzy i wydawała się nieco bardziej dorosła niż w kwiecistej, na którą namawiała ją matka.

Szła do parku, rozglądając się wokół, czuła, że ręce jej drżą.

Ustawiono wiele ławek, ale w pierwszym rzędzie przed podium posadzono czternaścioro pacjentów szpitala. Lilja wiedziała, kim oni są: to odnalezieni uczestnicy dawniejszych ekspedycji oraz rodzice Tsi-Tsunggi. Syn kręcił się wokół nich zatroskany, pomagał i ochraniał ich, jeśli akurat nie znajdował się obok Siski i swojej ubóstwianej córeczki.

W końcu pozwolono mu przedstawić dziecko przyjacielowi, ogromnej wiewiórce. Wszelkie wcześniejsze próby o wprowadzenie Czika do szpitala ucinano bez słowa. Ponieważ w parku znajdowały się rozległe trawniki, wielu wołało siedzieć na ziemi. Jak na przykład liczna grupa Indian, których zaproszono, ponieważ Oko Nocy miał być honorowym gościem całej uroczystości. Lilja widziała wszędzie duchy i elfy oraz inne istoty natury, bo na ten jeden dzień wszystkie stały się widzialne (w przeciwnym razie mogłyby zostać stratowane). Patrzyła wielkimi oczyma na te istoty, po prostu chłonęła ich widok, bo z pewnością nieprędko znowu nadarzy się taka okazja. Przyszła tutaj ze swoją matką i rodziną Silasa, obie panie co chwila wykrzykiwały „och” i „ach”, matka Silasa zachowywała się jak gospodyni domowa z miasta nieprzystosowanych, dopóki Lilja stanowczo jej nie poprosiła, by starała się wszystkiego nie krytykować. Jej matka jakby łatwiej przyjmowała do wiadomości te wszystkie niezwykle rzeczy, ale też ona miała większą wprawę w panowaniu nad swoimi uczuciami.

Czworo Madragów stało wokół dziecka Misy, ona zaś pokazywała dziewczynkę wszystkim zagląającym do dziecinnego wózka, wielkiego jak samochód. Wszyscy chcieli zobaczyć to cudo i nie mogli się nachwalić.

Miranda też już czuła się dobrze, do jej wózka także zerkano wielu ciekawskich, natomiast mała Gwiazdeczka siedziała na ręku u Marca i bystrymi oczkami rozglądała się wokół, witała przechodzących uśmiechem, pokazując dwa ząbki. To ona zdecydowała, że będzie siedzieć u Marca, rodzicom łaskawie pozwoliła zająć miejsca z boku. Była to niebywale czarująca istotka. Obok na ławach siedzieli dziadkowie, rodzice Tsi oraz przybrani rodzice Siski, Nataniel i Ellen z Ludzi Lodu. Przyszła też oczywiście Sassa.

Kiedy Lilja przechodziła tamtędy, Gwiazdeczka posłała jej promienny uśmiech. Mój Boże, ta mała mnie poznaje, jak to możliwe? I jaka zrobiła się duża! Wygląda na półroczne dziecko, siedzi sama wyprostowana, bez żadnego wsparcia.

Świat poza granicami Małego Madrytu jest naprawdę dziwny.

Serce Lilji podskoczyło gwałtownie. Niedaleko zobaczyła grupę Strażników. Większość jednak była odwrócona od niej plecami, tylko Ram patrzył w jej stronę.

Wiedziała, że wszyscy goście przyszli ze swoimi rodzinami. Rok był żonaty, słyszała o tym, Ram i Kiro mieli narzeczone, ale jak to jest z Goramem? Czy jest żonaty, ma rodzinę? Na myśl o tym poczuła bolesny skurcz żołądka.

Nigdzie go nie widać...

- Gdzie ty idziesz, Lilja? - usłyszała ostry głos matki.

- Muszę tylko...

- Niczego nie musisz! Tu są nasze miejsca i tu będziesz siedzieć!

- Ale...

- Żadnego ale! I żadnych głupstw!

Lilja dała za wygraną. To nie Goram zabrał ją ze szpitala, kiedy Miranda poszła na operację; Lilja nie widziała go od tamtego pożegnania. Żyła więc przez cały czas jedynie marzeniami i fantazją.

- Nie wierć się nieustannie - mruknęła matka. - Za czym ty się tak rozglądasz?

Lilja nie odpowiedziała. Przestała jednak wypatrywać ukradkiem Gorama.

Indianie przyprowadzili ze sobą ogromnego niedźwiedzia, to musiał być ten, który pomagał Oku Nocy. Znała tę historię, słyszała ją od Siski. I... o rany, a cóż to za groteskowe istoty tam pośród parkowych drzew? Aż strach na nie patrzeć. Jest ich takie mnóstwo, bardzo się od siebie różnią.

Ależ tak, oczywiście! To są złe postaci z bajek, chociaż w rzeczywistości wcale złe nie są. Wśród nich smok Silasa. I trzy wielkie wilki. Dwa z nich zachowują się z wielką pewnością siebie, jakby były kimś ważnym. To chyba Geri i Freki. A ten trzeci to z pewnością wilk z bajki o Czerwonym Kapturku.

Och, jak uporządkować tyle niezwykłych wrażeń?

Strażnicy, którym się tak długo przyglądała, zaczęli wchodzić na podium. Oczywiście! Goram jest z nimi!

Lilja poczuła, że twarz jej płonie, całe ciało ogarniał pożar. Tutaj jestem, tutaj jestem, spójrz na mnie!

Ale była tylko jedną z tłumu siedzącego na ławkach. Nie chciała tkwić taka anonimowa w szeregu, ale matka popychała ją z powrotem na miejsce, gdy tylko podjęła jakąkolwiek próbę wyjścia stąd.

Goram poszedł przed siebie, nie widząc jej.

Nagle zobaczyła dwóch bardzo wysokich mężczyzn o niezwyklej urodzie, z godnością i autorytetem tak wielkim, że mimo woli skuliła się lekko. Nie tylko ona tak zareagowała.

Kim, na Boga, oni są?

Zaraz się domyśliła. To Obcy. Dwóch Obcych „zstąpiło ze swoich wysokości”, by uczestniczyć w święcie. Już samo to wywołało sensację.

Lilja przyglądała im się uporczywie, kiedy stanęli nieco z boku na podium. Jeden z nich to musi być Faron, ale który?

Akurat w tym momencie usłyszała głos Indry z ławki przed sobą.

- Spójrz, Mirando! Ratunku, Faron przyprowadził ze sobą jeszcze wyższego Obcego! To ten w złocistym płaszczu. Mirando, zaraz zemdleję!

- Nie zemdlejesz, zapewniam cię - roześmiała się siostra. - Ale masz rację, jaki władczy! Wszyscy się uciszyli. Uroczystość mogła się zaczynać.

Mistrzem ceremonii miał być Faron.

- Drodzy przyjaciele - zaczął metalicznym głosem. Miało się wrażenie, że wydobywa się on spod dziwnych płytek przesłaniających jego twarz. Lilji przyszedł na myśl robot, ale ci dwaj nie byli robotami. To żyjące istoty, wiedziała o tym od Siski. Ów Obcy w złocistym płaszczu siedział nieco z boku na podium i Lilja nie była w stanie na niego patrzeć, taki zdawał się potężny.

- Dziś jest wielki dzień dla Królestwa Światła, czeka nas bardzo bogaty program - mówił Faron. - Zaczniemy więc od prezentacji najmniejszych. Później nadamy im imiona i zostaną pobłogosławieni w obliczu Świętego Słońca i obu magicznych kamieni. Grupa, do której tak wielu z was należy, powiększyła się o troje nowych członków...

Przez moment Lilja zapragnęła być jedną z nich, szybko jednak odepchnęła od siebie tę myśl.

Siska, Misa i Miranda zostały wezwane na podium, weszły tam z noworodkami na rękach. Jeśli, oczywiście, można szybko rosnącą Gwiazdeczkę nazwać noworodkiem. Ta

urodzona mała kobietka śmiała się do fotografów i machała im rączkami. Tsi zwrócił się do publiczności i oznajmił głośno, że to jego córeczka.

- Ale mamy więcej nowych obywateli - powiedział znowu Faron z uśmiechem.

Na podium weszło w milczeniu kilka kobiet z rodu elfów z maleńkimi dziećmi i pokazały je zebranym. Wielu wstrzymało dech ze zdumienia nad podobieństwem tych dzieci i Gwiazdeczki. Faron powitał maleńkie elfy na świecie i w Królestwie Świata. „Nasz kraj nie byłby taki sam bez elfów”, powiedział serdecznie.

- Chcieliśmy zaprezentować maleństwa na samym początku, dopóki jeszcze nie śpią. Czeka nas bowiem bardzo długi dzień - zwrócił się do publiczności.

Dzieci wróciły na salę.

Długi dzień. To wspaniale, pomyślała Lilja.

Faron mówił dalej:

- Jest też kilka par, które chciałyby połączyć swoje losy. Ich jednak nie będziemy teraz prezentować, podobnie jak maleństwa zostaną pobłogosławione w promieniach Świętego Słońca. A teraz zapraszam wszystkich na koncert, to znaczy na jego pierwszą część, przed posiłkiem.

Na scenę wszedł liczny chór. Lilja wstrzymała oddech. Śpiewali anielsko, nigdy nie słyszała czegoś równie pięknego. Dotarł do niej szept Indry: „Ależ oni są utalentowani! Muszę się zapisać do tego chóru! „.

Nagle, w przerwie między jedną pieśnią a drugą, ktoś przesłonił scenę przed wzrokiem Lilji. Stał przed nią Strażnik. Spojrzała w górę, to Goram. Przywitał się z jej matką i ciotką, pomachał przyjaźnie Silasowi. Lilja ciężko przełknęła ślinę.

Kochana mamó, nie zepsuj czegoś, błagała w duchu.

- Chodź, Liljo, musimy iść!

- Dokąd? - spytała głupio.

- Przecież jesteś matką chrzestną - przypomniał jej. - Ceremonia odbędzie się teraz, przed drugą częścią uroczystości, poświęconą głównie ekspedycji. Masz bardzo ładną sukienkę - dodał z uśmiechem.

Lilja, która nie łączyła uroczystości nadania dzieciom imion z dzisiejszym świętem, podniosła się lekko zakłopotana. Goram skinął uspokajająco do jej matki i poszedł przed Lilją między rzędami ławek. Kącikiem oka zauważyła, że Miranda z dzieckiem i Indra też wychodzą. W ciszy niewielka grupa osób opuściła piękny koncert.

Wsiedli do gondoli. Goram upewnił się, czy Lilja siedzi wygodnie, i pojazd wzniósł się w niebo. Zdążyła zauważyć, że lecą też Marco i Dolg, Tsi i Siska, Ram i Kiro. I Madragowie. Reszty podróżnych nie знаła.

Po chwili wylądowali w stolicy przed budowlą z wielkim Świętym Słońcem na reliefie nad bramą.

Lilja była sztywna z przejęcia. Domyślała się, że dzieje się coś wielkiego. Cieszyło ją, że zna tak wielu uczestników ceremonii, że Goram przez cały czas się nią opiekuje i wskazuje drogę. Najwyraźniej powierzono mu opiekę nad nią. Boże drogi, jak ja go kocham! Żeby ten dzień trwał wiecznie!

Kodowany zamek w drzwiach został otwarty. Nawet Indra milczała, najwyraźniej to bardzo uroczysta chwila. Trzymała Rama za rękę, kiedy wchodzili po schodach. Dolg

zniknął w innych drzwiach również zamkniętych na kodowany zamek, reszta została wprowadzona do stosunkowo niewielkiego pomieszczenia o pancernych, pięknie zdobionych ścianach.

To nie może być prawda, myślała Lilja, zaraz się obudzę.

Ale to była prawda. W miarę jak ceremonia postępowała, Lilja zdołała opanować trochę nerwy, serce nie tłukło się już tak boleśnie w piersi, pulsowanie w skroniach zelżało. Przewodniczył Faron, nie widziała go po drodze. Widocznie z Sagi przyleciało wiele gondoli.

Ci, którzy wybrali sobie towarzyszy życia, mieli teraz wystąpić naprzód. Byli to: Indra i Ram, Siska i Tsi, jakaś para o imionach Thomas i Oriana oraz Helge i Paula. A poza tym Kiro i Sol, więc w końcu zobaczyła również Sol! Niezrównana, nie istnieje na świecie nikt do niej podobny. Przybył też Indianin, Oko Nocy, bohater tego dnia, prowadził pod rękę narzeczoną o imieniu Mały Ptaszek. Wszyscy należeli do wybranej grupy.

Kiedy stanęli już przed Faronem, który przemawiał do nich cicho, ponad głowami zebranych rozbiły się intensywne światła. Łagodne, ale silne i... przepełnione miłością, tak się przynajmniej zdawało Lilji. Poczowała ucisk w gardle, przepełniało ją cudowne uczucie. Nie dostrzegając źródła tego światła, było ukryte gdzieś pod sufitem. Widziała jednak, że młode pary są zalane tym ciepłym światłem, Siska i Tsi płakali ze wzruszenia, Indra trzymała rękę Rama tak mocno, że aż dłoń jej zbieleła.

Po chwili z bocznych drzwi wyszedł Dolg. On też powiedział coś cicho do wszystkich par, potem uniósł w górę dwa fantastyczne szlachetne kamienie i nowożeńców zaalało niewiarygodne, przepyszne światło, czerwone i niebieskie, mieniło się, falowało, przenikało nawzajem w cudownej grze.

Kiedy ów niebiański blask ściemniał, wydawało się jakby słońce zgasło. Lilja poczuła, że kolana się pod nią uginają, i musiała usiąść.

Tego naprawdę za wiele dla kogoś, kto pochodzi z Małego Madrytu, myślała.

Nagle pojawił się przy niej Marco i ujął ją delikatnie pod ramię.

- Nasza kolej, Liljo!

Wtedy uświadomiła sobie, że nowożeńcy odeszli na swoje miejsca. Teraz zaś Misa wyszła przed zgromadzonych ze swoją małą, słodką córeczką, a obok niej dwaj Madragowie, z pewnością ojcowie chrzestni. Gdyby Lilja wiedziała, jak który z nich ma na imię, domyśliłaby się, który jest ojcem dziecka. To ten, siedzący niedaleko niej z niebywale dumną miną. Nie znała jednak jego imienia. Widziała, że również Miranda idzie ze swoim synkiem, a jego rodzicami chrzestnymi są bardzo przystojny mężczyzna, Armas, o którym opowiadała Siska, i nie znana Lilji dziewczyna, imieniem Elena.

Nadeszła kolej na Siskę z córeczką w ramionach, w ślad za nią podążyli Marco i Lilja, na końcu szły elfy takie leciutkie i zwiewne, że Lilja poczuła się duża i niezdarna.

Ona i Marco zajęli miejsca po obu stronach Siski. W pomieszczeniu panowała absolutna cisza.

I wtedy poczuła na sobie przepełnione miłością ciepłe promienie, pokój znowu wypełnił się światłem, znowu zapalono Święte Słońce. Lilja wiedziała, że ono używane jest tylko przy okazji największych uroczystości, to nie jest to wielkie słońce, które świeci ponad Królestwem Światła. Rozejrzała się po pomieszczeniu i napotkała spojrzenie Gorama.

Uśmiechnął się do niej i skinął, jakby dla dodania jej odwagi. Odpowiedziała mu uśmiechem, na nic więcej nie miała czasu, bo właśnie pojawił się Dolg z kamieniami. Podczas gdy światło klejnotów padało na dzieci, Faron nadawał im po kolei imiona. Tsi-Tsungga dotrzymał obietnicy i znalazł Gwiazdeczce wiele pięknych imion. Lilja podejrzewała jednak, że również w przyszłości mała będzie nazywana Gwiazdeczką. Wciąż padało na nich cudowne światło. Wypełniała ich miłość do całego świata i wyrozumiałość dla wszelkiej odmienności. Lilja czuła się taka... dobra. Ona i Marco musieli złożyć przysięgę, że będą się troszczyć w przyszłości o Gwiazdeczkę tak, by nie przydarzyło się jej nic złego. W końcu światło znowu zgasło. Ceremonia dobiegła końca.

Faron wezwał do siebie Siskę, Misę i Mirandę. W jego głosie brzmiała głęboka powaga. - Sisko i Mirando! Obie urodziłyście piękne dzieci. Ale na tym koniec! Przy następnym porodzie zdrowie, a nawet życie Mirandy byłoby narażone na wielkie ryzyko, a ty, Sisko, dobrze wiesz, co mogłoby się stać. Następnym razem mogłabyś urodzić istotę ziemi, nigdy bowiem nie wiadomo, jakie dziedzictwo przeważy w dziecku. A więc nie możesz więcej rodzić! Ty, Miso, natomiast możesz mieć tyle dzieci, ile zapragniesz. Należysz do wyjątkowego, wymarłego gatunku i z wielką radością powitamy w naszym Królestwie kolejnych, wspaniałych Madragów.

Wszystkie trzy kobiety kiwały głowami na znak, że rozumieją. Pojmowały powagę słów Farona.

Jak zwykle to Indra przerwała niemal dręczący, sakralny nastrój w sali. Objęła czule Rama.

- No, mój przyjacielu, teraz jesteś moim mężem!

Wszyscy uśmiechali się lekko. W takim świętym pomieszczeniu nikt nie roześmiałby się głośno.

25

Wrócili w samą porę, by pożywić się jedzeniem przy wspaniale zastawionych stołach, których pełno było w całym parku.

Lilja świadomie pozostawała poza szeregiem ław tak długo jak to możliwe. Chciała jak najdłużej zachować wolność.

Goram jednak nie dotrzymywał jej już towarzystwa, wymówił się obowiązkami i poszedł. Lilja przypomniała sobie złożoną kiedyś obietnicę. Ponieważ teraz miała własny telefon, zadzwoniła do tamtej sympatycznej kelnerki z miasta nieprzystosowanych i opowiedziała jej o wszystkim, co ostatnio przeżyła.

Żadnych szczegółów nie mogła, rzecz jasna, opowiadać, poza tym ukryła najważniejsze. Bała się, że mimo wszystko kelnerka ją przejrzy, że domyśli się jej płomiennej miłości do Gorama.

Bo rzeczywiście uczucie było gorące. Przenikał ją dotkliwy smutek, gdy tylko o nim pomyślała. Nigdy by nie przypuszczała, że miłość może być taka bezlitosna. Wyobrażała sobie raczej coś rozkosznego i pięknego, co łączy dwoje ludzi. Nie stało się to jednak jej udziałem, ona nieustannie wędrowała po pustyni tęsknoty spragniona najłżejszego choćby znaku świadczącego, że jej uczucie jest odwzajemniane.

Nagle zobaczyła przepiękną młodą dziewczynę, stojącą nieco na uboczu z tęsknym wyrazem twarzy.

- Czy ty też chciałabyś być członkiem tej grupy? - zapytała Lilja trochę skrępowana.

- Ja należę do tej grupy - odparła dziewczyna z urazą w głosie. - Ale nie zabrali mnie na wyprawę do Gór Czarnych. Mam na imię Berengaria. A ty?

Lilja przedstawiła się. Na pytanie, dlaczego jej nie zabrali, Berengaria odparła:

- Ponieważ w moim otoczeniu nieustannie wybuchają awantury.

Uśmiechnęła się w końcu.

- I rzeczywiście wybuchają. Ale dzisiaj jestem boleśnie dotknięta. Nikt mnie nawet nie zapytał, czy nie chciałabym być matką chrzestną.

Lilja szczerze jej współczuła. Miała zresztą wyrzuty sumienia, może powinna była zamienić się z tą dziewczyną, to ją powinno spotkać wyróżnienie, ale teraz było już za późno.

Zauważyła, że matka ją wzywa. Najchętniej by to zignorowała, ale nie mogła. Pożegnała się z Berengarią i wróciła do obowiązków córki.

Matka chciała wiedzieć, gdzie Lilja podziewała się tak długo. Opowiedziała jej więc o ceremonii zaślubin i nadania imion, o podróży do świątyni Świętego Słońca.

- To ja powinnam była tam być - mruknęła matka. - Wybierać takiego dzieciaka!

Lilja uśmiechnęła się. Słyszała zazdrość w słowach matki. Ale też i dumę. Świadczyły zresztą o tym jej przesadnie wyprostowane plecy i lekki triumfalny uśmiezek posyłany w kierunku szwagierki.

Uroczystości zaczęły się znowu. Lilja obserwowała scenę. Jej zadanie zostało wypełnione, ale nadal działy się różne wspaniałe rzeczy! Tym razem chodziło o coś zupełnie innego.

Teraz głos zabrał ów piastujący najwyższą godność Obcy, jego słowa brzmiały tak, jakby przemawiał w katedrze o wspaniałej akustyce. Uniósł w górę jakiś amulet lub coś podobnego i wyjaśnił, że są to odznaczenia, które przyznano osobom najbardziej zasłużonym.

A jest takich wiele.

- Będę odznaczonych prosił do siebie po kolei, a wy dowiedziecie się, że Królestwo Światła winne jest im wielką wdzięczność. Ryzykowali własne życie, ale dzięki nim będziemy mogli wykonać nasze największe zadanie: zbudować pokój i dobrobyt na udręczonej planecie. A jak jest ona udręczona, wiedzą tylko ci, którzy byli w zewnętrznym świecie w ciągu ostatnich lat.

Lilja przyglądała się przedmiotowi, który trzymał w ręce, Przedstawiał Święte Słońce otoczone promieniami.

- To wyjątkowe odznaczenie - mówił dalej Obcy. - Przyciąga życzliwość i miłość dla tego, kto je nosi. Miłość i życzliwość symbolizuje srebro w amulecie. Złoto natomiast symbolizuje ciepło i troskliwość, które właściciel odznaczenia chce dawać swemu otoczeniu. Takie jest bowiem zadanie amuletu: dawać właścicielowi zdolność czynienia miłości, otaczania nią wszystkiego, zdolność zrozumienia dla słabych. Jest to znak świętości naszego Słońca.

Bardzo bym chciała dostać taki znak, pomyślała Lilja. Wiedziała jednak, że to niemożliwe.

Najpierw Obcy wezwał do siebie tych, którzy jako pierwsi musieli opuścić Góry Czarne: Sol i Kiro. Otrzymali odznaczenia za to, że bezpiecznie sprowadzili do Królestwa Światła wszystkie postaci z baśni, które przez stulecia musiały cierpieć z powodu dziwnej namiętności ludzi do tworzenia w swoich baśniach złych istot. Wiadomo teraz, że nie zdołano uratować wszystkich. Ale sprowadzono do Królestwa Światła sporą grupę nieszczęśliwych czarownic, czarnoksiężników i bestii mieszkających teraz we własnej osadzie i mających się znakomicie. Znajdowały się ciągle pod działaniem promieni Świętego Słońca, co bardzo poprawiało ich wygląd. Ich duszom natomiast niczego nie brakowało.

I Sol, i Kiro ukłękli, kiedy przyjmowali ów dowód szacunku.

- O rany - szepnęła Indra. - O rany, ale moje kolana by trzaskały, gdyby mnie wezwano na podium!

Następną grupę stanowili ci, którzy wyjechali z Gór Czarnych z nieszczęśliwymi niewolnikami, wciąż jeszcze czekającymi w Ciemności:

Chor podszedł kołysząc się i przyjął należny mu znak Słońca za wspaniałe prowadzenie J1 i za techniczną pomoc w niezliczonych trudnych sytuacjach. Był niczym skała, on i jego Juggernaut stanowili punkt oparcia dla całej ekspedycji. Wszyscy wstrzymali oddech, kiedy wielki Madrag miał ukłęknać, ale udało mu się to znakomicie.

Armas otrzymał odznaczenie za odważną pomoc czworgu przy źródłach i akcję ratowniczą, która niestety skończyła się tragicznie. Myślano tutaj, rzecz jasna, o Kari. Jori otrzymał symbol Słońca za wiele mniej lub bardziej zuchwałych prób, z których korzystała ekspedycja. Yorimoto za heroiczną, bohaterską odwagę w najtrudniejszych sytuacjach i za to, że sprowadził ludzi-wilków do Juggernauta bez rozlewu krwi. Heike, potężny bohater Ludzi Lodu, otrzymał honorowe odznaczenie za wszelką nieocenioną pomoc. Wilk Geri za swój pełen życzliwości charakter i pogardę dla śmierci w niebezpiecznych sytuacjach. I jeszcze za to, że tak wspaniale zajmował się swoim rannym bratem.

Następna w kolejce była Sassa. Pasażer na gapę, który jęczał i zawodził w czasie pierwszej części podróży po czym dokonał wielkiego czynu, podpowiadając zapamiętane hasło otwierające drzwi do złej góry. Wilk z Czerwonego Kapturka otrzymał małe odznaczenie za lojalność wobec członków ekspedycji.

Zdaniem Lilji wszystko odbywało się dziwnie spokojnie. Ale oto na scenę weszła nowa grupa, której przyznano znacznie wyższe honory. Pojawiły się prawdziwe wielkości. Madrag Tich otrzymał „medal” z tego samego powodu co Chor. Z tą tylko różnicą, że Tich musiał przebywać dużo dłużej w Górach Czarnych.

Wezwano Siskę, która podbiegła z małą Gwiazdeczką i posadziła ją na kolanach oszołomionej Lilji.

- Ucz się - zawołała Siska ze śmiechem i zniknęła.

Z początku Lilja siedziała nieco sztywna, ale dziecko uśmiechało się do niej tak ujmująco, że musiała odpowiedzieć tym samym. Matka dziewczyny wytrzeszczyła oczy:

- Ależ, Lilja... to przecież jest... jest...

- Dziecko natury? Otóż to właśnie, i to ja jestem jej matką chrzestną.

Matka nie powiedziała nic, oddychała tylko głośno. Matka Silasa usunęła się na bok, ale chłopiec witał serdecznie dziecko elfów, które śmiało się do niego radośnie i chciało usiąść mu na kolanach. Kiedy jej nie pozwolono, Gwiazdeczka udowodniła, że ma i temperament, i wolę, żeby nie powiedzieć upór. Silas pospiesznie zamienił się z matką miejscami, żeby siedzieć obok dziewczynki. Wtedy zapanowała cisza i można było kontynuować ceremonię.

Lilja zauważyła, że Goram stoi z boku sceny i przygląda się jej. Nie wiedziała, że siedząc tak z dzieckiem w ramionach podobna jest do Madonny. Dostrzegła tylko, że w pewnym momencie uśmiechnął się do niej czule. To jej wystarczyło.

Potem Strażnik odwrócił się i znowu zniknął.

Siska, która spłoszona słuchała krzyku córeczki, teraz rozluźniła się i była znowu spokojna. Przyjęła swoje honorowe odznaczenie za niezwyklej lojalność wobec rannego Tsi. Nigdy nie widziano tak wiernej miłości, tak Faron określił jej postawę, za co dostała specjalne oklaski.

- Z czego my się właściwie tak cieszymy? - zapytała matka Lilji, a szwagierka jej przytakiwała. Lilja mruknęła coś wymijająco, że innym razem opowie im o wszystkim dokładnie. Sytuacja stała się trudniejsza, kiedy Siska otrzymała pochwałę za uratowanie Lilji...

Tsi-Tsungga został odznaczony za uratowanie najpierw życia Siski w Dolinie Róż, a później życia Marca, za każdym razem z narażeniem siebie. Tsi promieniał niczym słońeczko, a w jego oczach wyczytać można było prośbę: „jeszcze, jeszcze! „.

Nadeszła kolej Cienia, który odpierał niebezpieczne ataki ze strony przenikniętych złem czerwonoookich bestii i który wspierał pomocą czworo wybranych. Następna była Indra (o rany, pamiętaliście o mnie niegodnej, to bardzo uprzejme z waszej strony!), Indra została odznaczona za pogardę śmierci w niebezpiecznych sytuacjach (słuchajcie, słuchajcie!) i za zdolność podtrzymywania dobrego nastroju oraz poczucia humoru w grupie.

Został wezwany Freki i poczłapał na górę, by odebrać nagrodę za współpracę z ludźmi, jakiej nigdy przed nim żaden wilk nie podjął.

Potem weszło trzech wielkich. Dolg otrzymał swoje słońce z bardzo wielu powodów, wszystkie zostały po kolei wymienione. Ram swoje, za wspaniałe dowodzenie powierzoną mu grupą. I na koniec Faron za to, że zechciał wziąć najwyższą odpowiedzialność za powodzenie ekspedycji i wypełnił swoje zadanie z honorem. Nigdy żadna wysłana z Królestwa Światła ekspedycja nie osiągnęła takich rezultatów.

Pozostało jeszcze czworo najważniejszych z wielkich. Czyli ci, którzy pokonali ostatni odcinek drogi do źródeł.

Mar otrzymał odznaczenie za to, że przez cały czas trwania ekspedycji zachował wolę walki, przede wszystkim jednak za wspieranie Oka Nocy podczas jego wędrówki do źródła dobra. Shira została nagrodzona za to samo oraz za to, że nieustannie pomagała Oku Nocy swoimi radami i doświadczeniem z własnej wędrówki do źródła jasnej wody.

Kolejnym nagrodzonym był Marco. Potężny książę Czarnych Sal, który może przekroczył swoje uprawnienia, atakując źródło zła pełne czarnej wody, ale wszyscy już mu to

wybaczyli, zresztą wszyscy bardzo dobrze go rozumieli. Może i oni w jego sytuacji zachowaliby się podobnie?

Na koniec Oko Nocy.

Indianin, który osiągnął nieosiągalne. Miał wprawdzie wielu pomocników, ale i tak jest sprawą nieprawdopodobną, by ludzka istota dokonała tego, co on. On, podobnie jak niegdyś Shira, dotarł do źródła jasnej wody i przyniósł ją do Królestwa Światła. Dobrze sobie zasłużył na znak Świętego Słońca.

Ale nie koniec na tym. Do podium zbliżyła się właśnie liczna grupa Indian i Obcy na chwilę opuścił scenę.

Do Oka Nocy podszedł wódz, zdjął swoje symboliczne nakrycie głowy wykonane z piór i podał je młodemu człowiekowi. W ten sposób Oko Nocy został nowym wodzem.

Była to tak uroczysta chwila, że Lilję przenikały dreszcze. Ale uroczystość jeszcze się nie skończyła.

Kiedy Indianie dopełnili niezbędnych ceremonii, na scenę powrócił znowu Obcy.

- Chcielibyśmy także podziękować kilku innym istotom, które w ciszy i bez rozgłosu dokonały wielkich czynów. Przede wszystkim niedźwiedziowi, który kilkakrotnie uratował Oko Nocy.

Niedźwiedź wszedł na scenę i podobnie jak wilki z wielką godnością pozwolił sobie zawiesić odznaczenie na szyi.

Nieoczekiwanie, ku swemu wielkiemu zdumieniu i przerażeniu, wezwana została Lilja. A to dlaczego, zastanawiała się, przecież niczego nie zrobiłam!

Oczywiście, zrobiła. Po pierwsze, miała odwagę podjąć się ratowania Silasa, uwolnienia go od upokorzeń, na które był nieustannie narażony. Poza tym w gruncie rzeczy uratowała Siskę, a tym samym Gwiazdeczkę, wtedy w lesie koło Starej Twierdzy. Po prostu była z nimi w trudnej chwili.

Kompletnie oszołomiona wracała na swoje miejsce.

- W coś ty się, do licha, wdała? - szepnęła matka zdenerwowana. - O niczym nie wspomniałaś!

Lilja nie zdążyła odpowiedzieć, gdy padło kolejne nieoczekiwane wezwanie. Tym razem był to smok Silasa. Z pocziwą miną potwór przeciskał się przez tłum zszokowanych widzów.

Dziękowano mu za bohaterskie uratowanie życia chłopcu, jemu również zawieszono na szyi medal. Silas krzyczał cieniutkim głosem pochwały dla przyjaciela.

Następnie udekorowano wiele elfów i innych nadprzyrodzonych stworzeń, które także przyczyniły się do sukcesu ekspedycji. Nagrodzono też sporą gromadkę, mniej znanych istot.

Ale uroczystość wciąż trwała. Całkiem nieoczekiwanie wezwano znowu Kiro, Armasa i Joriego.

Kiro został awansowany o jeden stopień i otrzymał teraz tę samą rangę, co Rok. Goram i Tell również awansowali do rangi, którą właśnie zwolnił Kiro, natomiast Armas i Jori otrzymali te stopnie, które dotychczas piastowali Goram i Tell. Ram nie awansował. Nie było już wyższej rangi.

Teraz ceremonia miała się ku końcowi. Wszyscy wiedzieli jednak, że uroczystości będą trwać długo w noc w różnych miejscach miasta Saga.

Trzeba było jednak ustalić jeszcze pewne rzeczy.

Chodziło o coś zupełnie nowego.

Cała czwórka Madragów i ich współpracownicy różnych ras z laboratoriów w Srebrzystym Lesie wystąpili teraz na scenę. Przemawiał Chor.

- Eliksir, który może poprawić świat, jest już gotowy - oznajmił swoim gardłowym głosem. Przez tłum przeszedł szmer zdziwienia.

- We współpracy z przywódcami Królestwa Światła postanowiliśmy dokonać pierwszych prób w Ciemności, zanim wyruszymy na powierzchnię Ziemi - mówił dalej Chor. - Chyba trzeba będzie na terenie Ciemności posuwać się krok po kroku, z początku działać bardzo ostrożnie, zanim się przekonamy, jakie działanie ma eliksir. Dopiero wtedy będziemy mogli wysłać małą grupę na Ziemię.

Przerwał mu Faron:

- No właśnie, zastanawialiśmy się nad składem grupy, która podejmie eksperyment. Chcielibyśmy oszczędzić tych, którzy dopiero co wrócili z Gór Czarnych. Chociaż kilkoro z pewnością mogłoby...

Zrobił przerwę. W parku panowała kompletna cisza. Gwiazdeczka zasnęła.

- Armas i Jori... będziecie w stanie?

- Jesteśmy wypoczęci - zapewnił Armas, Jori również był chętny.

- Znakomicie - ucieszył się Faron. - Kierownikiem grupy będzie Móri, czarnoksiężnik. Chcielibyśmy, żeby uczestniczyli w niej również Goram i Jaskari. Czy są jakieś uwagi? Nie było żadnych. Posypały się dopiero przy następnej propozycji.

- To powinna być bardzo spokojna wyprawa, nie chcielibyśmy straszyć tych, którzy mieszkają w Ciemności. Dlatego potrzebujemy kobiet. Eleno...

- Nie! - zaprotestowała Elena głośno. - Nigdy więcej do Ciemności! Nigdy!

- Eleno, macie teraz być posłańcami radości. Kiedy tamtejsi mieszkańcy wypiją eliksir, nad ich światem będziemy mogli zaświecić słońce.

- To nie ma znaczenia. Nazywajcie mnie tchórzem czy jak chcecie! Poprzednia wyprawa kompletnie zszarpała mi nerwy.

- No cóż, nikogo nie zmuszamy. Jeśli nie chcesz, nie musisz jechać - zgodził się Faron. - Ale ty, Berengario, ty chyba pojedziesz?

- Tak! - wrzasnęła podskakując z radości. - Już myślałam, że jestem na czarnej liście!

- Nie, skądże - uśmiechnął się Faron. - Po prostu nie było już dla ciebie miejsca w ekspedycji do Gór Czarnych. Ale teraz jedziesz. Myślę, że Sassa też powinna pojechać. Ale to zupełnie dobrowolne. Jesteś najmłodsza w grupie, jednak ostatnio świetnie dawałaś sobie radę.

- Sądzę, że będę mogła się na coś przydać - oznajmiła Sassa z powagą.

- Znakomicie! No i...

- Chwileczkę - przerwał mu Jaskari. - Ja nie powinienem opuszczać szpitala. Mam pacjenta, który potrzebuje mojej opieki. Nie mogę wziąć udziału w wyprawie.

Faron długo studiował swoją listę. Potem skinął głową.

- W porządku, Jaskari, i tak damy sobie radę. Weźmiecie ze sobą do pomocy trzy duchy. Z Ludzi Lodu wybraliśmy Tengela Dobrego. Z duchów żywiołów Shiry obiecał pojechać z nami Duch Ziemi. Móri, ty też wybierz jednego ze swoich!

- Skoro mamy ze sobą Ducha Ziemi, to chciałbym zabrać Wodę. I Ziemia, i Woda znajdują się w Ciemności.

- Świetnie! W takim razie lista jest zamknięta. Móri, Strażnicy Goram, Armas i Jori. Dziewczęta: Berengaria i Sassa. Powinniśmy mieć jeszcze jedną dziewczynę, ale żadna nie ma czasu. Siska została matką, a Indra właśnie rozpoczęła pracę. Pomyślcie, Indra pracuje - uśmiechnął się złośliwie, a wszyscy się roześmiali. Indra również.

- Tak więc mamy trzy duchy i sześcioro żyjących. Z pewnością wystarczy.

Faron, zanim zszedł z podium, powiedział:

- A teraz, drodzy przyjaciele, ja się wycofuję. Moje zadanie zostało spełnione. Dziękuję wszystkim za niezwykłą podróż do Gór Czarnych! Dziękuję wszystkim mieszkańcom Królestwa Światła.

Dla uczestników ekspedycji był to szok. Tłoczyli się wokół niego, przekonując, że powinien pozostać. On jednak potrząsał smutno głową i zegnał się z przyjaciółmi po kolei, uroczyście i bardzo serdecznie.

Lilja wciąż stała samotnie, kiedy inni tłumnie opuszczali park. Spoglądała w ślad za grupą, która miała wyruszyć w nową, pełną przygód podróż. Co ona by dała za to, żeby móc być z nimi! Zwłaszcza że Goram też miał jechać. Niech wszystkie dobre siły go tam strzegą. W Ciemności kryje się tak wiele niebezpieczeństw, nawet dla kogoś, kto przynosi radosne wiadomości. Wiele może się stać, zanim zdążą te wiadomości przekazać.

Nagle stanął przed nią Goram. Miał niezwykłą zdolność pojawiania się dosłownie znikąd. Lilja przestała oddychać.

- Przestraszyłem cię? - uśmiechnął się serdecznie. - Liljo, chciałem ci tylko podziękować za czas, który razem spędziliśmy, i życzyć ci wszystkiego najlepszego w przyszłości.

Głośno przełknęła ślinę.

- Ale chyba od czasu do czasu się spotkamy? Całkiem przypadkiem.

Potrząsnął głową.

- Nie sądzę. Saga to nie mój teren.

Coś w niej umarło. Jakby pękła zbyt napięta struna.

- Rozumiem - wyszeptwała. - Dbaj o siebie... w Ciemności.

- Dziękuję, będę dbał. Miło było cię poznać!

Potem pogładził ją lekko palcem po policzku, odwrócił się i odszedł.

Lilja wciąż stała, nie mogła się ruszyć. Jej pozostawała tylko tęsknota i żal. Goram nie wiedział, jak podziało na nią jego dotknięcie. Lemuryjczyk nigdy nie powinien w ten sposób dotykać człowieka.

Jak ona będzie teraz żyć?

- Moja baśń ma smutne zakończenie - szepnęła żałośnie.